

Andre Norton
Sasha Miller

Sokola Magia

Przełożyła Ewa Witecka
Tytuł oryginału On Wings Of Magic

SCAN-dal

Rozdział pierwszy

I

Eirran zawiązała czystą chustę wokół kompresu na czole Beldy. Zacisnęła usta z dezaprobatą. Tym razem Rofan przekroczył wszelkie granice przyzwoitości. Uderzył żonę pięścią i teraz nie mogła otworzyć spuchniętego oka. Eirran wzdrygnęła się na myśl o tym, z jakiego powodu guz wyskoczył na czole nieszczęsnej. W ciągu dwóch tygodni po odjeździe Yaretha już po raz trzeci wezwano ją do chaty Beldy, by udzieliła jej pomocy. Teraz, pod koniec zimy, kiedy pozostało niewiele pożywienia, wszyscy z trudem powstrzymywali rozdrażnienie. Wszyscy — to znaczy ci, którzy nie byli na tyle przezorni, żeby zrobić na zimę zapasy zboża, suszonego lub solonego mięsa oraz suszonych owoców i jarzyn. Albo ci, którzy jak Rofan obżerali się, kiedy jedzenia było pod dostatkiem, i musieli go skąpić, kiedy się kończyło. Rozwścieczony Rofan zwykł bijać żonę, gdy nie miała mu co dać jeść.

Czy ten głupiec nie zdawał sobie sprawy, że Belda i jego dzieci są jeszcze bardziej głodne od niego? Że odejmują sobie od ust, żeby się tylko najadł i ich nie bił? Eirran pokręciła głową i z niechęcią mlasnęła językiem. Nie, widocznie nic o tym nie wiedział. Tym razem wrócił do domu bardzo późno z destylarni, którą wraz z kompanami urządził poza wioską. Rzucił się na żonę z pięściami, bo nie tylko podała mu zupę cienką, ale i nie dość gorącą. Dobrze się stało, że wypadł potem z chaty i pewnie pobiegł do swego kociołka, by upić się do nieprzytomności. Gdyby pozostał, Eirran sama by mu powiedziała, co o nim myśli, a wtedy i jej by się dostało.

Powinna raczej wezwać na pomoc kilku mężczyzn z wioski, pomyślała. Chociaż i tak na nic to by się zdało, był bowiem tak pijany, że nic nie pamiętał.

— On nie chciał tego zrobić — wstawiła się za mężem Belda. — Później zawsze jest mu przykro.

— To nic nie zmienia — odparła Eirran. I tak to trwa. Kiedy wytrzeźwieje, ogarnia go żal. Prawie zawsze uchodzi mu to na sucho, chyba że Yareth jest we wsi, pomyślała. Wyjęła szczyptę suszonych ziół z woreczka w podręcznej sakwie i owinęła je w skrawek tkaniny. — A ty i tak jesteś pobita. To prawdziwy cud, że cię nie zabił. Jeden ząb ci się rusza. Każdego ranka przez pięć dni parz herbatkę z tych liści i pij ją tak gorącą, jak możesz wytrzymać. — Wyjęła z sakwy miseczkę, tłuczek oraz dzbanuszek ze starannie oczyszczonym prawie białym zakrzepłym baraním łojem. Używała go do sporządzania wszystkich lekarstw na dolegliwości skórne. Jej mikstury na odmrożenie cieszyły się taką popularnością, że często brakowało jej łoju. Ale Belda potrzebowała leczniczej maści, a nie jak inne kobiety kremów do cery. Eirran odmierzyła odpowiednie dozy innych ziół i jęła tłuc w miseczce suszone liście i kwiaty. Po izbie rozszedł się przyjemny ziołowy zapach. — Czy masz coś, do czego mogłabym włożyć maść po przygotowaniu? — zapytała.

— Tak. — Belda dała znak ręką Ermanowi, swojemu najstarszemu synowi. Chłopiec podszedł do Eirran, był trochę wystraszony, ale ciekawość przeważała. — Przynies słoik, który pozostał po ostatnich odwiedzinach tej Mądrej Kobiety. Wiesz, gdzie jest.

Erman skinął głową i zniknął za postrzępioną zasłoną, która służyła jednocześnie za drzwi i za ścianę oddzielając sypialnię jego rodziców od reszty niewielkiej izby.

— Nie jestem Mądrą Kobieta — sprostowała z westchnieniem Eirran. Zaczęła mieszać z łojem sproszkowane zioła. — W Karstenie, skąd pochodzę, stara Juwa nie

nauczyła mnie nawet połowy tego, co powinnam wiedzieć, żeby dobrze opiekować się garstką mieszkańców Blagden.

— Jesteś jedyną uzdrowiaczką, jaką mamy, i każdego dnia zdobywasz coraz więcej wiedzy. Nie wiem, co my... co ja zrobiłabym bez ciebie.

Eirran zarumieniła się słysząc pochwałę. A przecież dobrze wiedziała, że Belda ma rację. Gdyby nie to, że często była w pobliżu, poturbowana przez męża kobieta mogłaby umrzeć któregoś dnia.

Zbyt dobrze znała tę historię. Blagden było małą wioską, a większość jego mieszkańców to uczciwi ludzie, którzy potrafili przeżyć od jednej zimy do drugiej, jeżeli zachowywali ostrożność i skromnie się odżywiali. Najbardziej dawał im się we znaki brak dobrej uzdrowicielki i musieli się zadowalać nie douczoną Eirran. Ale nie brakowało wśród nich mężczyzn takich jak Rofan, którzy zmieniali dobre czasy w złe, złe zaś w jeszcze gorsze. Zastanowiła się, jak dawali sobie radę przed przybyciem jej i Yaretha.

— Oto słoik — powiedział nieśmiało Erman i postawił go na stole obok ręki Eirran. Od chłopca bił ostry zapach jak od fretki. Zaraz potem oddalił się płochliwie, jakby bał się podejść za blisko.

Możliwe, że nauczył się tego w kontaktach ze swoim ojcem, który zupełnie nie nadawał się do tej roli. Eirran westchnęła. W izbie były też inne dzieci — od pełzającego i bawiącego się na zarzuconej różnymi rzeczami podłodze niemowlęcia do prawie dorosłego Ermana, niemal wszystkie równie umorusane i śmierdzące. Ustawiły się szeregiem, patrząc na nią czujnie szeroko otwartymi oczami. Przypominały jej na poły oswojone zwierzęta. Włosy miały brudne i skudłone, na ich twarzach malowała się podejrzliwość. Młodsza o niecały rok od Ermana dziewczyna obserwowała uzdrowicielkę spoza stosu nie wypranej odzieży. Eirran pomyślała o swoim czystym domu. Belda nawet w najlepszych czasach nie zaliczała się do wzorowych gospodyń, gdyż miała za dużo dzieci. A kiedy była chora albo zdrowiała z ran, sytuacja stawała się jeszcze gorsza. Jednak starsze dzieci mogłyby pomóc matce, gdyby chciały. Może nie powinnam tak pochopnie wydawać sądów, powiedziała sobie w duchu uzdrowicielka. Może Rofan biciem oduczył samodzielności wszystkich mieszkańców tej chaty.

— Chodź tutaj — zwróciła się do dziewczyny. Ta wpatrzyła się w nią tak, jakby była niedorozwinięta umysłowo albo jakby Rofan kiedyś, uderzając zbyt mocno, uszkodził jej mózg. Eirran nie wiedziała, czy powinna użyć rozkazującego, czy zachęcającego tonu. — Chodź tutaj — powtórzyła łagodnie. Córka Beldy bardzo ostrożnie zrobiła krok do przodu. Eirran wyciągnęła do niej rękę. Dziewczyna wzdrygnęła się, ale podeszła do młodej uzdrowicielki. Eirran włożyła jej do ręki słoik z maścią i dziewczyna musiała zacisnąć palce, żeby nie upadł na ziemię.

— Jak masz na imię? — zapytała.

— Rawfa — szepnęła tamta.

— A więc Rawfo, czy będziesz mogła pomóc matce zmienić bandażę i posmarować jej rany maścią?

— O tak, pani, mogę. — Rawfa rozpromieniła się. — Przyglądałam ci się za każdym razem, kiedy przychodziłaś, by pielęgnować mamę, i wiem, jak to się robi.

— Bardzo dobrze. Czy wiesz, że jest jeszcze coś, w czym mogłabyś jej pomóc?

— Co takiego? — zapytała dziewczyna. W jej smutnych oczach zabłysła iskierka zainteresowania.

Eirran szerokim gestem wskazała na brudną izbę. Powietrze w niej było ciężkie i stęchłe, gdyż za wiele nie myjących się osób przebywało na zbyt małej przestrzeni.

— Mogłabyś podnieść rzeczy z podłogi i położyć je na miejsce. Ty i twoje rodzeństwo moglibyście nawet pomóc przy praniu. Mogłabyś też wykapać swoich

młodszych braci i siostry, i sama wziąć kąpiel. Mogłabyś też zamieść podłogę.

Iskierka zainteresowania zgasła i Rawfa ponownie się zgarbiła.

— To na nic się nie zda. Tata wraca do domu i rozwała wszystko od nowa. Czasami wymiotuje. Mama mówi, że to od wódki.

Eirran wyczuła to zaraz po wejściu, gdyż obrzydliwy smród wymiocin ledwie startych z podłogi górował nad innymi zapachami.

— Musisz spróbować — powiedziała stanowczo. — To, co robią inni ludzie, to ich sprawa. Ale to, co ty robisz, to jedynie twoja sprawa. Nie możesz sobie folgować, stać się brudasem i pogрузić się w rozpacz. Czasem twój ojciec nie jest sobą. Jest wtedy chory i dlatego postępuje tak, jak nigdy by nie postępował, gdyby czuł się dobrze. — Eirran przegnała myśl, że kłamie temu dziecku. Nawet gdyby Rofan nigdy nie tykał trunku, który on sam i kilku podobnych mu mężczyzn wyrabiali z ziarna, choć mogłyby pożywić się nim ich rodziny, zachowywałyby się tak samo.

Eirran знаła się na trunkach. Dorosła usługując przy stołach w karczmie swojego wuja w Karstanie przy głównej drodze łączącej Kars i Yerlaine. Umiała odróżnić zły trunek od dobrego, wiedziała też, jacy mężczyźni go nadużywali, a jacy pili wyłącznie po to, by zapomnieć o trudnościach dnia codziennego. Rofan był brutalem i gorzałka pozwalała mu tylko na ujawnienie wrodzonego okrucieństwa.

Westchnęła. Przynajmniej tyle dobrego, że Rofan i jego kompani nie wytwarzali trunku, który mógłby oślepić albo nawet zabić pijącego. Sama trzymała dzbanek napitku Rofana na górnej półce w szafce za stołem, przy którym pracowała. Był doskonały jako środek pobudzający, gdy używało się go w niewielkich ilościach. Kiedy wlało się go nieco do rany lub draśnięcia, nie dopuszczał do zakażenia. Wciąż zdumiewało ją, że można nadużywać czegoś, co miało tak dobroczynne skutki.

— Chodź — powiedziała energicznie. — I wy też. Zrobimy z tego zabawę. Każde z was coś podniesie i położy na miejsce. Szybcitko zrobimy tu porządek.

Dzieci posłuchały jej, aczkolwiek niechętnie lub ze złością, w zależności od swojej natury.

— Tak dobrze sobie radzisz z dziećmi — powiedziała Belda. — Ja niestety nie. To dziwne, że ja mam nowe dziecko co rok, a ty tylko jedno.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że... — Eirran uważniej przyjrzała się Beldzie.

— Tak. Znowu jestem w ciąży. Myślę, że tym razem to perspektywa wykarmienia jeszcze jednej gęby wyprowadziła Rofana z równowagi.

— Jak gdyby karmił te, które już spłodził. — Eirran ugryzła się w język, ale nie mogła cofnąć wypowiedzianych już słów. Powinna odejść stąd jak najszybciej, zanim powie coś jeszcze gorszego. — Rawfo, ty tu rządzisz, dopóki twoja matka nie wyzdrowieje — rzekła z ożywieniem. — Dopilnujesz, żeby panował tu porządek. I będziesz pomagała swojej matce w opiece nad najmłodszymi dziećmi. Wszyscy musicie razem pracować.

— Tak, pani — odparła dziewczyna.

Eirran w głębi duszy wiedziała jednak, że słowa Rawfy były tylko słowami. Mieszkańcy tej chatynki na skraju wioski przyszli na świat już na wstępie pokonani przez życie. Zrobiło się jej żal tego najmłodszego, tak maleńkiego, że jeszcze nie wydeło brzucha swojej matki.

Z całego serca zapragnęła, żeby Yareth już wrócił z wiosennego polowania. Surowy Sokolnik, który teraz był jej małżonkiem, nie tolerował nonsensownego zachowania u nikogo, zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Kiedy pierwszy raz opatrywała pobitą przez męża Beldę, Yareth odnalazł Rofana i stłukł go na kwaśne jabłko. Teraz Rofan bił żonę tylko wtedy, gdy Sokolnika nie było w wiosce, i wydawało się wówczas, iż pragnie powetować sobie za ten czas, kiedy nie mógł tego robić.

Włożyła swoje rzeczy do sakwy i odeszła, odmówiwszy wypicia kubka wodnistego rosołu.

— Zachowaj go dla dzieci — poradziła Beldzie. — Albo dla Rofana, kiedy wróci. Przyjdę jutro i przyniosę ci miksturę pomocną dla ciężarnych kobiet. Przyniosę też trochę mąki, jeśli będę mogła się bez niej obyć. Zrób z niej coś dla dzieci.

— Dziękuję ci, pani — powiedziała pokornie Belda. — Dziękuję ci, Mądra Kobieto.

II

Ściemniało się już, kiedy Eirran wlokła się ścieżką prowadzącą do jej ciepłej i czystej chaty. Serce jej się ścisnęło, gdy uświadomiła sobie, że nie zostanie w niej Yaretha. Poślizgnęła się i z trudem utrzymała równowagę. O zmroku błoto zamarzło i cienki lód pokrył kałuże. Pomyślała o talerzu ciepłego gulaszu, z którym Jenys z pewnością na nią czeka. Wprawdzie Jenys miała tylko sześć lat, ale należała do tych dzieci, które sprawiają wrażenie, że urodziły się dorosłe. Od czasu gdy zaczęła chodzić, cieszyła się, że może pomagać mamie. Eirran kochała ją tak bardzo jak Yaretha. Tych dwoje było jej całym życiem.

Niekiedy Eirran musiała opuścić swój ciepły, zaciszny dom, żeby udzielić pomocy w nagłej potrzebie, najczęściej z powodu Rofana, niemniej jednak Blagden było wioską spokojną i młoda uzdrowicielka cieszyła się, że tu mieszka. Przez większą część roku powodziło im się nieźle. Dawał się we znaki tylko przednówek, gdy zapasy żywności topniały i mroźne noce ustępowały miejsca chłodnym, dżdżystym dniom.

Przebyli z Yarethem daleką drogę od czasu wyprawy do Gór Granicznych w poszukiwaniu Gniazda Sokolników. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, Yareth zamierzał odbudować starożytną twierdzę swego ludu i porwał Eirran, która miała stać się matką nowego pokolenia Ptasich Wojowników.

Początkowo go nienawidziła i czuła do niego pogardę, gdyż porwał ją, gdy spała, nigdy jednak się go nie obawiała. Mężczyzna, który poprzedniego wieczoru siedział w ciemnej izbie wujowskiej karczmy i obserwował ją podczas pracy, zainteresował ją. I było to uczucie obopólne. Ale Eirran nigdy pokornie nie godziła się z losem. Stwierdziła, że została porwana, związana, zakneblowana i oczy ma zawiązane własną chustą. Kiedy wyjęto jej knebel, wrzasnęła tak głośno, iż porywacz omal nie ogłuchł. Nawet jego sokół, Śmiały Wojownik, uciekł przed tym hałasem. Zamilkła dopiero wtedy, gdy dostała czkawki, a działo się tak zawsze, kiedy była zdenerwowana albo rozgniewana. Wówczas pokłócili się po raz pierwszy. Sokolnik oczekiwał, iż branka zajmie się przyrządzaniem posiłku, lecz ta gniewnie odrzekła, że skoro wziął ją do niewoli, sam powinien się teraz o wszystko troszczyć. Wreszcie, po dniu milczenia, zawarli niepewny rozejm. Podczas dalszej podróży w pełni wykorzystywali tę trudną sytuację, dopóki nie dotarli do Gór Granicznych i nie zostali zaatakowani przez tak okropnego stwora, że Eirran ucieszyła się, iż napastnik powalił ją na ziemię i ogłuszył, zanim zdążyła mu się przyjrzeć.

Wszyscy czworo schronili się w wąskiej jaskini — Eirran, Yareth, Śmiały Wojownik i torgiański wierzchowiec — Rangin. W tej prowizorycznej kryjówce — Eirran zrobiło się ciepło na samo wspomnienie, mimo zimnego wieczornego wiatru — Yareth obnażył ją, żeby obejrzeć posiniaczone ramię branki. Dotknęli się, zbliżyli do siebie i, mimo że żadne z nich tego nie chciało, zaczęli się kochać. Później nieznaną potwór odnalazł ich trop i jaj szarpać pazurami skalną ścianę, próbując ich dosięgnąć. Kulili się w ciemnościach, pewni, że nie przeżyją tej nocy. Yareth dał jej swój nóż myśliwski. Chociaż żadne nawet o tym nie wspomniało, oboje wiedzieli, jak powinni umrzeć, by nie wpaść w łapy drapieżnika. Eirran miała zabić torgiańczyka, Yareth zaś sokoła. Później młoda Karstenka miała zginąć z ręki Sokolnika, który zamierzał zabić się tą samą bronią. Na szczęście wstał ranek i przepędził straszliwą bestię, zanim zdołali wprowadzić ten plan w życie.

Wiedząc, jaki potwór zamieszkiwał teraz góry, w których kiedyś wznosiło się Gniazdo, musieli je opuścić. Nie mogli walczyć z nim sami, a reszta Sokolników

rozproszyła się po świecie.

Takie przeżycie tworzy głęboką więź między mężczyzną i kobietą. Nawet Śmiały Wojownik pogodził się z jej obecnością i usiadł na łęku siodła, na którym siedziała w ramionach Yaretha, koń zaś pozwolił się jej nakarmić i wyczesać. Młoda Karstenka i Sokolnik wiedzieli, że już się nie rozstaną, jakkolwiek marzenie Yaretha o odbudowie Gniazda rozwiało się jak sen. A Eirran nie chciała wracać do karczmy, gdyż wuj od pewnego czasu nakłaniał ją, żeby była „milsza” dla jego gości. Zawsze marzyła o czystej, zacisznej chacie, dziecku w kolebce i kocie mruczącym przy ognisku. Wydawało się, że jej marzenie może się ziścić właśnie tu, w Blagden.

Wyruszyli do Estcarpu, odrzucając mijane osady jedna za drugą. Albo był to zapomniany przez wszystkich zakątek w górach, gdzie Eirran nie czułaby się dobrze, albo miasteczko na równinie, w którym Yareth nie znalazłby dla siebie miejsca. W końcu natknęli się przypadkiem na maleńką wioskę Blagden położoną o kilka mil na południe od Lormtu. Blagden leżało poniżej przełęczy między Górami Granicznymi a Wielkimi Górami na wschodzie. Spodobało się tu Yarethowi. Tutaj w końcu Eirran otworzyła sakiewkę z uzbieranymi z takim trudem przez lata pieniędzmi (Yareth ją zabrał razem z młodą Karstenką). Kupili chatę oraz tyle ziemi, żeby mogli się wyżywić. Za resztę oszczędności Eirran kupiła łagodnego wałacha do pług, gdyż torgiańczyk nadawał się tylko pod siodło.

I tak się tutaj osiedlili. A niewiele brakowało, by Eirran wpadła w rozpacz, gdyż już zwątpiła, że znajdą z czasem odpowiednie dla siebie miejsce. Wiedziała bowiem, że dziecko rosnące w jej brzuchu miało się niebawem urodzić.

Pierwsza zima była ciężka, gdyż zabrakło im czasu na zrobienie zapasów. Yareth wszakże polował na króliki, wiewiórki i ptaki, i wymieniał je na potrzebny prowiant oraz ziarno siewne. Eirran wydała ostatnie pieniądze na wyposażenie chaty — łoże, stół, ławki i kocioł. Yareth nieoczekiwanie odkrył w sobie talent, gdy zabrał się do strugania drewnianych łyżek i misek na własny użytek. Później własnoręcznie wykonał kołyskę dla swej córeczki. Eirran również nie próżnowała. Orała, sadziła, prała, gotowała. I wszędzie, dokądkolwiek szła, niosła na plecach maleńką Jenys. Jej chata dosłownie lśniła czystością, ogród warzywny dawał niezwykle plony, a zioła aż kipiały przekraczając granice grządek. A później, jakby po to, by marzenie Eirran ziściło się w całej pełni, młody, pręgowany jak tygrys kot zjawił się pewnego ranka na progu chaty. Początkowo Śmiały Wojownik podejrzliwie przyglądał się intruzowi, a kot, którego nazwali Łowcą, stąpał cicho i ostrożnie w jego pobliżu, gdy sokół zasiadał na swojej grzędzie. Później jednak jakoś się ze sobą pogodzili, tak jak przedtem Eirran i Yareth. Miejsce Śmiałego Wojownika było w lesie, z Yarethem, a Łowcy z Eirran w chacie i pobliżu.

Sokół i kot tak skutecznie współzawodniczyli ze sobą w polowaniu na szkodniki, że w całym Blagden nie było chaty, w której znalazłoby się choć jedną mysz. Oba zwierzęta tak dobrze sobie radziły, że musiały rozszerzyć swoje tereny łowieckie na inne domostwa, ku wdzięczności ich mieszkańców i, czasami, rozbawieniu.

— Wygląda to tak, jakby każde chciało pokazać, ile myszy może upolować — powiedziała kiedyś Aidine, najbliższa sąsiadka Eirran. — To zadziwiające, wprost nie do wiary!

Jeżeli był jakiś cień w życiu Eirran i Yaretha, to tylko jeden: Sokolnik nie nadawał się na rolnika. Wyruszał jednak w góry na polowanie i dostarczał do wsi świeże mięso. Z czasem stał się głównym myśliwym w Blagden. Nie miał miecza, tylko długi sztylet, jego pistolet strzałkowy nie był bronią myśliwską, nawet gdyby zdołał zdobyć amunicję do niego. Mógł wszakże rozwieszać sieci, zakładać wnyki i bardzo celnie strzelał z procy. Jeden z wieśniaków, który nie był łucznikiem, podarował mu wyjęty z jakiejś kryjówki łuk i Yareth używał go, dopóki sam nie zrobił sobie lepszego.

Wieczorami, kiedy nie miał nic innego do roboty, strugał strzały i oklejał piórami lotki.

Eirran i Yareth bardzo się kochali. Chociaż młody Sokolnik nie wyżył się wpojonych w dzieciństwie przekonań, kochał swoją małżonkę. Od czasu do czasu pojawiała się między nimi ostra różnica poglądów — sprzecjali się wtedy głośno i zawzięcie (Eirran nigdy nie ukrywała swojego zdania pod pozorami uległości), aż Yareth wychodził z domu, żeby ochłonać — lecz Sokolnik nigdy nie podniósł na żonę ręki.

Jest po stokroć bardziej męski niż ten łajdak Rofan, pomyślała Eirran skręcając na dróżkę prowadzącą do domostwa. Nie chciało jej się wierzyć, jakie miała szczęście, że go spotkała.

Eirran była tak głęboko zamyślona, iż dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Mała chatka prawie przy samym końcu wygodnej dróżki wydawała się dziwnie opuszczona. W oknie nie widać było światła lampy, z komina nie unosił się dym. Łowca nie czekał przy drzwiach na jej powrót. Aidine widząc ją wybiegła z sąsiedniej chaty.

— Och, Eirran, nie ma jej, nie ma! — krzyknęła i wybuchnęła płaczem.

Eirran opanowała się całym wysiłkiem woli.

— Uspokój się, Aidine — powiedziała. — Nie mogę ci w niczym pomóc, dopóki mi nie powiesz, co się stało. Kogo nie ma?

— Jenys! — Aidine z trudem przełknęła ślinę, starając się uspokoić. — Nie ma jej!

— Jenys?! Nie ma jej? Dokąd poszła? Co się stało? Czy jest ranna? — Eirran wpadła w panikę.

— Nie, nie, nic podobnego. Proszę, wejdź do środka. Ogrzej się. Musisz być zmarznięta...

— Nie ma czasu! Muszę jej szukać...

— Nie, Eirran. Zabrali ją.

— Kto?!

— Pięciu uzbrojonych jeźdźców i jakaś dama w szarym stroju. Obok niej jechało na kucykach pięcioro dzieci. Miała też szóstego kucyka.

— I Jenys odjechała z nimi? Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć? Moja Jenys nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła! — Eirran wyminęła sąsiadkę i wbiegła do pustego domu. Łowca wyszedł ze swojej kryjówki i zaczął ocierać się o jej nogi miaucząc żałośnie.

Przeszukała chatę z nadzieją, że Jenys schowała się dla żartu. Ale ogień w piecu wygasł, a z zapomnianego garnka z zupą jarzynową wydobywał się zapach spalenizny. Po Jenys nie pozostał żaden ślad.

Eirran odruchowo podniosła kota i przytuliła do siebie. Szturchnął zimnym nosem jej podbródek, jak robił zawsze, gdy był głodny lub chciał zwrócić na siebie jej uwagę. Pogłaskała go za uszami.

— Jej naprawdę nie ma — powiedziała do niego drętwą. — Mojej Jenys naprawdę nie ma. Och, co mam zrobić?

III

Eirran czekała i denerwowała się przez półtora dnia. Targana niepokojem omal się nie rozchorowała. Zniosła zioła i mały woreczek mąki do Beldy; wybrała porę, kiedy Rofana nie było w domu i zmusiła się do spokojnego

zachowania. Nic nie zyska niepokojąc Beldę. Później to obsypywała piesszczotami Łowcę, to brała się do ciężkich wiosennych robót, robiła wszystko, żeby nie myśleć. Wieczorami spróbowała naprawić jedną z sukienek Jenys i zrosiła łzami szwy. Jadła tylko wtedy, kiedy Łowca przypomniiał jej o tym. Yareth wrócił po południu następnego dnia. Eirran zaczęła właśnie wykopywać korzeń drzewa, który przeszkadzał jej w uprawie ogrodu warzywnego. Zajęta usuwaniem zagłębionego w ziemi kłębowiska nie usłyszała poruszenia, które wywołał wśród mieszkańców wioski powrót myśliwych. Podniosła wzrok dopiero wtedy, gdy Rangin parsknął witając wałacha. Yareth klepnął torgiańczyka po zadzie i odesłał go do stajni. Później zdejmie siodło i go oporządzi. Sokolnik uśmiechnął się i podszedł do Eirran z wyciągniętymi ramionami.

— Prosiłem cię, żebyś poczekała z tym do mojego powrotu. Razem mieliśmy to zrobić! — rzekł z wyrzutem w głosie. — Jesteś brudna i wcale nie przypominasz kobiety, którą chciałem znów wziąć w objęcia....

Eirran podskoczyła i płacząc rzuciła mu się gwałtownie w ramiona, omal go nie przewracając.

— Eirran, Eirran, opanuj się! — powiedział ze śmiechem, obejmując ją i spoglądając w twarz. Spoważniał. Żona nie płakała z radości.

— O co chodzi? Co się stało?

— Jenys...

Nie tak chciała mu o tym opowiedzieć, ale spokojnie, bez strachu i paniki, nie tak jak wtedy, gdy Aidine wyszła jej na spotkanie. Kiedy rozpoczęła opowieść, Yareth zadrzał z gniewu. Opadli na kolana, tuląc się do siebie, gdy Eirran opowiadała mu o wszystkim, czego się dowiedziała od tamtej strasznej nocy.

Wreszcie Sokolnik powstał, pociągając za sobą żonę, i weszli do domu. Yareth usiadł przy stole, a Eirran siłą nawyku zaczęła parzyć dla niego herbatę. Śmiały Wojownik siedział już na swojej grzędzie i powitał ją skwirząc i machając skrzydłami.

— Ilu było zbrojnych? — spytał zimno Yareth.

— Aidine powiedziała, że pięciu, a także jedna kobieta i sześcioro dzieci.

— Czy kobieta miała na sobie szary strój? Czy jesteś tego pewna?

— Aidine tak mówiła. Ja ich nie widziałam. Byłam... byłam gdzie indziej.

— I zostawiłaś Jenys samą? — Zmarszczył brwi.

— Zawsze tak robiłam, kiedy musiałam komuś pomóc. Jenys miała pilnować domu do mojego powrotu.

— U kogo byłaś?

— Belda była ranna

— Ten przeklęty fajdak! — Yareth walnął pięścią w stół. — Opatrywałaś rany, które zadał swojej głupiej żonie, podczas gdy wiedźmy z Estcarpu porwały moją córkę. — Zaczął się podnosić. — Zabiję go...

— Nie! — Eirran pchnęła go z powrotem na zydel. — To nic nie da! Co miałeś na myśli mówiąc o wiedźmach z Estcarpu?

Sokolnik spojrział spode łba. Nieznacznie zadrzał mu jakiś mięsień w policzku.

— To nie mógł być nikt inny. Kobieta w szarym stroju, uzbrojeni mężczyźni,

dzieci — czy wszystkie były dziewczynkami?

— Aidine mówiła, że tak.

— Więc to pewne. Wiedźmy z Estcarpu prawie się same unicestwiły i to swoje złowrogie plemię podczas Wielkiego Poruszenia, kiedy zniszczyły Gniazdo. Wielu mieszkańców Estcarpu miało przynajmniej taką nadzieję. Teraz próbują uzupełnić swoje szeregi, przybывая ukradkiem i kradnąc córki niczego nie podejrzewającym...

— Na pewno nie ukradli całej szóstki, nie czekali, aż ich rodziców nie będzie w domu...

Yareth wstał. Widać było, że podjął już decyzję.

— Ślady już się zatarły. Ale to nie ma znaczenia. Wiem, dokąd ją zabrały. Jadę do Es, odbiorę moją córkę.

— Nie pojedziesz sam.

— A dlaczego nie?

— Ponieważ jest moją córką w takim samym stopniu jak twoją! — Eirran spojrzała na niego z gniewem, nie zdając sobie sprawy, że położyła ręce na brzuchu.

— A nawet jeszcze bardziej. Nosłam ją w brzuchu przez tyle miesięcy. To ja ją urodziłam. To ja cierpiałam wydając ją na świat. Czy nie sądzisz, że poszłabym za nimi jeszcze tej samej nocy, gdybym nie uznała, że powinnam poczekać na ciebie?! A teraz chcesz mnie zostawić? Nigdy! Jadę z tobą i nie zmienię zdania.

Yareth spiorunował ją wzrokiem. Oczy miał piwne tak jak jego sokół. Każdy inny człowiek, nawet wojownik, zdrząłby pod tym groźnym spojrzeniem. Eirran domyśliła się, że Sokolnicy właśnie tak się zachowywali wobec mieszkanek górskich wiossek. Zwyczajnych kobiet. Ale ona była kimś więcej. Była żoną Yaretha i matką Jenys. Wyruszy razem z nim i zażąda zwrotu córki od tych, które ją zabrały.

— Nie zgadzam się, żeby Rangin dźwigał podwójny ciężar przez całą drogę do Es — oświadczył Sokolnik.

Kolana ugięły się pod Eirran, kiedy zrozumiała, że boi się, by nie znalazł sposobu na pozostawienie jej w wiosce.

— Zapomniałeś o Dornym. Za kilka minut będę gotowa.

— Czekać na ciebie tracę czas. — Yareth odwrócił wzrok.

— Godzina oczekiwania nic nie zmieni. Wrócisz po tygodniowym pobycie w górach. Na pewno jest coś, co musisz zrobić, zanim znów wyruszysz w drogę.

— Dobrze — powiedział niechętnie. — Daję ci godzinę.

Eirran już dawno spakowała swój śpiwór i żywność, która jeszcze im pozostała, przygotowała też do drogi swój kaftan, spodnie oraz opończę. Pośpiesznie umyła się i przebrała. Później wzięła na ręce Łowcę i poszła do sąsiadki.

— Czy możesz się nim zająć? — zapytała Aidine. — Jedziemy szukać Jenys i nie wiem, jak długo nas nie będzie...

— Oczywiście — odrzekła Aidine. Wzięła od Eirran kota, który przytulił się do niej. — Każę Hefin obsiać twój ogród i będę go doglądała. Nie martw się o nic. Bądźcie ostrożni. O tej porze roku drogi są niebezpieczne.

— Wiem, wiem. Ale wrócimy.

— Więc życzę wam szczęścia.

— Dziękuję. Czuję, że będzie nam potrzebne.

Eirran pobiegła do ich niewielkiej stajni. Yareth już nakarmił i pośpiesznie oporządził Rangina. Śmiały Wojownik czekał na krokwi. Sokolnik gwizdnął. Na ten znak jego skrzydlaty brat sfrunął na łąk siodła w tej samej chwili, gdy Yareth dosiadł konia.

— Zaczekaj... — powiedziała Eirran.

— Musisz się pośpieszyć, jeśli chcesz ze mną jechać. — Yareth trącił łydką

torgiańczyka, który wybiegł ze stajni. Kiedyś Rangin tańczyłby w miejscu, podrzucając głową i parskając, jakby chciał pokazać, że długa i ciężka podróż to dla niego błahostka. Wiek jednak zaczął się już dawać we znaki zarówno rumakowi, jak i sokołowi. Śmiały Wojownik spędzał więcej czasu siedząc na grzędzie w domu niż wzlatając ku niebu przy lada okazji.

Eirran szybko zarzuciła na ramię podróżną sakwę, założyła Dorny'emu uzdę i wdrapała mu się na grzbiet. Żałowała, że nie mieli drugiego siodła. Kiedy wyprowadziła łagodnego, o płaskich kopytach wałacha na drózkę, Yareth był już daleko; rozumiała wtedy, że przez większą część drogi do Es będzie widziała tylko jego plecy.

Jenys była bardzo zajęta przez cały dzień. Wstała o świcie razem z mamą i obie pracowały w ogrodzie przez większą część poranka, przygotowując ziemię do wiosennego siewu.

— Każdego roku jest więcej zielska i to coraz gorszego — powiedziała mama. Pociągnęła dużą, brzydką roślinę, którą dziewczynka chciała wyrwać, ale nawet nie mogła ruszyć jej z miejsca. Wreszcie wyrwały ją wspólnymi siłami. Jenys była przekonana, że zielsko warczało i ryczało, kiedy wyciągały je z ziemi. Mama dorzuciła je na stos do innych, przeznaczonych na spalenie.

— W tym roku poszerzymy ogród i obsiejemy ten kawałek ziemi. — Wskazała na miejsce, gdzie z ziemi wystawał rosochaty pień.

— Ależ mammo, tata powiedział, żeby go nie ruszać aż do jego powrotu, kiedy będzie mógł nam pomóc — zaoponowała dziewczynka.

— Podśluchiwałaś nas, co? No cóż, ja nie zamierzam czekać na tatę. Co o tym sądzisz? Myślę, że wiem, jak zrobić to samej. I tak musimy zaprząć Dorny'ego do pług. Okopię głęboko ten pniak i obluzuję. Wtedy przywiązany Dorny'ego do tego paskudztwa i pozwolimy mu je wyciągnąć. Później tata będzie mógł porąbać go na szczapy.

Rozdział drugi

I

— To bardzo dobry plan — stwierdziła z powagą Jenys.

Mama roześmiała się.

— Ty moja mała staruszko — powiedziała, nie wiadomo który już raz. — Masz dopiero sześć lat, a wydaje się, jakbyś dobiegała czterdziestki.

Jenys nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego mama tak mówiła i czemu nazywała ją małą staruszką. Wiedziała, ile ma lat. Sześć, zaczęła siódmy rok. Zresztą powiedziała to, co podyktował jej rozsądek.

Wrywały zielsko, aż słońce stanęło w zenicie. Wtedy weszły do domu, żeby odpocząć i coś przegryźć. Mama robiła bardzo dobry ser. Od czasu do czasu przyjmowała za swoją pomoc zapłatę w mleku i Jenys z radością pomagała jej przy odcedzaniu i wyciskaniu twarogu. Lubiła też zanosić pozostałą serwatkę Dorny'emu i Ranginowi. Tak dziwnie wtedy sapały. Mama mówiła, że to dobrze im robi. I zdawały się bardzo lubić serwatkę, prawie tak samo jak kawałki jęczmiennego cukru, którymi czasem mama je częstowała.

Po obiedzie mama zaprzęgała Dorny'ego i zaczęła orać. Gleba była jeszcze mokra i błotnista, i kopyta wałacha wydawały mlaszczące dźwięki, kiedy ciężko stapał wzdłuż bruzdy. Świeżo zaorana ziemia była czarna i wyglądała na bardzo żyzną, dziewczynka lubiła jej zapach.

— Zaorz potem ogród, mamó — powiedziała — a ja obsieję go dla ciebie.

— Dobrze. Dorny potrzebuje odpoczynku — odrzekła z uśmiechem. — Przynieś mi łopatę. — Na końcu bruzdy przywiązała lejce do trzonka pługa. Wałach opuścił z westchnieniem głowę i jął szczypać wczesną trawę.

Jenys pobiegła do stajni i zaraz wróciła z łopatą. Ona i jej mama miały trzy ogródki, kwietny przed chatą oraz warzywny i zielny z tyłu domostwa. Ogródek zielny był najmniejszy. Lecz mama nie potrzebowała dużego ogrodu, skoro miała córkę, która obsiewała go dla niej. Nawet kiedy Jenys była jeszcze bardzo małą dziewczynką, sprawiała, że mamine zioła rosły duże, mocne i zdrowe. Córka Eirran nie miała pojęcia, jak to się dzieje: po prostu śpiewała wrzucając ziarno do ziemi w sposób, który wydawał się jej całkiem naturalny, a zioła same robiły resztę. I chociaż nigdy o tym z mamą nie rozmawiały, zachowywały to wszystko w tajemnicy. Czują, że tacie by się to nie spodobało.

Tata nie byłby zadowolony też z tego, że Erman mieszkający z drugiej strony wioski przyszedł do mamy wczesnym popołudniem. Nie lubiła Ermana. Zawsze tak brzydko pachniał.

— Proszę — powiedział chłopiec. — Chodzi o mamę. Źle z nią.

Ale mama nawet się nie zawahała, bez względu na to, co powiedziałyby o tym tata i mimo że Erman tak cuchnął. Po prostu otrzepała się i wyprzęgała Dorny'ego. Później weszła do chaty, żeby umyć ręce i twarz.

— Wrócę, jak tylko będę mogła — powiedziała do Jenys.

— Wiem — odrzekła dziewczynka. — Będę czekała na ciebie z kolacją, kiedy wrócisz do domu.

— Tak, rzeczywiście zbliżasz się do czterdziestki — matka oświadczyła z rozbawieniem i czule uszczypnęła córkę w policzek. Później wzięła swoją sakwę z lekami i odeszła z Ermanem.

Jenys wiedziała, choć nikt jej o tym nie powiedział, że Rofan znów pobił Belde. Zawsze czekał, aż tata opuści wioskę; Erman już po raz trzeci przyszedł po mamę, odkąd tata wyruszył na wielkie wiosenne łowy. Może tata stłucze Rofana tak, jak to już raz zrobił. W wiosce szeptano o tym po kątach całymi tygodniami. Jenys uważała to za bardzo podniecające. Tata nie cierpi Rofana i bardzo się rozgniewa, gdy się dowie, że znów znęcał się nad Beldą podczas jego nieobecności. Nie podobało jej się tylko to, że tata i mama gniewali się na siebie przez jakiś czas.

Nie miała wszakże nic przeciwko temu, że powierzono jej opiece dom i ogród. Skończywszy śpiewać nasionom, które mama wrzuciła do ziemi, poczuła się bardzo dorosła. Postanowiła teraz zająć się pozostałą częścią ogrodu. Wprawdzie zagon był tylko częściowo zaorany, ale już mogła zasiać bób, rzepę i może marchewkę. Nigdy dotąd nie śpiewała nad warzywami. Teraz przekona się, czy potrzebują innej pieśni niż ziola.

O dziwo, dziewczynka odkryła, że tak jest w istocie i każde warzywo wymaga innej piosenki. Wszystko to zaabsorbowało ją tak bardzo, że jakoś niezauważalnie skończyła jeden rząd i mogła zająć się drugim. Przyszło jej na myśl, że wołałaby siał miodne jagody zamiast zwykłych warzyw. Lecz mama ciągle mówiła, że warzywa są bardziej pożyteczne, gdyż zawsze można ususzyć ich nadmiar i odłożyć na zapas. A miodowe jagody są dobre tylko przez kilka krótkich tygodni dojrzewania. Co gorsza, nie nadawały się nawet na dobre konfitury. Mama często próbowała robić konfitury, ale nigdy jej się nie udawały. Tata zawsze śmiał się i mówił, że po prostu nie ma do nich talentu, lecz Jenys nie chciała w to wierzyć. Mama przecież mogła zrobić wszystko!

Dziewczynka skończyła siał marchewkę. Potem znalazła płaskie listewki, których mama używała jako tabliczek, i narysowała na nich bób, rzepę, marchewkę i wsadziła je do ziemi na końcu rzędów — Jenys umiała napisać tylko swoje imię.

— To jest właśnie to — powiedziała głośno. Naśladując matkę otrzepała ziemię z rąk i z ubrania, weszła do domu i umyła się dokładnie.

Zajrzała do spiżarni i zdjęła z półki suszone warzywa w woreczkach. Będzie z nich dobra zupa, jeśli należycie przyprawi je dzikim czosnkiem, a kępa czosnku rosła nie opodal rosochatego pnia. Wzięła trzy pełne garstki różnych warzyw — mama wyjęłaby tylko jedną, ale Jenys musiała trzykrotnie po nie sięgać, ponieważ jej dłonie były bardzo małe — i włożyła je do wody, żeby namokły, sama zaś poszła po czosnek. Narwała też wczesnych krokusów z ogródka przed domem. Tymczasem warzywa już zmiękły i Jenys mogła je pokroić. Najpierw jednak nałapała wody do dzbanka i włożyła do niego krokusy. Później zaczęła szykować obiad, podśpiewując pod nosem. Odrobina mięsa na pewno dodałaby zupie smaku, należało jednak oszczędnie gospodarować ostatkiem suszonej dziczyzny. Przynajmniej do powrotu taty, chociaż Jenys wiedziała, iż polowanie na pewno się uda. Przecież jej tata był najwspanialszym człowiekiem na świecie i największym myśliwym, jaki żył kiedykolwiek.

Włożyła jarzyny do garnka, dolała wody i zawiesiła nad paleniskiem, odsuwając na bok śpiącego Łowcę, żeby nie osmalił sobie futra i wąsów. Ten stary leń nawet okiem nie mrugnął, kiedy to robiła. Za jakiś czas obudzi się i siądzie na werandzie czekając na mamę; zawsze tak robił, kiedy wychodziła z domu za dnia. Później Jenys wyjęła wyrzeźbione przez tatę drewniane miski i łyżki i postawiła krokusy na stole. Zawsze lubiła ładnie ozdobiony stół.

Nagle usłyszała tętent końskich kopyt i męskie głosy. Podbiegła do drzwi i otworzyła je z bijącym sercem, pewna, że to tata wrócił wcześniej do domu. Ale na progu stała jakaś pani w szarym stroju z podniesioną ręką, jakby chciała zapukać. Jenys i nieznajoma stały tak patrząc na siebie i nie wiadomo, która z nich była

bardziej zaskoczona.

— Ach, to pani! — odezwała się dziewczynka.

— Tak — odrzekła nieznajoma. — Czekają na mnie.

— Czekalam? — zapytała Jenys mrugając ze zdziwienia. Zastanowiła się. W nieznajomej było coś znajomego, chociaż Jenys była pewna, że nigdy dotąd nie widziała ani jej, ani nikogo do niej podobnego. Przypomniała sobie wszakże pewien ranek sprzed kilku tygodni, gdy obudziła się z głębokiego snu, myśląc, że to mama woła ją po imieniu, ale mama spała. — Kiedyś wydało mi się, że usłyszałam coś...

— To było Wezwanie. A teraz przybyłam do ciebie. Dzieci, które są ze mną, również usłyszały Wezwanie.

Dopiero teraz Jenys oderwała wzrok od twarzy nieznajomej. Zobaczyła pięć małych dziewczynek, mniej więcej rówieśniczek. Jedne patrzyły na nią śmiało, drugie zaś ukryły się za spódnicami nowo przybyłej i tylko wyglądały zza nich chichocząc. Jedna trzymała palec w ustach i Jenys pomyślała, że przestała to robić już dawno temu. Wszystkie te dziewczynki wyglądały prawie tak samo jak nieznajoma. Z zaskoczeniem dostrzegła, że są bardzo podobne także i do niej samej — miały ostre rysy i wielkie szare oczy, które aż świeciły w trójkątnych jak u kota twarzyczkach. Emanowały aurą opanowania i spokoju, dziwną w tym wieku, i Jenys nagle zrozumiała, co jej mama miała na myśli mówiąc, że choć ma sześć lat, zbliża się do czterdziestki.

Na dróżce, nieco na uboczu, czekało pięciu mężczyzn na koniach. Nosili kolczugi i wysokie hełmy, spod których spływała metalowa siatka osłaniająca szyję. Jeden z nich miał sokoła, zupełnie jak tata. I mimo że damie w szarym stroju towarzyszyło tylko pięć dziewczynek, sześć kucyków leniwie szczypało świeżą trawę.

Jenys przeniosła znów wzrok na nieznajomą. Ta zaś pogłaskała białoszary owalny klejnot zawieszony na srebrnym łańcuszku na szyi. Córka Eirran nagle zapragnęła mieć taki sam klejnot bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

— Jesteśmy gotowi do odjazdu — oświadczyła dama w szarym, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz. — Jedź z nami.

— Tak, pani — odrzekła dziewczynka. Pomyślała, że byłoby niegrzecznie, gdyby zamknęła drzwi przed nosem nieznajomej, więc zostawiła je otwarte, a sama pobiegła po swoją brunatną opończę. Chciała pożegnać się z Łowcą, ale ten akurat gdzieś się zapodział. Zawiązała opończę pod szyją, tak jak nauczyła ją tego mama, i wyszła z domu, po czym starannie zamknęła za sobą drzwi.

— Jaka jesteś porządna i schludna! — wykrzyknęła dama w szarym stroju. — Zupełnie jak mała myszka.

Jenys nie mogła powstrzymać chichotu. Zapomniała o dobrym wychowaniu na myśl o myszce, na którą polowaliby zgodnie Łowca i Śmiały Wojownik, gdyby tylko odważyła się wysunąć głowę z norki.

— Czemu się śmiesz? Co w tym śmiesznego? — zapytała nieznajoma. A gdy Jenys wyjaśniła jej, o co chodzi, tamta również się roześmiała. — Może właśnie tak będziemy cię odtąd nazywali: Myszka. Czy ci się podoba?

— O tak, pani, bardzo mi się podoba! — Jenys — Myszka — spojrzała na nią nie kryjąc podziwu. — Czy mogłabyś mi powiedzieć, dokąd jedziemy?

— Jedziemy tam, gdzie ty i tobie podobne dziewczynki mogą chodzić do specjalnej szkoły.

Myszka zmarszczyła czoło.

— Do szkoły? — powtórzyła z powątpiewaniem. Dama w szarym stroju znów się roześmiała.

— Och, to jest szkoła i jeszcze coś więcej. To tam powinnaś przebywać. — Odwróciła się do pozostałych dziewczynek. — Chodźcie, dzieci. Przyprawdźcie

kucyka Myszki. Ona jeszcze nie wie, który jest jej. Czy zdołasz sama się na niego wdrapać?

— Tak, ‘dziękuję ci, pani — odrzekła Myszka. Wiele razy patrzyła, jaka tata wsiadał na Rangina, wiedziała więc, jak się to robi. Była za mała, żeby dosięgnąć strzemion torgiańczyka i tata podnosił ją i sadzał przed sobą w kulbace. Ale ten kucyk był w sam raz dla niej i bez pomocy wdrapała się na siodło.

A później bez najmniejszego wahania Jenys, nieznajoma szara dama, pozostałe dziewczynki i pięciu zbrojnych wyjechali z Błagden.

II

Myszka dowiedziała się, że dama w szarym stroju ma na imię Pszczoła. Odjechali drogą prowadzącą na pomoc. Dziewczynki podążały dwójkami tuż za koniem Pszczoły, gwardziści zaś z przodu i z tyłu. Rhinfar, ich dowódca, towarzyszył damie. Miał przywiązaną do siodła zwiniętą chorągiew.

Myszka dowiedziała się, że jadą drogą, która zaprowadziłaby ich aż do Lormtu, gdyby na niej pozostali i skręcili na Wielkim Rozdrożu. Słyszała już o Lormcie. Mama od czasu do czasu mówiła, że pojedzie tam na naukę, ale nigdy nie miała na to czasu. Lormt wydawał się interesującym miejscem ze swoimi uczonymi i zwojami, w których ukryta była wiedza. Nawet kamienie w jego murach musiały być nią przesiąknięte. Zwłaszcza teraz, kiedy dwie z czterech wież zawaliły się, odsłaniając mnóstwo nowych dokumentów, które dostarczą zajęcia kilku pokoleniom badaczy. Myszka i pozostałe dziewczynki pragnęły to zobaczyć. Pszczoła jednak wydawała się zupełnie nie interesować Lormtem i ignorowała wszystkie wzmianki o tym miejscu. Wolała go unikać tak samo jak Wielkiego Rozdroża, jadąc na przelaj, by dotrzeć do głównego traktu. Eskorta jechała za nią bez słowa.

Główny trakt był szeroki i dobrze ubity, po obu jego stronach ciągnął się niski murek z kamiennych bloków, szarzielonych jak rzeka, wzdłuż której podróżowali. Myszka nigdy w życiu nie widziała takiego wspaniałego koloru. Wokół Blagden kamienie były czerwonoróżowe i nawet ziemia miała czerwony odcień, jeśli nie była świeżo zaorana albo wilgotna. Wówczas stawała się ciemnoróżowa, prawie czarna.

Dziewczynka była pewna, że wszyscy będą się z niej śmiać, gdyż tak często się rozglądała podczas jazdy. Nigdy dotąd nie opuszczała Blagden i świat zewnętrzny wydał jej się niezwykle, podniecający, a jednocześnie budził w niej strach. Niebawem jednak zauważyła, że pozostałe dziewczynki zachowywały się tak samo, z wyjątkiem Gwiazdki, która najlepiej nad sobą panowała. Wszystkie rozgadały się i Myszka odniosła wrażenie, że Gwiazdka była wszędzie i wszystko widziała. To ona najczęściej mówiła im, gdzie się znajdują i co zobaczą za następnym zakrętem głównego traktu czy za następnym wzniesieniem.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosła Myszka, okazało się prawdziwe: jej towarzyszki rzeczywiście były bardzo do siebie podobne. Wszystkie, nawet Pszczoła, miały smukłą budowę ciała, trójkątne kocie twarze, ciemne oczy i włosy oraz bladą cerę. Wyglądały jak kuzynki podróżujące w towarzystwie ciotki. Wszystkie też miały teraz nowe imiona. Myszka nie miała pojęcia, jak się przedtem nazywały, zresztą wcale jej to nie obchodziło. Wydawało jej się też, że zawsze była Myszką i nikim innym. Po raz pierwszy w życiu miała przyjaciółki, prawdziwe przyjaciółki, tak do niej podobne, że wreszcie zrozumiała, dlaczego czuła swą inność i obcość. Dowiedziała się, że i one tak samo czuły się w swoim otoczeniu. Teraz dobrze im było ze sobą, a przedtem zawsze były bardzo samotne w sposób, który tylko one potrafiły zrozumieć. Teraz miały wrażenie, jakby każda odnalazła pięć nowych sióstr. Towarzyszki Myski nazywały się: Ptaszynka, Płomyk, Gwiazdka, Świerszczyk i Seplenisia, która nie umiała wymówić litery „s”. To właśnie ona ssała kciuk, kiedy czuła się niepewnie. Nazywała Myszkę „Myfką” i słysząc to pozostałe dziewczynki pękały ze śmiechu. Niebawem Myszka zrozumiała, dlaczego Pszczoła nadała im takie imiona.

Ptaszynka była bystra i wścibska. Przechylała głowę, przysłuchując się rozmowie, a potem gdy nowa myśl przyszła jej do głowy, skupiała uwagę zupełnie na czymś innym. Płomyk zdawała się świecić wewnętrznym ogniem i kiedy się odzywała,

mówiła żywo i z głębokim przekonaniem. Świerszczyk była niezmiennie wesoła, podczas gdy Gwiazdka okazała się najmądrzejszą osobą, jaką Myszka kiedykolwiek spotkała — oczywiście poza mamą i tatą. Co się zaś tyczy Seplenisi — no cóż, jej przezwisko było dla wszystkich zrozumiałe.

Myszka dowiedziała się, że Pszczoła wyruszyła z zamku Es i zatoczyła olbrzymi krąg przez cały Estcarp. Najpierw skierowała się na południe, potem na wschód, a następnie na pomoc. Zakończyła poszukiwania w Blagden i teraz miała pod opieką wszystkie dziewczynki.

Ptaszynka, Płomyk i Świerszczyk, tak jak Myszka, pochodziły ze zwykłych rodzin mieszkających w małych wioskach. Seplenisia była córką możnego rodu, którego zamek wznosił się w pobliżu zniszczonych przez Wielkie Poruszenie Gór Granicznych. Gwiazdka urodziła się w rodzinie wędrownych handlarzy, sprzedawców świecidełek, całe życie spędzających na swoich wozach. Jej matka i mężczyzna, który właśnie dzielił jej postanie, przestraszeni widokiem odzianej na szaro kobiety w eskorcie zbrojnych gwardzystów, która bez trudu ich odnalazła, pozwolili zabrać sobie Gwiazdkę bez słowa protestu. Poza tym oznaczało to jedną gębę mniej do wykarmienia. Gwiazdka opowiedziała im tę historię beznamiętnym głosem. Myszka rozumiała, że albo wcale się tym nie przejęła, albo że tak bardzo ją to zabolowało, iż postanowiła nie dać nic po sobie poznać. Postanowiła zostać najlepszą przyjaciółką biednej Gwiazdki. Jej mama i tata...

Z zaskoczenia otworzyła szeroko oczy. Po raz pierwszy po opuszczeniu domu pomyślała o swoich rodzicach! Prawie o nich zapomniała i wcale za nimi nie tęskniła. Czy zmartwi ich jej odjazd? Czy będą się niepokoić, co się z nią stało?

Owej nocy Myszka nie usnęła od razu, ale płakała cicho, okryta ciepłym kocem. Usłyszała odgłosy płaczu i pociągania nosem. Usiadła i rozejrzała się — większość jej towarzyszek również płakała.

— Ja chcę do mamy — powiedziała płacząco Świerszczyk.

— Ja też — dodała Płomyk. Seplenisia ssała kciuk, jakby nigdy nie miała tego zaprzestać. Myszka zapragnęła czegoś więcej, chciała, by jej mama ją usłyszała, tak jak to się czasem zdarzało w Blagden. Ale jakoś bała się to zrobić, gdy Pszczoła była w pobliżu.

— Lepiej się uspokój — powiedziała Gwiazdka. Tylko ona nie płakała. — Pszczoła cię usłyszy.

— Już usłyszałam — odezwała się Pszczoła. Weszła w środek grupy, usiadła i wzięła Seplenisę na kolana. Świerszczyk skuliła się w zgięciu jej drugiego ramienia, a reszta dzieci podpełzła najbliżej jak mogła, nawet niezależna Gwiazdka.

— Proszę cię, pani — odezwała się Myszka. — Zapomnialiśmy powiedzieć moim rodzicom, dokąd jedziemy. Oni nawet nie wiedzą, gdzie jestem!

— I to cię niepokoi, prawda? — zapytała Pszczoła. — No więc nie musisz się martwić. Teraz już wiedzą, co się stało.

Seplenisia wyjęła palec z ust i zdążyła rzec:

— Brak mi mamy i taty. — Włożyła znów palec i pociągnęła żałośnie nosem.

— To minie. Jesteście bezpieczne i jesteście tam, gdzie powinnyście być.

Pamiętajcie o tym. A teraz śpijcie, wszystkie. — Pszczoła zapędziła je z powrotem na ich miejsca i otuliła kocami. Pocałowała wszystkie, zatrzymując się nieco dłużej przy Seplenisi.

Dziewczynki znalazły więcej pociechy w tym, co ich opiekunka miała na myśli niż w tym, co powiedziała.

— Dziękuję ci, pani — powiedziała Myszka. — Teraz będziemy spokojne. — A potem zasnęła.

III

Myszka czuła się wspaniale w towarzystwie Pszczoły tak jak jej towarzyszki. Wydawało się im, że zyskały ciotkę, młodą ciotkę, z którą mogły się droczyć i śmiać, i która była bardzo wesoła. Nigdy dotąd nie spotkały kogoś równie wesołego. Jednocześnie jednak wiedziały, że muszą jej słuchać we wszystkim. Śpiewały piosenki i Pszczoła opowiadała im różne historie.

— W ten sposób droga mniej się dłuży — powiedziała. I miały wrażenie, że pomaga im czarodziejski wiatr, który dął im w plecy.

Początkowo Myszka nieufnie przyglądała się piętno zbrojnych. Oczywiście już widziała kolczugę. Tata miał kolczugę, jakkolwiek prawie nigdy jej nie wkładał. I jego hełm, choć nie nowy, onieśmiała tak samo jak te, które widziała u towarzyszących Pszczole strażników. Ci nosili jednak długie miecze i mieli zapasy amunicji do pistoletów strzałkowych. Tata zaś już dawno zużył wszystkie strzałki i powiesił pistolet na ścianie, ot, tak tylko, na pokaz. Pilnujący Pszczoły i dziewczynek gwardziści niewiele ze sobą rozmawiali, a jeśli już, to cicho. Myszka odkryła ze zdumieniem, że to ich opiekunka wydaje im rozkazy.

Zaczęła się nad tym zastanawiać. Tata nigdy nie posłuchałby rozkazów kobiety, a przecież jeden z piątki zbrojnych wyglądał jak daleki krewny taty. Coś ją jednak powstrzymywało przed próbą spoufalenia się z nim. Jego czarno-biały sokół jechał na łąku siodła zupełnie tak samo jak Śmiały Wojownik. Lecz ten ptak bardzo różnił się od jej skrzydlatego przyjaciela. Skrzeczał i skwirzył za każdym razem, gdy tylko próbowała się do niego zbliżyć, pozostawiła go więc w spokoju. Wiedziała jednak, iż nieznamy gwardzista musiał być jednym z owych wspaniałych Sokolników, do których należał jej tata do czasu, kiedy ożenił się z mamą. Bardzo chciała, żeby kiedyś porozmawiał z nią.

Każdej nocy przed zaśnięciem Pszczoła udzielała lekcji swoim podopiecznym. Przede wszystkim dotyczyły one natury magii, ale pewnego razu zaczęła je pouczać, jak mają się zachowywać, gdy dotrą do miasta Es.

— Będziemy tam już wkrótce. Musicie zachowywać się jak najlepiej — mówiła Pszczoła. — Najwyższa Strażniczka rządzi nami wszystkimi — tak, również i wami, chociaż nigdy nawet jej nie spotkałyście. Jest teraz waszą matką, waszą jedyną krewną, tak jak jest moją. Nie wolno wam krzyżeć, podskakiwać ani biegać. W jej obecności musicie iść spokojnie i mówić tylko wtedy, gdy ktoś się do was zwróci.

— Czy zbije nas, jeśli będziemy niegrzeczne? — zapytała chichocząc Świerszczyk.
— A może pośle do łóżka bez kolacji?

— Oczywiście, że nie! — Pszczoła usiłowała zachować powagę, ale kąci jej ust drgnęły podejrzenie. — Och, ty hultajko. Dasz się im nieźle we znaki w Przybytku Mądrości.

— A co to takiego, Pszczoło? Proszę, powiedz — poprosiła Myszka.

— To miejsce położone o wiele mil do zamku Es. O dzień drogi od morza.

— Hura! — zawołała Seplenisia. — Moja mama i mój tata miefkali nad jeziorem i czafami pozwalali mi ze fobą pływać. Czy morze jeft podobne do jeziora?

— Tak, można by tak powiedzieć, tylko większe. Pamiętam, że jeździliśmy tam na wycieczki, kiedy byłam w Przybytku Mądrości. Lecz tylko wówczas, gdy wszystkie byłyśmy bardzo, ale to bardzo grzeczne. Teraz zaś, skoro już o tym mowa, wszystkie musicie grzecznie iść spać. Jeszcze jeden dzień i zobaczycie na horyzoncie wieże miasta Es.

Myszka była tak podniecona, że wydawało się jej, iż nigdy nie zdoła zasnąć.

Podobnie rzecz się miała z innymi dziewczynkami. Tuliły się do siebie, szepcząc i chichocząc, aż wreszcie Pszczoła je uciszyła. Wyciągnęła spod sukni swój tajemniczy klejnot i wymówiła kilka słów, które wydały się Myszce dziwnie znajome, chociaż nigdy w życiu ich nie słyszała. Od razu powieki jej zaciążyły i kiedy się ocknęła, było już rano.

Kilka ostatnich mil do miasta Es było prawdziwą męczarnią dla podekscytowanej dzieciarni. Zamiast kazać im szybko zjeść drugie śniadanie, Pszczoła pozwoliła się pobawić w chowanego.

— Możecie biegać i krzycheć, ile chcecie — powiedziała. — Mam nadzieję, że się zmęczą — dodała zwracając się do Rhinfara. — Myślę, że jest to najzdrowsza i najbardziej energiczna grupa, jaką mieliśmy od lat.

— Nie wiem tego, pani — odrzekł Rhinfar. — W każdym razie sprawiają wrażenie silnych i pełnych wigoru.

— Nowa krew — odparła ponuro Pszczoła. — My, czarownice, prawie się wyczerpałyśmy i omal nie wygubiłyśmy naszego rodzaju podczas Wielkiego Poruszenia.

— Czy byłaś tam? — spytał gwardzista.

— Tak, byłam w drugim kręgu. Należałam do tych, które miały użyczyć swojej siły, kiedy najsilniejsze z nas rzucały czary. Moc napłynęła... — Pszczoła urwała i wzdrygnęła się. — To było straszne. Gdybym nie zamknęła oczu i nie zasłoniła uszu, mogłabym umrzeć tak jak wiele moich sióstr. Ich Klejnoty roztrzaskały się, rozpadły w pył, a ich właścicielki umarły... — Znowu urwała, drżąc na całym ciele i gwałtownie chwyciła kamień, który nosiła na szyi na srebrnym łańcuszku. — Kilka sióstr z pierwszego kręgu miało mniej szczęścia. Ich Klejnoty poczerniały, one zaś pozostały przy życiu. Jeżeli można to nazwać życiem... Wiele nie wyzdrowiało po dziś dzień.

Myszka, która ukryła się w pobliżu, znieruchomiła i nadstawiła uszu. Oczywiście słyszała o Wielkim Poruszeniu. Wszyscy wiedzieli, że góry oddzielające Estcarp od Karstenu zawały się i dom taty. Gniazdo Sokolników zostało zniszczone. Ale aż do tej pory nie miała pojęcia, jak to się stało. Zakręciło się jej w głowie na myśl o mocy, którą władaty czarownice...

Pszczoła odetchnęła głęboko.

— Lecz te straszne dni przeminęły — rzekła. — Teraz mamy nową Najwyższą Strażniczkę, młodszą, która ma nowe pomysły. Ona uznaje, że świat się zmienił, że odmienne obyczaje nie zawsze są gorsze, że nadszedł czas na wypróbowanie nowych metod. Na ekspansję, Rhinfarze. Może na całkowitą zmianę taktyki. I te dzieci są kluczem do tego... Myszko! Co ty tu robisz?!

Dziewczynka podskoczyła. Czuła się winna i wstydziła się, że przyłapano ją na podsłuchiwanie.

— Ukryłam się, Pszczoło — powiedziała. — To część gry w chowanego. Naprawdę nie chciałam podsłuchiwać.

— No cóż, myślę, że nie stało się nic złego. Idź z Rhinfarem i znajdźcie resztę. Musimy zaraz ruszać w dalszą drogę, jeśli chcemy dotrzeć do Es przed nocą.

Myszka posłusznie poszła z gwardzistą, który przerwał dziewczynkom zabawę, ku wielkiemu rozczarowaniu Gwiazdki.

— Byłam bliska zwycięstwa! — powiedziała.

— Nie, nie byłaś — odparowała Płomyk, a Seplenisia ją poparła.

— Nie mogłam mnie złapać bez względu na to, jak fybko biegłam — oświadczyła.

— Nie mogłam nawet mnie zobaczyć, jeffli chciałam fię ukryć, a ja umiem biec najdalej i najfybcej ze wfyftkich. Więc fię nie chwal.

Zakończyła w ten sposób skargi i sprzeczki. Dziewczynki posłusznie pobiegły do

swoich kucyków i, tak jak dotychczas, pojechały podwójnym szeregiem.

Estcarp stał się srebrzystą, szarozieloną krainą, bardzo różną od tej, jaką znała Myszka, która mieszkała w pobliżu gór. W jej rodzinnych stronach drzewa były wysokie i pachnące, zamiast liści miały wąskie igły i kłujące, wonne szyszki wyrastały na końcu każdej gałęzi. Dziewczynka bardzo lubiła je zbierać i zawsze stawiała pełny ich koszyk w pobliżu ognia; tak przyjemnie wtedy pachniało w izbie! Ale szyszki i wiecznie zielone drzewa pozostały daleko. Tutaj las pachniał zupełnie inaczej — jego woń bardziej przypominała zapach ziemi i łanów zbóż, miała niewiele wspólnego z dziką, cierpką słodczą górskich borów. Dziewczynka zastanawiała się, czego tutejsi mieszkańcy używali, by przydać miłych zapachów swoim ogniskom.

W tej części Estcarpu, gdzie jeszcze nie zasiano wczesnych odmian zboża, skały połyskiwały czarną zielenią w promieniach słońca i liście na drzewach miały ten sam przytłumiony odcień. Drzewa nie były zbyt wysokie i nie rosły wszędzie, tak jak w okolicy Błagden. Tutaj lasy były uporządkowane, o wyraźnie zakreślonych granicach, od czasu do czasu widziała zagajniki i szeregi drzew obrastające oba brzegi strumieni. Powierzchnię królestwa drzew znacznie ograniczały uprawy. Jednakże wiele pól leżało odłogiem, nikt na nich nie pracował i Myszka zastanawiała się, czy po wojnie, o której słyszała, Estcarp potrzebował mniej żywności niż przedtem.

Miasto Es z daleka wyglądało jak jeszcze jedna szarozielona smuga na horyzoncie. Kiedy wszakże się do niego zbliżyli, dziewczynka zobaczyła, iż jego mury obronne i zamek zbudowano ze znanego już jej szarozielonego kamienia. Zrozumiała też, dlaczego główny trakt został ogrodzony i w wielu miejscach wybrukowany takimi samymi blokami kamiennymi, z których zbudowano wielkie centralne miasto–twierdzą. Pszczoła powiedziała im, że ta wspaniała droga biegnąca od Gór Olbrzymich aż do morza przypominać ma wszystkim podróżnym, że znajdują się w Estcarpie, kraju, w którym rządzą Czarownice. Myszka także poczuła się z tego dumna. Wkrótce — już niedługo — przejedzie przez bramę Es. A wówczas, wraz ze swoimi nowymi siostrami, stanie przed Najwyższą Strażniczką i jeśli ta uzna ją za godną, rozpocznie naukę, by pewnego dnia również zostać Czarownicą.

Wyprostowała się w siodle. Rozejrzała się dookoła i zrozumiała, że widok Es wywarł podobne wrażenie na pozostałych dziewczynkach. Wszystkie zaczęły śpiewać jedną z tych pieśni, które tak skutecznie skracały im podróż do tego cudownego, czarodziejskiego miejsca. Śpiewały cienkimi, drżącymi, ale tak słodkimi głosikami, że strażnicy na szczycie murów przerwali obchód i spojrzeli na drogę.

Jakby na jakiś sygnał pięciu gwardzistów, którzy towarzyszyli czarownicy, zatrzymało się i Rhinfar rozwinął srebrzystą chorągiew, pozwalając jej łopotać na chłodnym wietrze. Niektórzy mężczyźni zawtórowali basem dyszkantowi dziewczynek, a Pszczoła — głębokim altem.

I tak, ze śpiewem na ustach, sześć kandydatek na czarownice wjechało przez bramę do miasta Es, rozpoczynając nowe życie.

Rozdział trzeci

I

Eirran nie mogła dogonić Yaretha — starszek Dorny po prostu nie był w stanie biec tak szybko jak Rangin. Z czasem przywykła do widoku męzkowskich pleców. Dzielił ich spory dystans na ubitym trakcie do miasta Es. Doganiała go dopiero wtedy, gdy zabierał się do rozbijania obozu na nocny spoczynek. Najpierw karmili i oporządzali konie, potem przygotowywali wspólny posiłek. Zasypiali obok siebie, unikali jednakże zbliżeń. Eirran przypominała sobie ich ostatnią spędzoną wspólnie noc: było to przed wyjazdem Yaretha na polowanie. Owej nocy kochali się gorąco i prawdziwie. Ogarnęła ją wzruszenie. Jakże blisko byli ze sobą, jak lgnęli do siebie... Kiedyż to było? Policzyła na palcach. Tak, chyba ze trzy tygodnie temu. Tyle się wydarzyło od tamtego czasu!

Yarethowi udało się odnaleźć miejsce postoju porywaczy. Uważnie przejrzał się śladom.

— Tak, było pięciu mężczyzn, jedna dorosła kobieta i sześć dziewczynek. Aidine się nie pomyliła. Chyba się nie śpieszyli.

— Myślisz, że zdołamy ich dogonić przed Es? — zapytała z nadzieją Eirran.

— Nie. — Potrząsnął przecząco głową. — To są ślady sprzed tygodnia. Oni już są w Es. Zdażę jednak na czas, zanim cokolwiek zrobią mojej córce.

— Naszej córce — z naciskiem poprawiła go Eirran. — Oboje tam dotrzemy.

Yareth w ogóle nie zareagował na jej słowa, jakby ich nie usłyszał! Eirran westchnęła.

Doświadczenie znakomitego łowcy mówiło Yarethowi, że ścigani wyprzedzają ich prawie o pięć dni. Jednakże małżonkowie znaleźli się w Es już po trzech dniach, tak bardzo gnał ich lęk o córkę.

Eirran zapatrzyła się na pokryte nalotem kamienne wieże, strzelające w niebo z szarozielonego podłoża. Tuż przed murami miasta nawierzchnia drogi się poprawiła — bruk zastąpił ubitą ziemię. Zmierzchało się. Ich cienie się wydłużyły, a końskie kopyta głośno zadzwięczały, kiedy wjechali w potężną bramę Es. Pojechali wiodącą prosto do zamku uliczką i ściągnęli wodze przed budynkiem wartowni. Odnieśli wrażenie, że ich oczekiwano. Pojawił się gwardzista, który zaprowadził konie do stajni. Następny strażnik, Sokolnik, założył Śmiałemu Wojownikowi kaptur.

— Zabiorę go do sokolej klatki, bracie. Prawo czarownic zabrania naszym ptakom wstępu do zamku — wyjaśnił.

— Dzięki ci, bracie — odrzekł Yareth. — Nazywa się Śmiały Wojownik. Zadbaj o niego.

— Życiem za niego ręczę.

Inny gwardzista poprowadził ich przez zawite i kręte wejście, potem na tyły wielkiej centralnej budowli i bez słowa pozostawił swojemu losowi. Yareth i Eirran stanęli przed wysokim murem, pozbawionym okien i drzwi. Zamek Es zwracał jednolitą, kamienną fasadę do chcących wejść nieproszonych gości. Yareth ruszył śmiało przed siebie, Eirran zaś, dojrawszy jakąś mijającą ich, ubraną na szaro kobietę, zatrzymała ją.

— Proszę cię, pani, czy zechcesz nam pomóc?

— A o co chodzi? — odparła życzliwym tonem nieznajoma i rzuciła podejrzliwe

spojrzenie na Yaretha.

— Przybyłem zabrać córkę z rąk waszej Najwyższej Strażniczki — powiedział Sokolnik.

Kobieta zmierzyła go zimnym wzrokiem.

— Ach, rozumiem — powiedziała po chwili milczenia. — Chodźcie ze mną, tędy.

Na jej znak pojawiły się w pozornie gładkim murze drzwi. Eirran zrozumiała, że oboje ulegli iluzji kamiennej ściany. Może okna również okrywa niewidzialna zasłona? Weszli do środka. Odziana w szarość nieznajoma poprowadziła ich labiryntem korytarzy i zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami.

— Zaczekajcie tutaj. Dowiem się, czy Najwyższa Strażniczka was przyjmie.

Yareth nie zważając na nią sięgnął do drzwi, lecz Eirran powstrzymała go ruchem ręki.

— Nie! To miejsce należy do tej Strażniczki. Ona tutaj rządzi. Ale jeśli nie przyjmie nas dziś, wrócimy jutro, i pojutrze, i następnego dnia. Będziemy przychodzić tak długo, aż nas przyjmie! — Eirran mówiła podniesionym głosem, chcąc, by przewodniczka ją usłyszała. I rzeczywiście, kobieta zrozumiała ją dobrze. Weszła do komnaty. Małżonkom czas oczekiwania dłużył się bardzo; minęła może godzina, może więcej, a może tylko minuta, zanim przewodniczka wróciła.

— Najwyższa Strażniczka zgodziła się was przyjąć — rzekła. — To wielki dla was zaszczyt.

Yareth minął ją bez słowa i wszedł do komnaty. Eirran zaś zatrzymała się na moment i powiedziała:

— Dziękuję ci za pomoc.

Czarownica wzruszyła ramionami i odeszła. Eirran odetchnęła głęboko i pobiegła za mężem.

II

Pokój był mały. Może był to prywatny gabinet Najwyższej Strażniczki. Eirran nie chciało się wierzyć, iżby taka ważna osobistość rezydowała w takiej niepokążnej komnatce. Oświetlały gabinet umocowane na ścianach kule. Przewodnicząca Rady Czarownic Estcarpu stała przed krzesłem o wysokim oparciu. Zawalony papierami stół wskazywał, że właśnie pracowała, gdy nieznana z imienia Czarownica powiadomiła ją, iż Yareth i Eirran czekają pod drzwiami.

— Powiedziano mi, że jest was dwoje — odezwała się z wyrzutem Najwyższa Strażniczka. Eirran pożałowała, że nie weszła od razu, gdyż najmniejsze choćby naruszenie etykiety może zaszkodzić ich sprawie. Wyczuła instynktownie, iż Yareth powinien mówić cichym głosem w obecności tej groźnej damy.

Lecz jej mąż nie zamierzał ugłaskiwać Czarownicy.

— Ukradłyście mi córkę — powiedział otwarcie. — Przybyłem, żeby zabrać ją z powrotem do domu.

— Twoją córkę? — Strażniczka uniosła lekko brwi. — Ty miałeś córkę?

— Mam córkę — odparował Sokolnik. — A wy ją ukradłyście. Oddajcie ją.

— Nie mam pojęcia, o kogo ci chodzi — odrzekła Czarownica.

— Ona jest gdzieś tutaj. Nawet gdybym miał rozebrać ten zamek kamień po kamieniu...

— Ty? — Jego słowa rozbawiły przewodniczącą Rady Czarownic i dała mu to poznać. — Sam? Twój zapał przynosi ci zaszczyt, Sokolniku. Nie miałam pojęcia, że tacy jak ty kochają swoich synów, nie mówiąc już o córkach.

— O wielu rzeczach nic nie wiesz, a o sprawach, które znasz — nie chcesz mówić! Powtarzam: żądam, żebyście zwróciły mi córkę.

— Mogłabym wezwać tuzin gwardzystów i kazać wyrzucić was na ulicę — odrzekła tamta. — Albo zrobić coś innego... — Sięgnęła do niebieskoszarego klejnotu, który świecił na srebrnym łańcuszku oplatającym jej szyję.

— Możesz mi grozić do woli, aleja i tak odzyskam moją córkę.

— Dość. Nudzisz mnie. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Najwyższa Strażniczka odwróciła się i usiadła. Z kamienną twarzą podniosła pakiet papierów. Rozmyślnie powoli zaczęła rozwiązywać srebrzystą wstążkę, którą był przewiązany.

Najwidoczniej posłuchanie było skończone. W Eirran jednakże nie gasła cicha nadzieja. Wprawdzie Najwyższa Strażniczka była czarownicą, pozostała jednak kobietą. Może wzruszą ją prośby innej kobiety. Zrobiła krok do przodu, lecz Yareth powstrzymał ją, kładąc jej ciężko rękę na ramieniu.

— Nie — powiedział chrapliwie. — Nikt nam tu nie pomoże, nikogo nie obchodzą nasze uczucia. Nie znajdziemy tu litości — wyrzekł to ostatnie słowo z gorzką ironią. — Będziemy musieli zwrócić się gdzie indziej.

— Muszę spróbować. — Eirran ruchem ramienia strząsnęła jego dłoń i podeszła bliżej do krzesła Strażniczki. Mimo woli zaczęła płakać. Rozpoznała niemiłe uczucie w żołądku i wiedziała już, że — o wstydzie — zacznie ckać jak zawsze, gdy była zdenerwowana.

— Och, pani — odezwała się. — Proszę... hik!... proszę, nie wypędzaj nas. Jenys to nasze jedyne dziecko. Nie sędzę, żebyśmy kiedykolwiek mieli inne. Musimy, hik! ... wiedzieć, co się z nią dzieje!

Uklękła, a potem bez żenady padła na twarz u stóp Najwyższej Strażniczki. Zapadła w pokoju ciszę przerywały tylko szlochanie i czkanie Eirran. Po chwili

zaszeleściła tkanina sukni; Czarownica nachyliła się nad młodą Karstenką.

— Wstań — przemówiła. — Przestań płakać. Twój Sokolnik wstydzi się za ciebie. Czytam to z jego twarzy.

— Nie dbam o to, nie dbam — odrzekła nieszczęśliwa kobieta. — Hik! Pragnę tylko jednego, odzyskać Jenys. — Znów uklękła i zacisnęła w błagalnym geście dłonie. — Czy nie możesz tego zrozumieć? Moje dziecko. Oboje chcemy tylko tego.

Strażniczka przeniosła spojrzenie z zalanej łzami twarzy Eirran na surowe oblicze Yaretha.

— Widzę, że każde z was na swój sposób bardzo kocha córkę. Jest mi naprawdę przykro.

— Co to znaczy, pani? — Ton Yaretha był mniej agresywny niż poprzednio.

Czarownica podniosła na niego wzrok.

— Już za późno — odrzekła.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę i zapatrzyła się w przestrzeń. Yareth pomógł żonie podnieść się z kolan i objął ją ramieniem. By ustać na nogach, Eirran całym ciałem wsparła się na mężu.

— Czy chcesz powiedzieć... — Głos mu się załamał i musiał odchrząknąć. — Chcesz powiedzieć, że nie żyje?

— Pod pewnym względem tak — odparła Strażniczka. Odwróciła się do zrozpaczonych rodziców. — Byłoby dla was lepiej, gdybyście tak myśleli, gdyż rzeczywiście umarła dla was. Wszystkie umieramy dla świata zewnętrznego, kiedy tu przychodzimy. Gdy stajemy się czarownicami, zrywają się wszelkie więzy z rodziną i przyjaciółmi. Zostają tylko te, które łączą nas ze sobą. Tak, Sokolniku i ty, małżonko tego Sokolnika. Wasza córka nie żyje.

— Ale ty ją widziałaś — powiedział z uporem Yareth. Rumieniec przemknął po twarzy Strażniczki.

— Było tu kilka dziewczynek. Wasza dawna córka mogła być wśród nich.

— Sześć dziewczynek? W towarzystwie kobiety i pięciu mężczyzn?

— Kiedy nadchodzi Czas Zbioru, zawsze wysyłamy jedną z nas z eskortą gwardzistów.

— Wiec widziałaś Jenys — wtrąciła Ekran. — Hik! Och, proszę, musiałaś ją widzieć. — Poruszyła się w objęciach męża, jakby chciała znów rzucić się do stóp Czarownicy.

Ta zamknęła oczy i zacisnęła usta. Później spojrzała na nich i na jej twarzy po raz pierwszy odmalowało się współczucie.

— Tak. Musiała być jedną z tych, które obejrzałam. Była tutaj, ale udała się do Przybytku Mądrości. Obawiam się, że jest już za późno, Sokolniku.

— Przybytek Mądrości? — powtórzył Yareth. — Co to takiego? Gdzie to jest? Zaraz tam się udam...

— I zginiesz, zanim tam dotrzesz — odrzekła Strażniczka. — Uwierz mi. Przybytek Mądrości to akademie, w której kształcą się czarownice. Znajduje się wiele mil stąd, na zachodzie, i strzegą go czary. Gdybyś jakimś cudem zdołał przedrzeć się przez zewnętrzne systemy obronne i przeszedł mur, musiałbyś stawić czoło najsurowszym i najzdolniejszym z nas wszystkich, gdyż tylko najlepsze uczą naszą młodzież.

— Waszą młodzież? — W głosie Sokolnika brzmiało oburzenie.

— Musicie się z tym pogodzić — oświadczyła przewodnicząca Rady Czarownic.

— Wierzcie mi, że to prawdziwy zaszczyt, kiedy czyjaś córka staje się czarownicą...

— Nie uważam tego za zaszczyt.

— Nie — wtrąciła Eirran w obawie, że Yareth rozgniewa Najwyższą Strażniczkę.

— Na pewno jest jakiś inny sposób, hik! Możemy jakoś dojść do porozumienia...

— Nie. Sprawa jest skończona — odrzekła Strażniczka. Rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi i nie czekając na pozwolenie jakaś Czarownica wbiegła do komnaty. Była wzburzona i blada jak płótno. Twarz miała ściągniętą niepokojem. Podeszła szybko do Najwyższej Strażniczki i szepnęła jej coś do ucha. Oblicze tej ostatniej się zasepiło, a dłoń zacisnęła na wiszącym u szyi klejnocie.

— Dziękuję ci — powiedziała Strażniczka do nowo przybyłej. — Zaraz się tym zajmiemy.

Czarownica ukloniła się i wyszła z pokoju. Jej zwierzchniczka odwróciła się do Yaretha i Eirran. Eirran uświadomiła sobie nagle, że przewodnicząca Rady Czarownic jest młodą jeszcze kobietą. Przecież Najwyższa Strażniczka powinna być stara i doświadczona, pomyślała. Później wszakże przypomniała sobie Wielkie Poruszenie, podczas którego umarło wiele czarownic. Ta na pewno nie sprawowała wówczas swojego urzędu, zapewne objęła go niedawno.

— Stało się wielkie nieszczęście. — Strażniczka od razu przeszła do sedna sprawy. — Możliwe, że wasza córka nie żyje naprawdę. W drodze do Przybytku Mądrości Psy z Alizonu zaatakowały grupę sześciu dziewczynek i towarzyszącą im Czarownicę i porwały je. Czarownica przesłała nam wieść o tym, ale przekaz się urwał, zanim zdołała nam powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

— Psy... — Yareth wykrztusił cały aż drżący z wściekłości. — Pozwoliłyście, żeby Psy z Alizonu porwały moje dziecko?!

Eirran pośpiesznie szarpnęła go za rękaw.

— Nie — szepnęła żarliwie. O dziwo, przestała czkać. — Nie możesz dać się opanować ślepemu gniewowi! Pomyśl, Yarecie, pomyśl! Mamy jeszcze szansę! Ona powiedziała, że przekaz został przerwany. Potrzebuje nas... albo będzie potrzebować, o ile zdołamy ją przekonać, iż to my powinniśmy wyruszyć na poszukiwania.

Utkwił w niej dzikie, jak u sokoła, nieprzytomne spojrzenie. Stopniowo do jego oczu powrócił rozsądek.

— Nie „my”, Eirran. To nie jest zajęcie dla kobiety. Doznała tak wielkiej ulgi, że nie wybuchnęła gniewem, który mógłby zaszkodzić ich sprawie, iż nie chciała się z nim spierać.

— Jeżeli wasze młodociane czarownice żyją, odnajdę je — zwrócił się Yareth do Strażniczki.

Przewodnicząca Rady Czarownic skinęła głową.

— Żaden spośród gwardzistów nie dorówna ci w tym pragnieniu.

— Jeszcze jedno — dodał Sokolnik. — Kiedy je odnajdę i oddam je wam pod opiekę, moja córka zostanie ze mną.

Strażniczka spojrzała na niego z powagą. Jej twarz miała nieprzenikniony wyraz.

— Zyskasz naszą dozągonną wdzięczność, jeżeli odnajdziesz porwane dziewczynki — odparła ze spokojem i pociągnęła za sznur od dzwonka. — Teraz odpocznijcie trochę. Zmęczyła was podróż. Nie możesz wyruszyć do Alizonu sam, bez przygotowania, bez niezbędnych informacji. Sama odwaga to za mało.

— To prawda — odrzekł Sokolnik. Spojrzał na Eirran. — Moja małżonka również jest zmęczona. Sprawiała, że znów zacząłem myśleć jak wojownik. Dobry wojownik nie spiera się z faktami, choćby były najgorsze, gdyż inaczej ściągnie na siebie nieszczęście. Jeżeli porwane dzieci nie żyją, trzeba się z tym pogodzić. Jeśli jednak żyją, to porywacze wzięli je żywcem w jakimś celu. W obu wypadkach zbyt ni pośpiech do niczego nie doprowadzi.

— Jutro wybierzesz gwardzistów, którzy będą ci towarzyszyć. Wtedy będziesz wiedział nieco więcej o tym, co się stało, i na pewno pomoże ci to w poszukiwaniach. Dam ci wszystko, czego możesz potrzebować. Na jakiś czas łączy nas identyczny cel, Sokolniku.

Odprawiła ich skinieniem głowy. Dopiero kiedy szli za jedną ze służebnych do izby, którą im wyznaczono, Eirran zorientowała się, że Strażniczka w istocie nie przyjęła warunków Yaretha. Obiecała mu tylko „dozgonną wdzięczność”. Pomyślała jednak, iż nie należy lekceważyć dozgonnej wdzięczności przewodniczącej Rady Czarownic Estcarpu.

Ich pokój był niewiele większy od komnaty Strażniczki. Gorąca woda i czyste ręczniki czekały na nich na stojącej pod ścianą umywalni. Z radością zmyli z siebie podróżny kurz. Łoże było świeżo zasłane, ogrzane, wprost zapraszało do snu. Leżały na nim luźne szaty z miękkiej niebieskiej tkaniny. Eirran zrozumiała, że mieli się w nie przebrać przed zaśnięciem. Nigdy w życiu nie zaznała takiego luksusu. U siebie w domu spała w starej znoszonej sukni, Yareth zaś w przetartej koszuli, która nie nadawała się już do naprawy. Z zażenowaniem włożyli nieznane odzienie i położyli się do łóżka. Eirran westchnęła. Wyczerpana podróżą, ulokowała się obok męża i, nieoczekiwanie dla samej siebie, zapadła w kamienny sen.

III

— Nie — oświadczył Yareth. — Odmawiam kategorycznie. Nie zgadzam się, żebyś wyruszyła w tę niebezpieczną podróż. Wszystko wskazuje na to, że będziemy musieli stawić czoło Psom z Alizonu! Nie wiesz, co to oznacza?

Eirran rzeczywiście nie wiedziała. Pomyślała, że Alizończycy nie mogą być gorsi od karsteńskich żołnierzy czy nieokrzesanych flisaków, którzy czasami odwiedzali karczmę jej wuja.

— Jenys będzie wystraszona. Inne dziewczynki również. Musi się nimi zająć kobieta.

— Będą miały wystarczające szczęście, jeśli odnajdziemy je żywe. — Yareth przypasał miecz przyniesiony mu przez służącego i sprawdził pochodzący z tego samego źródła nowy, świeżo nabity pistolet strzałkowy. Otrzymali też nową odzież, on — niebieską koszulę, skórzany kaftan i spodnie, ona zaś długą niebieską suknię z haftowanymi srebrną nicią rękawami. Sokolnik podniósł na Eirran oczy. Jego surowa twarz złagodniała.

— Możesz pomóc mi wybrać gwardzistów, którzy ze mną pojedą. Czy to poprawi ci humor?

— Nie — odrzekła. Ponieważ jej mąż na nic więcej teraz się nie zgadzał, Eirran postanowiła wykorzystać jak najlepiej okazję, która właśnie się nadarzyła. Czarownice przez całą noc prowadziły poszukiwania, usiłując magicznymi sposobami dowiedzieć się, co się naprawdę wydarzyło na drodze pomiędzy miastem Es a Przybytkiem Mądrości. Odsiecz wyruszy dopiero wtedy, gdy będzie już coś więcej wiadomo, a do tego czasu Yareth może zmienić zdanie.

Poszła za nim korytarzami pełnymi przyćmionego blasku lejącego się z umieszczonych wysoko na ścianach kul. Eirran stąpała bezszelestnie w płóciennych trzewikach, jakie czarownice nosiły wewnątrz zamku. Pomyślała już, że Yareth zmylił drogę, kiedy wyszedł im na spotkanie jakiś mężczyzna.

— Witaj, jestem zapewne Sokolnikiem Yarethem — powiedział nowo przybyły. — Ja nazywam się Girvan. Z rozkazu Najwyższej Strażniczki mam być twoim przewodnikiem na wypadek, gdybyśmy mieli udać się do samego Alizonu. Bywałem tam wiele razy.

Eirran przyjrzała mu się z ciekawością. Miał jasnozielone oczy, które jakoś dziwnie odbijały światło, i włosy tak jasne, iż wyglądały jak bezbarwne. Niebieski mundur gwardzisty nie pasował do jego oczu. Przybysz zauważył jej spojrzenie.

— A ty musisz być jego, hm, małżonką. Matką tamtej dziewczynki. — Roześmiał się. — Tak, pani, urodziłem się w Alizonie. To dlatego właśnie mogę wędrować tam i z powrotem nie narażając się na pojmanie.

— Tak, nazywam się Yareth. Moja żona ma na imię Eirran — odezwał się Sokolnik. — Obiecałem jej, że pomoże mi wybrać gwardzistów, którzy będą mi towarzyszyć.

— Ach tak? — zapytał obojętnie Girvan. — No cóż, już zgromadziłem trochę dobrych żołnierzy, będziecie mogli z nich wybierać. Chodźcie tędy. — Poprowadził ich obok wartownika do większej sali, gdzie grupa gwardzistów jadła śniadanie. — Jedliście już coś? Nie? Ranału, daj naszym gościom coś do jedzenia.

Mężczyzna nazwany Ranalem wstał pośpiesznie od stołu i napełnił owsianką z pełnego kotła dwie miski. Drugi kocioł, pusty, odstawiony na bok, wskazywał, że część żołnierzy już spożyła śniadanie.

— Dolej mi jeszcze z chochlę, dobrze? — odezwał się szczupły gwardzista,

wyciągając miskę. Mężczyźni podobnej konstytucji czasami odznaczają się wilczym apetytem.

— Musisz więcej jeść, Kernonie — odrzekł życzliwie Ranal — żebyś urósł tak jak my. — Zrobił, o co go poproszono i Kernon zaczął zajadać się kaszą. Eirran nagle zrobiło się niedobrze, tak że odsunęła miskę na bok. Musiała być bardziej zdenerwowana, niż sądziła. Ta owsianka... Eirran zawsze miała dobry węch. Yareth również zignorował śniadanie, myśląc tylko o czekającym zadaniu.

— Czy wszyscy jesteście ochotnikami? — zapytał. Gwardziści zgodnie skinęli głowami. — Chce zabrać eskortę możliwie jak najmniejszą, a jednocześnie sprawną i zacięłą w boju. Będzie nas razem ośmiu. Jeden z żołnierzy wstał od stołu.

— W takim razie będziesz potrzebował mnie — powiedział. — Jestem Weldyn. — Trzymał jedną rękę zgiętą i zaciśniętą w pięść, jakby z przyzwyczajenia. Przyglądając mu się Eirran zrozumiała, że choć nosił mundur gwardzisty, był Sokolnikiem. — Byłem wśród tych, którzy przywieźli te dzieci do zamku Es.

Yareth skinął głową.

— Dobrze — rzekł, po czym omiół spojrzeniem resztę żołnierzy. — Nie mogę zabrać Sulkarczyków, gdyż zbyt rzucacie się w oczy. — Dwóch jasnowłosych gwardzistów wzruszyło ramionami. — I nikogo ze Starej Rasy. Będziemy udawać najemników, którzy mają już po uszy wiecznych walk i swarów w Estcarpie...

— Nie mówiąc o tym, że rozkazują tu kobiety — dodał Weldyn.

Yareth spojrział na niego.

— Bez względu na powody, będziemy udawali, że szukamy zajęcia w Alizonie.

— To niezły plan — wtrącił jeden z Sulkarczyków. — A więc chcesz zabrać ze sobą takich, którzy nie będą się wyróżniać w tłumie. Weź więc Hirla i Ranala.

— Zgadza się — dorzucił jakiś smukły ciemnowłosy strażnik. — I Lorica.

— Nie przeocz mnie — oświadczył Kernon podnosząc oczy znad miski z owsianką. — W biegu prześcignę dwukrotnie ode mnie większego mężczyznę, a walczę jak szalony.

Pozostali gwardziści wybuchnęli śmiechem.

— To prawda! — powiedział któryś i klepnął Kernona po ramieniu. Miał regularne rysy twarzy i jasnobrązowe włosy. Spojrział dobronnie na Sokolnika. — On ciągle musi to udowadniać.

— To siedmiu, łącznie ze mną — oświadczył Yareth. — Potrzebuję ośmiu. Co ty na to?

Gwardzista wstał i uklonił się głęboko.

— Dunnis z Gormu, do usług — rzekł. — Kiedy wyruszamy?

— Tak szybko jak się da — odrzekł Yareth. Zwrócił się do Eirran: — Czy masz jakieś obiekcje co do gwardzistów, których wybrałem? Może wolałabyś któregoś wymienić?

— Nie. Żadnego — odparła.

— W takim razie idź i zapytaj Najwyższą Strażniczkę, czego się dowiedziała, gdyż chciałbym już wyruszać w drogę.

— Dobrze. — Eirran wstała od stołu. Mdlący zapach owsianki — znów uderzył w nozdrza. Z ulgą wyszła szybko z jadalni. Kucharze przygotowujący posiłki dla gwardzistów zupełnie nie umieją gotować, gdyż przypalili kaszę, pomyślała.

IV

Dopiero godzinę później stanęła przed Najwyższą Strażniczką. Zabłądziła w labiryncie korytarzy i dopiero po jakimś czasie spotkana nieznajoma czarownica pokazała Eirran drogę.

— Czy są jakieś nowe wieści? — zapytała.

— Tak, i nie wszystkie dobre — odrzekła Strażniczka. — Jedna z naszych sióstr nie żyje. Jesteśmy jednak przekonane, że porwane dzieci nadal żyją.

Eirran zrobiło się słabo. Miała nadzieję, że nie zemdleje.

— Usiądź — poleciła Strażniczka, wskazując stojący w pobliżu podnózek. — Jesteś bardzo blada.

— Poczulałam wielką ulgę, to wszystko. Bałam się, że moja córka została zabita i pozostałe dzieci też.

— Wszystkie żyją. Może byłoby lepiej, gdyby zginęły. Mimo tak wielkiej odległości zdołałyśmy się dowiedzieć, że porywacze zabierają je na północ. Do Alizonu.

— Do Alizonu... — Eirran zapało dech w piersi. — Dlaczego?!

— Któż to wie? Ale na pewno nie wróży to nic dobrego. Eirran zsunęła się z podnózka i padła na kolana.

Przycisnęła ręce do piersi.

— Och, pani, proszę, pomóż mi.

— O co tym razem chodzi?

— Yareth zabrania mi wyruszyć ze sobą na poszukiwania naszej córki. Nie mogę wrócić do Błagden sama! Nie potrafię biernie czekać! Mojemu małżonkowi i mojemu dziecku grozi niebezpieczeństwo! A jeśli ona zginie? Jeżeli zginie Yareth?

— A jeśli pojedziesz z nim i zabiją was wszystkich? — zapytała łagodnie Strażniczka.

— Wtedy przynajmniej będę z nim do samego końca — odparła Eirran. Zacisnęła uparcie usta. — I z moją córką. Błagam cię, pani, pomóż mi. Znajdź sposób, przekonaj go!

Czarownica znowu usiadła na ozdobnym krześle.

— Może obejdzie się bez jego zgody — oświadczyła z namysłem.

— Pani?

— Przed kilkoma minutami otrzymałam wiadomość, że jeden z gwardzistów wybranych przez twój Sokolnik zachorował. Zjadł coś, co mu zaszkodziło.

Eirran nagle przypomniała sobie niemiłą woń owsianki. Pachniała tak nie dlatego, że była przypalona. Ziarno musiało być zepsute! Odetchnęła z ulgą, że ani ona, ani Yareth jej nie tknęli.

— Przykro mi, że zachorował — odparła — nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego ze mną?

— Twój małżonek jest bardzo uparty. Ale choroba tego żołnierza otworzyła nowe możliwości tam, gdzie nie było żadnej — odrzekła Strażniczka.

Eirran nagle zrozumiała, co czarownica miała na myśli.

— Zmiana postaci?

— Będzie to naprawdę łatwe. Kernon jest dość niski.

— Och tak, tak, proszę! — zawołała Eirran. — Zrobię wszystko.

— Przywieź z powrotem porwane dzieci. To wystarczy.

— Przywiozę. Przysięgam na swe życie.

— Chodź ze mną. — Czarownica zaprowadziła Eirran do pięcioramiennej gwiazdy

wyciętej w posadzce i wyłożonej lśniącoymi niebieskimi kamieniami. — Stań pośrodku!

Skinęła ręką w stronę stojącego w pobliżu przenośnego piecyka, który nagle buchnął płomieniem. Czerwonawa mgła otoczyła Eirran. Mimo zawrotu głowy zaczęła się zastanawiać, czy mgła wypełniła tylko pentagram, czy też całą komnatę. Z trudem mogła rozróżnić sylwetkę Strażniczki. Z oddali dobiegł ją śpiew, który zdawał się przesączać poprzez zasłonę mgły. Poczula jeszcze silniejszy zawrót głowy, gdy chcąc nie chcąc wciągnęła dym do płuc. Nieznana pieśń przeniknęła w jej ciało, stała się kością z jej kości, krwią z jej krwi. Czując dziwne, pulsujące ciepło zamknęła oczy. Nie chciała widzieć, co się z nią dzieje. Wyobraziła sobie, że jej ciało najpierw rozwiewa się w niesamowitą mgłę, a potem przybiera nową, odmienną formę — silną, muskularną, niewiele wyższą od niej samej...

Pieśń ucichła.

— Otwórz oczy — powiedziała Strażniczka.

Eirran posłuchała. Mgła zszarzała i rozproszyła się na jej oczach. Opuściła wzrok i spojrzała po sobie — nie mogła powstrzymać okrzyku zawodu.

— Och! Nie podziałało!

— Czyżby? — odrzekła na to Strażniczka. Wzięła ze stołu zwierciadło z wypolerowanego srebra i podała je Eirran. — Powiedz mi, co w nim widzisz?

Eirran znów jęknęła, tym razem z zaskoczenia.

— Przecież... przecież to jest twarz Kernona! — Spojrzała na swoją rękę, szczupłą i smukłą, po czym zbliżyła ją do zwierciadła. Dostrzegła w nim zupełnie inny obraz — opaloną i szeroką, ze zrogowaceniami od wieloletnich ćwiczeń z mieczem i pistoletem strzałkowym, dłoń mężczyzny. — Przypuszczam, że to również ręka Kernona. Ale jak... — Znów zerknęła na twarz mężczyzny, którą widziała tego ranka nad miską z repetą owsianki. Tylko jej oczy się nie zmieniły.

— Nie możesz widzieć iluzji, ponieważ to ty sama jesteś nią otoczona — wyjaśniła Czarownica. — Lecz inni zobaczą. Ty zaś możesz ujrzeć ją jedynie odbitą w zwierciadłach takich jak to lub w spokojnej wodzie.

— Jak długo to się utrzyma? — zapytała ledwie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

— Tak długo, jak będzie konieczne. Uważaj jednak, żeby mąż nie poznał twojej tajemnicy. On mógłby przeniknąć zasłonę iluzji, gdyż zna cię najlepiej. Jeśli tak się stanie... — Strażniczka wzruszyła ramionami. — No cóż, wtedy możesz liczyć tylko na to, że znajdziecie się już tak daleko, iż nie odważy się odesłać cię.

— Och, dziękuję ci, pani, dziękuję.

— Szkoda na to czasu. Idź, włóż ubranie Kernona i weź jego broń! Odjeżdżacie za godzinę.

— Ale czy Yareth się nie zdziwi, że nie czekam na niego, by się z nim pożegnać? Czarownica uśmiechnęła się zimno.

— Nie, jeśli pomyśli, że już odjechałaś. Eirran skinęła twierdząco głową.

— Jestem wybuchowa i niejedną raz się kłóciliśmy. — Zdecydowała się. — Tak. Może to kiedyś przysporzyć kłopotów i doprowadzić do nieporozumień między nami, lecz teraz powinno podziałać. — Męskim ukłonem pożegnała Czarownicę i pośpieszyła wykonać jej polecenia.

V

Godzinę później ośmiu mężczyzn w podróżnych strojach, opończach i kolczugach, z wyładowanymi sakwami przy siodłach, wyjechało z zamku Es. W odległości pół mili od bram miasta skręcili z głównego szlaku w boczną drogę prowadzącą na południowy zachód, w stronę Przybytku Mądrości.

Eirran ostrożnie manewrowała koniem tak, by znaleźć się na końcu oddziału. Wszyscy bez wyjątku jechali na silnych, doświadczonych torgiańczykach, aczkolwiek Czarownice zmieniły przed odjazdem wygląd ich koni. Byłoby podejrzane, gdyby wszyscy dosiadali takich dobrych wierzchowców. Dlatego zdawało się, iż Eirran jedzie na nędznym dereszku. Tylko koni obu Sokolników nie poddano działaniu iluzji. Powszechnie bowiem znano zamięłowanie ich plemienia do najpiękniejszych rumaków, pozornie zaś marne pod nimi konie mogłyby wzbudzić zbędne i niepożądane zainteresowanie obcych. Sokoły siedziały na łękach ich siodeł. Eirran dręczyła obawa, iż Yareth może rozpoznać ją po oczach, choć widział Kernona jedynie bardzo krótko. Bała się też, że Rangin albo Śmiały Wojownik mogliby przebić wzrokiem zasłonę iluzji. Zachowywała więc ostrożność i trzymała się od nich z dala.

Widziała przejawy nurtującego Yaretha gniewu — zaciskał zęby i jechał wyprostowany. Znała powód tej wściekłości: myślał, że odjechała bez pożegnania.

Na to jednak nie było rady. Musiało jej wystarczyć, że wyruszają razem w podróż, chociaż tylko parę osób wiedziało, iż jeden z gwardzistów, którzy udali się na ratunek kandydatkom na czarownice, był w rzeczywistości kobietą.

Rozdział czwarty

I

Myszka nigdy nie widziała nic równie wspaniałego jak szarozielone mury i wieże Es otaczające wielki zamek. Wprawdzie przyrzekła sobie, że nie będzie się zachowywać jak dopiero co przybyła do miasta wiejska mysz — choć jej miano przyjęła — rozglądała się jednak na wszystkie strony, gdy ze śpiewem wjeżdżali do miasta. Poczowała się nieco lepiej, kiedy przekonała się, że jej towarzyszki robią to samo. Seplenisia nawet co chwilę zerkała do góry, jakby w każdej chwili mogły spaść z nieba jakieś nowe dziwy. Zauważyła spojrzenie Myszkki i obie dziewczynki jednocześnie dłońmi zakryły usta powstrzymując wybuch śmiechu. Cóż by to było, gdyby pozostałe kandydatki na czarownice również zaczęły chichotać! Wszystko by zepsuły.

Przechodnie zatrzymywali się i patrzyli na kawalkadę. Jechali najpierw główną ulicą, a potem przez wielką bramę, wreszcie znaleźli się w olbrzymich stajniach. Jeźdźcy zsiadli z wierzchowców, a stajenni odprowadzili je na miejsce. Rhinfar zasalutował zgrabnie i Pszczoła odprawiła go z podziękowaniami. Gdy znaleźli się w obrębie zamku, Rhinfar wraz ze swoimi ludźmi odmaszerował w przeciwnym kierunku.

— Dokąd oni idą? — zapytała Płomyk.

— Do koszar. Mieszkają w nich, kiedy przebywają na zamku — wyjaśniła z uśmiechem Pszczoła. — Chodźcie, dzieci, wejdziemy teraz do środka. Nie ociągajcie się.

— Tak wcześnie? — zapytała zaskoczona Gwiazdka. — Czy zaczniemy naukę dzisiaj?

— Zapomniałaś. To właśnie tu mieszka Najwyższa Strażniczka.

— Ale jak tam wejdziemy, Pszczoło? — spytała z konsternacją Świerszczyk. — Tam nie ma drzwi!

Czarownica roześmiała się.

— To prosta sztuczka, żeby wprowadzić w błąd niewtajemniczonych. Pokażę wam. Nie zostaniecie tutaj długo, tylko przez noc. Kto inny zabierze was do Przybytku Mądrości... — Uciszyła energicznym ruchem zgodny protest dziewczynek. — Wypełniłam zlecone mi zadanie przywożąc was tutaj. Pracuję tu, w Radzie, razem z Najwyższą Strażniczką. Ona chce z wami porozmawiać przed wyjazdem. Chodźcie ze mną, będziecie mogły się przebrać, żeby dobrze się zaprezentować.

Pszczoła pokazała dziewczynkom, jak przebić wzrokiem iluzoryczną ścianę zasłaniającą wejście. Później poprowadziła swoje podopieczne przez podwójne drzwi do wysokich, pełnych ech korytarzy, a następnie do dużej sypialni otynkowanej i pomalowanej na biało, i tylko u szczytu ścian ozdobionej girlandą czerwonych i niebieskich kwiatów. Stało tam sześć łóżek i przy każdym łóżku znajdował się stolik z miską z ciepłą wodą. Obok leżał kawałek mydła. Myszka prawie nie zwróciła uwagi na piękne meble ani na wodę, chociaż marzyła o myciu po podróży. Z zachwytem i zdumieniem zobaczyła na łóżkach sześć szarych sukien uszytych tak samo jak szata Pszczoły, tylko mniejszych. Na podłodze zaś, tuż przy łóżkach stało sześć par nowych sandałów i tyleż płóciennych trzewików mających zastąpić ich niewygodne buty.

Dziewczynki z piskiem zachwyty podbiegły obejrzeć swoją nową odzież.

— Och, czy naprawdę możemy je nosić? — zapytała Płomyk. Zdjęła już buty i

wsuwała stopy w miękkie trzewiki.

— Oczywiście, że możecie — odrzekła Pszczoła. — Ale dopiero po umyciu.

Dziewczynki natychmiast zrzuciły wierzchnią odzież i zaczęły tak entuzjastycznie pluskać się w wodzie, że obryzgały podłogę i ściany. Pszczoła musiała obejrzeć każdą podopieczną, by się upewnić, iż wylała przynajmniej trochę wody na siebie. W końcu zrezygnowała, zażądała jeszcze wody i przypilnowała, by wszystkie dziewczynki się wykapały i umyły mydłem wszędzie, nawet za uszami.

— Dziewczynki, dziewczynki! — powiedziała kręcąc głową z udanym niezadowoleniem do spóźniającej się zmyciem Seplenisi. Dziewczynki zachichotały i rozeszły się po sypialni, dumne ze swoich nowych sukienek, w których tak ładnie wyglądały. — Nigdy się nie nauczycie dobrych manier. Mam tylko nadzieję, że przed Najwyższą Strażniczką zachowacie się inaczej.

— Na pewno — zapewniła gorąco Świerszczyk i dorzuciła: — Jestem głodna!

— My także — odrzekły pozostałe.

Myszka powąchała dziwne mydło — zielone jak zioła, w niczym nie przypominało tego, które wyrabiała mama, pachniało świeżymi kwiatami — i pomyślała, że na swój sposób jest bardzo przyjemne. Nagle zdała sobie sprawę, że też jest bardzo głodna.

— Czy możemy coś zjeść, zanim pójdziemy do Najwyższej Strażniczki? — zapytała.

— Tak, oczywiście. To będą nasze ostatnie wspólne chwile. Ponownie spotkamy się za jakiś czas — powiedziała Pszczoła. — Postaram się jednak jutro rano zjeść z wami śniadanie. A teraz stańcie w szeregu, żebym mogła się wam przyjrzeć.

Upewniwszy się, że wyglądają jak należy, zaprowadziła je do innego pokoju. Okna wychodziły tam na wewnętrzny dziedziniec i w ścianie były drzwi również wychodzące na zewnątrz. Na długim stole ustawiono sześć nakryć — miski, łyżki i drewniane kubki. Myszka westchnęła lekko.

— O co chodzi, Myszko? — spytała Pszczoła.

— O nic.

— Ejże, powiedz, co jest nie w porządku?

— Tu jest tak jak u nas w domu.

— A ty oczekiwałaś czegoś wspanialszego niż drewniane miski. Srebra, a przynajmniej cyny, nieprawda?

Zawstydzona dziewczynka skinęła twierdząco głową.

— Na naszym stole zawsze ustawiam kwiaty, jeśli są.

— No cóż — powiedziała Pszczoła. — Czarownice nie przywiązują wagi do luksusu. Musisz się tego nauczyć. Ale kwiaty, proszę bardzo.

Tuż za drzwiami rósł krzak róży z paroma właśnie rozkwitłymi pączkami. Pszczoła zerwała je, włożyła do dzbanka z wodą i postawiła na środku stołu, w pobliżu miejsca, przy którym siedziała Myszka.

— Teraz lepiej? — zapytała.

— O tak, dziękuję ci, Pszczoło — odrzekła dziewczynka. Z zadowoleniem zaczęła jeść kaszę jęczmienną. Od czasu do czasu dotykała róż. Były piękne i cudownie pachniały.

Później, ponieważ Najwyższa Strażniczka była zajęta i jeszcze nie mogła ich przyjąć, pozwolono im wyjść i bawić się na słonecznym dziedzińcu. Tym razem jednak nie wciągnęła ich zabawa w chowanego. To tylko podczas podróży musiały wyładować nadwyżki energii. Teraz, gdy znalazły się w mieście Es i w samym środku — przynajmniej tak im się zdawało — zamku Es, opanował je rzadki gość — spokój. Świerszczyk znalazła kawałek sznurka i bawiła się ucząc Seplenisę, jak zrobić „kocią kołyskę”. Myszka i Ptaszynka cichutko chichotały przyglądając się, jak Seplenisia, słuchając wskazówek Świerszczyka, myli się raz po raz.

— Jesteś najgorsza w wiązaniu kociej kołyski — oświadczyła Ptaszynka. — Znacznie gorsza niż ja kiedykolwiek.

— Nie jeftem — zaprzeczyła Seplenisia. Jej palce mignęły w słońcu i związały sznurek w bardzo skomplikowany węzeł, którego Świerszczyk wcale jej nie pokazała. — Widzif?

Myszka spojrzała na swoje nowe, szare trzewiki i z zadowoleniem poruszyła palcami nóg. Nigdy dotąd nie miała takich bucików. Powiedziano jej, że po opuszczeniu zamku Es będzie nakładała na nie sandały. Później zaś, latem, zrzuci trzewiki i włoży sandały na bosc stopy, tak jak to robiła przez całe życie. Pomyślała, że jest to najlepszy pomysł, jaki komukolwiek przyszedł do głowy, związany z butami, trzewikami i stopami. W zimie stopy zawsze jej marzły, a teraz było jej ciepło.

Gwiazdka wędrowała po dziedzińcu przyglądając się wszystkiemu, ale niczego nie dotykając. A Płomyk po prostu siedziała bardzo spokojnie w środku ogrodu, głęboko zamyślona, i nikt jej nie przeszkadzał.

II

Popołudniem dziewczynki ustawiły się w szereg, żeby stanąć przed obliczem Najwyższej Strażniczki. Teraz, kiedy ta chwila nadeszła, ogarnęło je onieśmienie. To Pszczoła musiała zdecydować, w jakiej wejść kolejności, gdyż wydawało się, że dziewczynki nie są w stanie tego zrobić. Myszka była czwarta, a przed nią i za nią siedziały na ławce rządkiem bardzo nieśmiałe dziewczynki. Może w komnacie Najwyższej Strażniczki były inne drzwi, a może żadna z dziewczynek, które tam weszły, już jej nie opuściła?

Nikt bowiem nie wrócił, żeby opowiedzieć pozostałym, jak przebiegło posłuchanie. Myszka uznała, że to dobrze, iż ostatnia wejdzie Gwiazdka, najbardziej opanowana ze wszystkich i najlepiej znosząca oczekiwanie.

Zanim się zorientowała, nadeszła jej kolej. Z trudem przełknęła ślinę. Spojrzała na klamkę. Odlano ją z brązu, nadając kształt jakiegoś nieprawdopodobnego stworzenia. Dziewczynka wyobraziła sobie, że oczy tego stwora mrugają do niej, łypią złośliwie, a korpus wije się pod naciskiem dłoni. Omal nie wypuściła klamki z ręki. W owej chwili pragnęła tylko uciec jak najdalej i ukryć się gdzieś, tak by nie musiała patrzeć na ohydne potwory zamiast klamek, nosić szarej sukienki i chodzić do jakiejś dziwacznej szkoły z dala od mamy i taty ani spotykać się z jakąś dziwną starą damą, która jest równie straszna jak klamka przy drzwiach jej komnaty i prawdopodobnie jeszcze od niej brzydsza. Po chwili przestała się buntować. Rezulutnie chwyciła za metalową bestię tak mocno, że ta przestała wic się w jej rękach. Z zaschniętymi ustami i bijącym sercem nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła bardzo przyjemny pokój. Był mały i przytulny, z gobelinami na ścianach i ogniem palącym się na kominku. Czekwała tam na nią odziana w szarość pani, bardzo podobna do swoich sióstr w szarych strojach, wcale nie stara ani brzydka i zupełnie niepodobna do potwora, choć miała taką straszną klamkę przy drzwiach. Inna dama akurat wchodziła przez małe drzwi w przeciwległym kącie komnaty, niosąc tacę. Postawiła ją na stole i odeszła tam, skąd przyszła.

— Witaj, moje dziecko — odezwała się Strażniczka. — Zamierzałam zaparzyć herbatę. Czy kiedykolwiek piłaś herbatę?

— O tak, pani, dziękuję ci — odrzekła Myszka. — Moja mama robiła ją przez cały czas i pozwalała mi napić się trochę, jeśli byłam grzeczna. Usta damy w szarej sukni drgnęły.

— W takim razie wiesz, jak to się robi. Czy zaparzysz ją dla mnie? Pszczoła powiedziała mi, że byłaś naprawdę bardzo grzeczna, możesz więc w nagrodę przygotować i dla siebie kubek.

Dumna z siebie dziewczynka usiadła naprzeciw Strażniczki i zaczęła odmierzać odpowiednią ilość słodko pachnących liści. Marszcząc czoło w skupieniu, z wysuniętym językiem naląła do dzbanka wody, ile należało i poczekała, aż herbata się zaparzy. Ostrożnie poruszyła dzbankiem sprawdzając, czy napar jest gotów. Podając czarownicy napełniony kubek zdała sobie sprawę, że zachowywała się jak nierozumne dziecko. Nie powinna była się bać, nie musiała się niczym niepokoić, gdyż dama w szarym stroju okazała się równie miła jak Pszczoła. Poczuli się jak u siebie i zaczęła rozmawiać ze Strażniczką o wszystkim, o czym chciała pomówić.

— Ty też masz piękny naszyjnik — powiedziała wpatrując się w niebieskawoszary kamień zawieszony na srebrnym łańcuszku na szyi czarownicy. Spojrzała na swoją nową sukienkę myśląc, że bardzo chciałaby mieć taki naszyjnik i jak ładnie by wyglądał. — Pszczoła ma podobny.

— To jest coś więcej niż ozdoba — odparła Strażniczka. — To część naszej tajemnicy. Każda czarownica ma swój własny Klejnot, który należy tylko do niej. Pomaga nam czynić niezwykłe rzeczy. Spójrz.

Mówiąc to podniosła swój Klejnot i położyła go na dłoni. Ku zdumieniu Myszki kamień zaczął świecić. Świecił coraz jaśniej i jaśniej, aż w końcu jego blask przyćmił inne światła w komnacie; dziwne cienie zatańczyły wokół twarzy Strażniczki.

Dziewczynka otworzyła usta. Czuła mrowienie na skórze, jakby wędrowały po niej tysiące owadów. Nie dostrzegła jednak nic. Zdumiona i zalękniona zrozumiała, że jest to ta część Mocy, o której mówiła im Pszczoła. Moc po prostu nappełniała pokój, a jej najsilniejszy prąd przepływał pomiędzy czarownicą i Klejnotem. Strażniczka osłaniała włosy srebrną siatką, która rozpadła się pod wpływem czarodziejskiego światła. Włosy zaś jęły się poruszać i unosić jak żywe. Moc narastała, aż w końcu pukle czarownicy stanęły dęba w blasku bijącym od Klejnotu, jakby znalazła się na szczycie turni smaganej zimnym wiatrem. Myszka była tym tak zafascynowana, że zapomniała o strachu. Zresztą przewodnicząca Rady Czarownic przyglądała jej się z leciutkim uśmiechem, więc gdyby nawet ogarnął Myszkę strach, za nic nie dałaby tego po sobie poznać.

Potem dama w szarej sukni opuściła spojrzenie na klejnot i dmuchnęła na niego leciutko. Poziom Mocy natychmiast się obniżył. Kiedy ten dziwny, bezdźwięczny odgłos ucichł, Myszka zdała sobie sprawę, że w jakiś sposób nie tylko go słyszała, lecz także widziała. Dudnienie w uszach stawało się coraz cichsze, aż w końcu słyszała już tylko bicie swego serca. Drgnęła i wtedy uświadomiła sobie, że przez cały ten czas siedziała jak skamieniała, bez najmniejszego ruchu.

— Och, dziękuję ci, pani — szepnęła. — To było cudowne. Chciałabym mieć srebrny naszyjnik z takim Klejnotem. Robiłabym to przez cały czas.

Strażniczka uśmiechnęła się jakby z wysiłkiem. Myszka nie zrozumiała, dlaczego na twarzy Czarownicy nagle odmalowało się zmęczenie.

— Obawiam się, że nie — odrzekła. — Ale cieszy mnie, że tego pragniesz. Czy chciałabyś go dotknąć?

— Och... — szepnęła dziewczynka. — Mogę? Naprawdę?

— Tak, oczywiście.

Myszka z wahaniem dotknęła czubkiem palca biało-szarego teraz kamienia. Ten nagle zabłysnął tak jasno, iż szybko cofnęła rękę w obawie przed oparzeniem i nawet wsadziła palec do ust. O dziwo, nie był wcale poparzony! A czarodziejski kamień? Zupełnie zimny! Może ten błysk to tylko ostatnia iskierka tego, co pokazała jej czarownica, tak jak ognisko, które strzela płomieniem po raz ostatni, zanim zgaśnie na dobre. Strażniczka roześmiała się pobłaźliwie.

— Wiesz? Ty naprawdę będziesz miała własny Klejnot. Stanie się to pewnego dnia, kiedy dorośniesz i nauczysz się wszystkich lekcji. Musisz się uczyć bardzo pilnie i słuchać nauczycielek, żebyś wyrosła na wysoką i mądrą dziewczynkę...

Dama w szarościach powiedziała to zupełnie tak jak mama Myszki.

— Założę się, że powiesz mi, iż powinnam jeść warzywa — dodała figlarnie Myszka.

Czarownica wybuchnęła śmiechem.

— Oczywiście, że powinnaś jeść warzywa. — Pociągnęła czule Myszkę za ucho.

— A kiedy dorośniesz, będziesz miała swój własny Klejnot. Będziesz czarownicą tak jak my wszystkie i będziesz żyła wiele, wiele lat.

III

Następnego ranka Myszka i pozostałe dziewczynki spotkały Liść, damę, która miała je zawieźć do Przybytku Mądrości. Liść i Pszczoła zjadły z nimi śniadanie.

— Mam nadzieję, że będziesz miała więcej szczęścia z tą gromadką niż ja — powiedziała Pszczoła takim samym tonem jak wtedy, gdy udawała, że jest z nich niezadowolona. — Są naprawdę nie do wytrzymania i nie mają pojęcia o dobrych manierach, choć tak bardzo się starałam je tego nauczyć.

Liść uśmiechnęła się. W kąciakach jej oczu pojawiły się zmarszczki i Myszka rozumiała, iż ta dama jest bardzo dobra.

— Myślę, że raczej nie będę miała z nimi dużo kłopotów. Prawda, że nie, moje panny?

— Och, nie, Liściu — odrzekły nieskładnym chórem dziewczynki.

— Jestem pewna, że przy tobie, Liściu, wszystkie będziemy zachowywać się jak najlepiej — dodała Świerszczyk. Reszta zachichotała.

— Czy rozumiesz, co mam na myśli? — powiedziała Pszczoła. — Każda z nich to psotnica.

— Są pełne energii, a tego właśnie teraz potrzebujemy — odrzekła Liść. — No, moje panny, kończcie śniadanie. Musimy ruszać w drogę.

— Czy pojedziemy na naszych kucykach? — spytała Płomyk.

— A będą nam towarzyszyć gwardziści, jak ostatnim razem? — chciała wiedzieć Ptaszynka.

— Odpowiedź brzmi „tak” na oba pytania, chociaż tu, w samym sercu Estcarpu, nie będziemy potrzebowały tylu gwardzistów. Dwóch powinno wystarczyć.

— Czy włożymy nasze stare ubrania? — zapytała praktyczna jak zawsze Gwiazdka.

— Och, nie! — zawołała Świerszczyk. — Proszę, pozwól nam jechać w naszych nowych sukienkach. Będziemy bardzo, ale to bardzo grzeczne, będziemy czyste, nie zabrudzimy ich, czy coś w tym rodzaju.

Liść zacisnęła usta z zastanowieniem.

— Może macie rację — powiedziała w końcu. — Nie ma powodu, dla którego nie miałybyście już teraz zachowywać się jak czarownice.

— W takim razie dla Seplenisi nie ma nadziei! — oświadczyła Świerszczyk szturchając ją łokciem i chichocząc. — Nigdy nie słyszałam o czarownicy, która nie umiała dobrze mówić!

— To dlatego, że nie wiesz wftyckiego, chociaż tak ci fię wydaje — odparowała Seplenisia oddając szturchaniec.

Liść przerwała zaczynając się bójkę.

— Słyszałam o czarownicach, które seplenily, o czarownicach, które źle słyszały, i o czarownicach, które nie mogły widzieć cielesnym wzrokiem — oświadczyła. Spojrzała na Pszczołę i dodała: — Zaczynam rozumieć, co miałaś na myśli.

— No cóż, pozostawię je teraz z tobą — powiedziała Pszczoła. — Czekają na mnie inne obowiązki.

— Tak. Najwyższa Strażniczka jest bardzo zadowolona i chce, żebyś nadała nowe Wezwanie, jak tylko te dziewczynki zadomowią się w Przybytku Mądrości. Jeśli dopisze nam szczęście, nie będziesz długo wypoczywała.

Ucisnęły sobie ręce i ucałowały w policzki. Myszka wpatrywała się w obie czarownice szeroko otwartymi oczami. Kiedy Liść wróciła do stołu, dziewczynka pośpiesznie włożyła do ust pustą łyżkę.

— Ruszamy w drogę, jak tylko skończycie jeść — powiedziała Liść.

Uradowane dziewczynki wyskrobały do czysta swoje miski i ułożyły je w stos, by później zajęły się nimi służebne. Następnie ustawiły się w szeregu, żeby Liść mogła je obejrzeć.

— Potrzebne wam opończe — osądziła. — Rano jest jeszcze zimno. Może poszłybyście teraz do sypialni i spojrzwały na swoje łóżka?

Dziewczynki z piskiem i okrzykami radości pobiegły co sił w nogach. Kiedy jadły śniadanie, ktoś położył na każdym posłaniu ciepłą szarą opończę, jednocześnie zabierając stare odzienia. Myszkki to nie zasmuciło, gdyż jej płaszcz i tak był już za krótki. Ciesząc się nową opończę zapomniała, że tamtą uszyła dla niej mama. Z zachwytem podniosła i przytuliła do policzka miękką tkaninę, radując się cudownym, jedynym w swoim rodzaju zapachem odzieży, której jeszcze nikt nie nosił. Nowa opończa była tak długa jak te, które nosiły dorosłe damy! Prawie sięgała ziemi. Teraz tylko czubki jej nowych szarych trzewików będą spod niej wystawać. Z czego ją uszyto? Grzała ręce, była miękka jak jedwab i leciutka niczym piórko.

Dziewczynki szybko się przebrały w nową odzież i włożyły nowe sandały. Były gotowe do odjazdu. Odziane od stóp do głów w szarość wyglądały jak niepozorne stadko kuropatw, gdy tak szły rządkiem za Liściem na dziedziniec, gdzie czekały na nie konie pod opieką dwóch obcych gwardzistów. Jeden z nich podprowadził wierzchowca Liściowi i z wielkim szacunkiem pomógł jej wsiąść.

— Dobrego dnia, pani — powiedział.

— Istotnie, musi być dobry, skoro mamy przewieźć taki cenny ładunek! — Spojrzała z dumą na swoje podopieczne.'

Myszka siedziała wyprostowana na swoim kucu, trzymając wodze w dłoniach w taki sposób, jak tata na Ranginie. Ciekawe, czy pozwolą jej zatrzymać tego konika, gdy przybędą do Przybytku Mądrości? A może Liść i gwardziści zabiorą je z powrotem dla innych dziewczynek? Miała nadzieję, że pozwolą jej zatrzymać kucyka, gdyż polubiła tego pstrokatego tłuściocha. Przypomniała jednak sobie jedną z nauk Pszczoły: czarownice nie dbały o dobra materialne, o rzeczy tego świata. Obchodziła je jedynie magia, troszczyły się tylko o siebie i o swoje Klejnoty.

IV

Podczas podróży Myszka nabrała głębokiego przekonania, że cały Estcarp ma szarozieloną barwę, że tam, gdzie się ją widziało, sięga władza Rady Czarownic. Jednak w miarę jak jechali na północny zachód, odcienie krajobrazu zaczęły się zmieniać, szara zieleń przemieszała się z żółcią i brązem. Dziewczynka uświadamiała sobie, że zbliżają się do morza i jego piaszczystych wybrzeży.

Droga skręcała gwałtownie. Z żółto-brązowego podłoża strzelały szarozielone skały, podnóże niskich gór. Budowniczo wie drogi, zamiast przebijać się przez górzysty teren, woleli go ominąć. Obszar ten sprawiał wrażenie dzikiego pustkowia, na które nie zapuszczał się nikt poza myśliwymi. Myszka zadała sobie pytanie, co pomyślałby o takim miejscu jej tata, który lubił polować w górach.

Przejechali przez wąwóz wyrąbany w skałach u samych stóp górskiego łańcucha. Turnie wznosiły się po obu stronach szczeliny. W chwili gdy znaleźli się w połowie, usłyszeli zgrzyt pazurów o skałę. Myszka jęknęła. Stado białych psów wyskoczyło z kryjówek, wybiegło na drogę i otoczyło konwój. Ujadanie i warczenie napełniło powietrze. Psy jęły kąsać kopyta koni i kucyków, a potem rzuciły im się do gardeł. Wierzchowce przeraźliwie zarżały i spłoszone o mało nie zrzuciły swoich jeźdźców. Grupa zbrojnych wyskoczyła pomiędzy skał tuż za białymi psami. Gdzieś zagrał róg i czyjś męski głos wezwał do ataku.

Liść usiłowała zapanować nad swoim koniem. Zwierzę wpadło w panikę, stanęło dęba i skoczyło przed siebie. Gwardziści wyciągnęli broń i rzucili się za nią, rozpraszając psy. Gdzieś wśród skał rozległy się dwa syknięcia, jedno po drugim. Jeden z gwardzistów krzyknął i osunął się na kark konia. Nieforemne, krótkie drzewce, podobne do strzały, lecz znacznie od niej grubsze, tkwiło w jego plecach. Niemal w tej samej chwili coś śmignęło obok policzka Myszkę, tak blisko, że dziewczynka wzdrygnęła się i krzyknęła.

— Uważaj, gdzie celujesz! — wrzasnął jeden z napastników.

Kuce z przerażonymi dziewczynkami zbiły się w beładną kupę. Nie były rumakami bojowymi i nie wiedziały, co należy robić i jak reagować podczas walki. Dziewczynki nie potrafiły ich opanować i przestraszone koniki kręciły się w kółko. Liść szybko okiełznała swojego konia.

— Cofnijcie się, dziewczynki! — zawołała. Wyrwała miecz z ciała zabitego napastnika i ruszyła na pomoc drugiemu gwardziście. Atakowany z obu stron, bronił się przed ściągnięciem z siodła. Liść pchnęła konia prosto na napastników. Jej miecz podniósł się i opadł, i jeden z nich runął.

Dziewczynki daremnie biły oszołomione konie piętami, smagały wodzami, żadnej nie udało się ruszyć z miejsca. Myszka kątem oka dostrzegła w górze jakiś ruch. Podniosła wzrok. Na skale stał jakiś mężczyzna i z kuszą w rękach obserwował toczącą się w dole bitwę. Zdjął ozdobiony pióropuszem hełm, by móc lepiej celować. Dziewczynka patrzyła na niego, nie mogąc krzyknąć, nie mogąc się poruszyć i każdy szczegół jego postaci wrył jej się w pamięć.

Ubrany był w sznurowany niebieskozielony kaftan, przepasany szerokim pasem. Po prawej stronie na piersi miał coś białego. Nosił obcisłe spodnie tej samej barwy co kaftan, wysokie buty ze śmiesznie szerokimi górą cholewami. Z pasa zwisała mu jakaś broń i kilka sakiewek. Wiatr rozwiewał jego białe włosy. Spokojnie, jakby strzelał do tarczy, wycelował kuszę i pociągnął za spust. Rozległo się trzecie syknięcie i drugi gwardzista spadł z konia. Chude białe psy ujadły, wyły i warczały skacząc na Liść, jakby chciały i ją ściągnąć na ziemię. Kilka zwierząt oderwało się od

stada i rzuciło się na przerażone dzieci.

A potem wszystko skończyło się tak nagle, jak się zaczęło. Zanim psy zdążyły zrobić dziewczynkom coś złego, białowłosi mężczyźni rozpędzili je kopniakami. Uchylając się zręcznie przed ciosami miecza czarownicy, ściągnęli ją z konia. Inni chwycili za wodze kucyki i uspokoili je. Zasadzili dzieci na ziemię i spędzili w gromadkę. Obok stało dwóch zbrojnych, by zapobiec jakiegokolwiek próbie ucieczki.

— Dobra robota! — krzyknął z góry przywódca. Zaczął schodzić w dół, przeskakując ze skały na skałę. Myszka wpatrywała się weń z nadzieją, że spadnie i skręci kark, ale on nawet ani razu się nie poślizgnął.

— Zabijcie nas tylko, a żywi nie dotrzecie do granicy Alizonu — powiedziała zawzięcie Liść. Nadal szamotała się w rękach mężczyzn; jeden z nich mocno uderzył ją w twarz. Krew popłynęła z jej skaleczonej wargi.

Przywódca zeskoczył na równy grunt i podszedł do czarownicy.

— To prawda, że nie możemy sobie pozwolić na zwłokę, by nacieszyć się, hm, estcarpiańską gościnnością. Nie musisz jednak obawiać się o życie swoich podopiecznych. Co do nich mamy inne rozkazy. A co do ciebie... No cóż, możemy poświęcić ci kilka minut, prawda? — Rozejrzał się dookoła szczerząc zęby, a jego podwładni odpowiedzieli mu złowieszczymi uśmiechami.

Wydawało się, że Liść wrywa się nie po to, by się uwolnić, ale żeby chwycić Klejnot, który nosiła na szyi. Dowódca Psów obserwował ją przez chwilę. Bez pośpiechu zrobił krok do przodu, złapał białoszary kamień i szarpnął mocno. Łańcuszek pękł. Liść krzyknęła i krew jeła się sączyć z miejsca, gdzie łańcuszek rozciął skórę.

— Nic z tego, czarownico. Wszyscy znamy wasze sztuczki — oświadczył przywódca Alizończyków. Odwrócił się i rzucił Klejnot wysoko w górę, tam gdzie przedtem czaili się w zasadzce. Kamień z grzechotem uderzył o skałę. Alizończyk skinął głową i zwrócił się do swoich podwładnych: — Pośpieszmy się, bo może zdołała już przekazać jakieś wieści. Trzeba zadbać, żeby nie przesłała następnych. Nigdy.

Żołnierze zaciągnęli Liść na pobocze drogi, gdzie czekały już wbite w ziemię kołki. Powalili ją i przywiązali do nich jej ręce i nogi, tak że nie mogła się poruszyć. Wrzasnęła i próbowała walczyć jedyną bronią, jaka jej pozostała — zębami, więc kiedy zdarli z niej suknię, oderwali strzęp materiału i zakneblowali jej usta.

— Liściu! — zawołała Świerszczyk z rozpaczą.

— Czy my będziemy następne? — spytała przestraszona Płomyk.

— Nie — odrzekła Gwiazdka. — Mają co do nas inne plany.

— Nie mogę patrzeć — dodała Ptaszynka. — Myślę, że zwymiotuję.

Świerszczyk przytuliła się do Myszki, zdołała też objąć ramieniem również Ptaszynkę. Dziewczynki przylgnęły do siebie i zaczęły płakać. Nic wszakże nie zagłuszyło dźwięków dobiegających z pobocza drogi. Mężczyźni przepychali się z rechotem, słychać było plugawe słowa, obleśne żarty. Liść jęczała i krzyczała pomimo knebla.

Część psiej sfory wróciła do swoich panów. Kilka psów siadło w pobliżu przerażonych dziewczynek. Dyszały ciężko z wywieszonymi ozorami i z zaciekawieniem przyglądały się wystraszonemu dzieciom. Myszka nigdy nie widziała czegoś równie brzydkiego jak te białe, chude psy o wąskich, węzowych głowach. Ptaszynka zadrżała, a potem pochyliła się do przodu i jeła wymiotować. Myszka, choć i ją mdliło, znalazła dość sił, aby pomóc towarzyszyce niedoli.

Na moment zapadła cisza i Myszka podniosła oczy, mając nadzieję, że Alizończycy uwolnili Liść. Zobaczyła wszakże, że jeden z nich stanął nad nią podnosząc miecz. Czarownica wypluła knebel i spojrzała na Myszkę. Coś z

dzwoniem przemknęło między nimi i dziewczynka zachwiała się na nogach jak uderzona.

— To twoje, Myszko! Użyj go...

Miecz pomknął w dół. Liść zadrgała i znieruchomiła.

Myszka patrzyła szeroko otwartymi oczami, oniemiała z przerażenia, wprost zmartwiała. Prawie nie zauważyła, że ktoś ją podniósł i przerzucił przez siodło przed sobą. Leżała półprzytomna, pragnąc tylko jednego: znaleźć jakąś kryjówkę, w której mogłaby zetrzeć z pamięci ten straszliwy obraz. Wszystko to trwało zaledwie kilka chwil, ale śmierć Liścia raz po raz powracała w jej wspomnieniach, uniemożliwiając postrzeganie rzeczywistości. Okropna scena przesuwawa się przed jej wzrokiem jak ruchomy gobelin, niezależnie od tego, czy spała, czy zamykała oczy, by nie widzieć białowłosych mężczyzn i ich psów. Ten pierwszy straszny dzień skończył się wreszcie i przeminął, a potem drugi i trzeci.

Wiedziała, że był to dzień tylko dlatego, że leżała na grzbiecie czyjegoś konia jadąc, jadąc, jadąc w nieznaną. Wiedziała, że była noc tylko wtedy, gdy zrzucano ją na ziemię i tuliła się do pozostałych dziewczynek, przerażona i zapłakana jak one. Myszka straciła rachubę dni i nocy, zanim na tyle przyszła do siebie, że zorientowała się, iż jej towarzyszki niedoli są w równie złym stanie jak ona sama. Lecz tylko Gwiazdka patrzyła wówczas w stronę Alizończyka, który zabił Liść.

— To naprawdę się stało, prawda? — zapytała Gwiazdkę drżącym głosem.

— Tak — odrzekła tamta. — Naprawdę się stało. Czy teraz dobrze się czujesz?

Bałam się, że cię stracimy.

— Ona wymówiła moje imię.

— Wiem. Słyszałam.

— Myślę, że już nigdy nie będę taka sama jak przedtem. Ale czuję się lepiej.

— Żadna z nas nigdy nie będzie taka sama — odrzekła ze smutkiem Gwiazdka.

Przysunęła się do Seplenisi, która Przytuliła się do niej, nie wyjmując z ust palca i patrząc szklistymi oczami.

Po raz pierwszy Myszka poczuła się na siłach, żeby wewnętrznym głosem zawołać mamę, sprawić, by ją usłyszała tak jak kiedyś. Mama nigdy nie zdała sobie sprawy, dlaczego przychodziła zawsze wtedy, kiedy Myszka jej potrzebowała, i córka nigdy jej tego nie wyjaśniła. Teraz coś jej powiedziało, że mogłaby wołać bardzo, bardzo długo i na nic by to się nie zdało, gdyż mama była za daleko.

— Chcę wrócić do domu — wyjąkała Ptaszynka. Łzy wyślubiły rowki w brudzie i kurzu pokrywającym jej buzię.

— Wszystkie chcemy wrócić do domu — odparła Płomyk.

— Jeszcze nie możemy — oświadczyła Myszka. Świerszczyk i Ptaszynka spojrzały na nią. — Jeszcze nie — powtórzyła. Wiedziała, po prostu wiedziała, że rodzice odnajdą i ją, i jej przyjaciółki, i wszystkie wrócą do domu.

Później jednak zaparło jej dech w piersi, gdy zorientowała się, że nie wie, do jakiego domu chce wrócić — do Błagden z mamą i tatą, czy do czarownic z Estcarpu, rozumiała bowiem, iż jest jedną z nich.

Rozdział piąty

I

Tragedia, jaka rozegrała się u podnóża góry, ukazała się jasno nawet oczom kogoś, kto jak Eirran nie umiał odczytywać śladów. Loric i Dunnis pośpieszyli, żeby odwiązać ciało czarownicy. Alizończycy po prostu porzucili je na pastwę ścierwojadom. Loric zdjął opończę i przykrył okaleczone ciało. Ranał i Hirl z posepnymi twarzami przynieśli zwłoki swoich towarzyszy. Wszystkie ciała ułożono w jednym miejscu, miały tu czekać na pochówek.

Eirran zmusiła się do wzięcia udziału w tych czynnościach. Wyglądam jak Kernon, mówiła sobie, muszę być Kernonem. Nie mogę wymiotować, nie wolno mi płakać i czkać, muszę im pomóc.

Yareth i Weldyn posłali swoje sokoły w górę na wypadek, gdyby nieprzyjaciel był w pobliżu i zawrócił, by rozprawić się z wysłaną z odsieczą gromadką. Później obaj Sokolnicy przeszukali najbliższe otoczenie, bardzo uważnie badali każdy ślad zasadzki i ataku.

— Musiało być dwudziestu ludzi i tyle samo psów — orzekł Weldyn.

Hirl odetchnął głęboko.

— Nie chcieli zatem niczego pozostawić przypadkowi. Mają dużą przewagę.

— Porzucili ciała czarownicy i gwardzistów — dodał Loric. — Nie znaleźliśmy jednak ciał dzieci.

— To dlatego, że je porwali — odparł Girvan. Marszcząc brwi spojrzał na północ.

— Tak. Ze śladów widać, że konie niosły w powrotnej drodze cięższe brzemienie niż przedtem. — Weldyn powiódł wzrokiem za spojrzeniem Girvana i jeszcze bardziej spochmurniał. Widać było jednak, iż raczej się zamyślił, niż planował zemstę.

— Gdybyśmy tylko zdążyli na czas. — Hirl pokręcił z rozpaczą głową. — Może nawet by się nam udało ich pokonać, zmusić do ucieczki. Uratowalibyśmy życie naszym towarzyszom i dama nie cierpiałaby tak strasznie.

— A może byśmy zginęli podczas tej próby — odparował Dunnis. — Dwudziestu Alizończyków z tymi ich piekielnymi psami przeciwko naszej ósemce czy dziesiątce, jeżeli zakładasz, że nasi zmarli towarzysze mogliby przeżyć zasadzkę. Nawet taki stosunek sił mi się nie podoba.

Weldyn przeszukał skały po obu stronach drogi. Wrócił trzymając coś w ręku.

— Teraz wiemy, dlaczego czarownica nie nadała dokładniejszego posłania — powiedział. — Zdarli to z niej, zanim zdołała odpowiednio się tym posłużyć. — Spojrzał na trzymany w ręku wisior. — Równie dobrze możemy pochować to razem z jej ciałem. Powiadają, że te rzeczy są bez wartości po śmierci właścicielki.

— Nie — powiedziała Eirran, zanim miała czas się zastanowić lub się pohamować. — To znaczy — poprawiła się nerwowo — ta dama była w porządku. Nie chciałbym, żeby wszelki ślad po niej zagał.

— Pamiątka? — spytał Weldyn. Rzucił Klejnot Eirran, która złapała go w powietrzu. — Weź go więc. To srebro jest coś warte. Ale ja go nie chcę.

Eirran ostrożnie ukryła Klejnot. Może jej się coś przywidziało, a może było to tylko odbicie światła, ale wydało się jej, że dostrzega słabą iskierkę w głębinie szarobiałego kamienia. Może, może... Nie wiedziała, co ją skłoniło do ocalenia Klejnotu. Jakaś siła, może ta, która ukrywała jej prawdziwą postać, poleciła jej tak postąpić i Eirran nie odważyła się jej nie posłuchać. Odeszła na bok, udając, że

poprawia patykiem ognisko, które dobrze się paliło. Yareth także wrócił do obozu i teraz patrzył na nią zaintrygowany, jakby zastanawiał się, po co Kernonowi martwy Klejnot czarownicy.

Potem odwrócił się w stronę oczekujących na pogrzeb ciał dwóch silnych mężczyzn w kwiecie wieku i trzeciej, smukłej postaci, litościwie przykrytej opończą Lorica.

— Nie należę do wielbicieli wież z Estcarpu — powiedział. — Co więcej, mam dość powodów, by odczuwać w stosunku do nich coś wręcz przeciwnego. Nie chciałbym jednak oglądać na własne oczy, jak ktoś dopuszcza się czegoś tak okropnego wobec któregoś z nich.

— Ani ja — dodał Weldyn. — Trudno mi było w ostatnich kilku latach słuchać rozkazów kobiety. Ale ponieważ żyjemy w takich, a nie innych czasach, trzeba robić, co się może. — Spojrzał z ciekawością na Yaretha. — Ty jesteś tym, który się ożenił, prawda? Jak się czujesz, przebywając z nią bez przerwy, zawsze na jej zawołanie? Zawsze w jej łóżku.

Yareth wzruszył ramionami i zmienił temat:

— Trzeba pogrzebać te ciała i ruszyć śladem Alizończyków — powiedział. — Musimy trzymać się z daleka, żeby nas nie zobaczyły, nie usłyszały i nie zwęszyły ich psy bojowe, dopóki nam się nie nadarzy sprzyjająca okazja do ataku. Jeśli nie zachowamy ostrożności, zabiją te pisklaki na miejscu.

Weldyn wydał usta.

— Mogę prawie zrozumieć twoją troskę o własne piskłę, nawet jeśli to dziewczynka. Ale dlaczego miałbyś się troszczyć o pozostałe?

— Obiecałem to.

— Obiecałeś! Kobiecie!

— Dobrze, że cię nie słyszą czarownice. Przynajmniej tak ci się wydaje — wtrącił Ranal. W odpowiedzi dostrzegł grymas strachu, który na krótko wykrzywił twarz Weldyna. — W zamku Es śpiewasz na zupełnie inną nutę, Sokolniku.

— Jesteśmy tym, kim jesteśmy — odrzekł Weldyn wzruszając ramionami. Nie były to przeprosiny. Spojrzał znów na Yaretha. — Lecz nie wtedy, gdy niektórzy z nas wyrzekają się samych siebie, żeby stać się kimś zupełnie innym.

— Bierzmy się do roboty — odparł Yareth. — Im wcześniej tu skończymy, tym wcześniej wyruszymy w dalszą drogę.

II

Zabrali zwłoki z miejsca zasadzki i pogrzebali je na szczycie jednego ze wzgórz górujących nad szarozieloną równiną, rozciągającą się aż do miasta Es. Zbudowali grobowiec z odłamków skalnych, zarówno dla uczczenia zmarłych, jak i dla ochrony przed drapieżnikami, które mógłby przyciągnąć zapach rozkładu i które mogłyby jeszcze bardziej zbezczścić ciała.

Pojechali na północ starożytną drogą, która była kiedyś dobrze utrzymanym traktem, świadczącym o lepszych stosunkach pomiędzy ziemiami północy i południa. W miarę jazdy jej stan coraz bardziej się pogarszał, aż w końcu zamieniła się w ścieżkę. W tych niebezpiecznych czasach podróżowali tedy tylko nieliczni kupcy, przewożący towary z kraju do kraju, i odważni wieśniacy, którzy nie chcieli opuścić swoich zagród rozrzuconych wzdłuż Gór Alizońskich. No i oczywiście, szpiedzy, zarówno alizońscy, jak i estcarpiańscy. Estcarp od Alizonu rozdzielały Moczary Toru, których obawiali się i nienawidzili na równi Alizończycy i Estcarpianie. Ktoś, kto zapuścił się na te bagniste tereny, musiał pożegnać się z życiem. Ci, którzy tam weszli, nigdy nie wrócili i o ich losie krążyły zatrważające pogłoski. Jechali przez kraj z każdym dniem coraz bardziej niegościnnie; zbliżali się zatem do krainy Torañczyków wraz z jej moczarami, bagnami i wrzosowiskami.

Możliwe, że kiedyś żył tu inny lud, który dawno temu zbudował tę drogę i jej używał. Teraz jednak w pomocnej krainie panoszyli się alizońscy baronowie szczytający się torgiańskimi wierzchowcami i chudymi psami, których używali do łowów i na wojnie.

Wszystkich — nawet Weldyna — irytowała konieczność trzymania się na dystans od porywaczy. Pragnęli otwarcie dogonić wrogów, i to jak najszybciej. Wszyscy też zadawali sobie po cichu pytanie, dlaczego Alizończycy porwali młodzieńkę czarownicę i co się teraz z nimi dzieje. Dla Eirran ta kwestia była największą z trudności, jakie napotkała podczas tej najdziwniejszej z podróży.

Pierwszej nocy omal się nie zabrała do rozbijania obozu razem z Yarethem i musiała się powstrzymać całym wysiłkiem woli. Podczas pierwszych dni ich znajomości, kiedy była faktycznie jego branką, odmówiła kategorycznie wszelkiej współpracy. Gdy w końcu jednak zawarli pokój, przekonali się, że razem bardzo dobrze im się pracuje, że nie muszą nawet rozmawiać, czuli się tak, jak gdyby znali swoje myśli. Później wędrowali w poszukiwaniu miejsca, w którym mogliby osiąść po niebezpiecznej przygodzie w Górach Granicznych. Eirran nauczyła Yaretha wyszukiwać dziko rosnące warzywa i jadalne korzenie, wzbogacając ich posiłki, gdyż przedtem jadał tylko mięso własnoręcznie upolowanych zwierząt lub ptaków, które upolował jego sokół, Śmiały Wojownik. Nauczyła go też lepiej gotować przy ognisku. On zaś z kolei zapoznał ją ze sztuką zakładania pułapek na króliki i nauczył, które gryzonie nadają się do jedzenia, a których powinna unikać. Oboje żywili się tym, co mogli znaleźć lub upolować, a teraz, rozdzieleni okolicznościami, wyraźnie odczuwali brak partnera.

Jadąc pozostawionym przez Alizończyków wyraźnym tropem, ośmiu jeźdźców odnalazło pierwsze obozowisko Psów w ich powrotnej drodze na północ. Sokolnicy przeszukali je dokładnie, szukając informacji o porwanych dzieciach. Dowiedzieli się na pewno tylko jednego: że dziewczynki żyły i że spały przytulone do siebie, jakby szukały w sobie wzajemnej pociechy. Bez słowa postanowili minąć to złowrogie miejsce i gdzie indziej rozbić obozowisko.

Sokolnicy wysłali Śmiałego Wojownika i Ostrego Szpona na poszukiwanie

kolejnych śladów i na polowanie. Weldyn również wybrał się na łowy i Yareth w tym czasie rozglądał się po okolicy wypatrując jadalnych roślin i dzikich ziół. Ku zaskoczeniu Eirran poradził sobie zupełnie dobrze z tym kobiecym przeciw zadaniem. Okazała się widać lepszą nauczycielką, niż przypuszczała. Weldyn odchodząc spojrzął na Yaretha z ukosa, ale nie komentował jego zachowania.

Eirran razem ze wszystkimi wzięła się do rozbijania obozu. Najpierw zajęto się końmi i przywiązano je do palików, nakarmiono je, oporzędzono i napojono. Później oczyszczono przestrzeń wokół ogniska, by kamienie nie wpijały się w plecy podczas snu. Właśnie skończyły się przygotowania do noclegu, gdy wrócił Weldyn z parą królików. Każdy z sokołów przyniósł ptaka. Dunnis wziął je i zaczął przygotowywać wieczerzę. Cienie wydłużyły się, popołudnie ustępowało miejsca wieczorowi.

— Girvanie, o ile dobrze pamiętam, mówiłeś, że jesteś Alizończykiem, prawda? — zapytał Yareth. Siedział z boku, głaskając Śmiałego Wojownika i podając mu kawałki mięsa. Dunnis pilnował kotła. Weldyn ulokował się naprzeciw Yaretha i także karmił swojego sokoła.

— Nie, ja byłem Alizończykiem — odrzekł Girvan. Powiedział to ostrym tonem, jakiego nigdy nie użyłby, gdyby ścigali kogoś innego niż Alizończyków. Przez chwilę bawił się oblużowaną sprzączką przy popręgu. — Teraz pochodzę z Estcarpu. Z Estcarpu.

— Ale kiedyś byłeś Alizończykiem i znasz ten kraj, gdyż inaczej Najwyższa Strażniczka nie poleciałaby mi ciebie jako przewodnika. Skoro więc czekamy beczynn timer aż ugotuje się mięso, proszę cię, powiedz nam, co wiesz o Alizonie. Wszystko bowiem wskazuje, że nasza droga tam wiedzie.

— Masz rację, Yarecie. — Girvan skinął głową. — Wygląda na to, że Psy — tu splunął na bok — zabierają te dzieci prosto do Alizonu i nas razem z nimi. Wybacz mi, że się zirytowałem. Kiedy pomyślę, że moi krewni mogli być zamieszani w to... w to, co wcześniej znaleźliśmy... Dobrze. Opowiem ci wszystko, co wiem. Pamiętaj jednak, że po raz ostatni byłem tam cztery miesiące temu. Wiele mogło się od tamtej pory zmienić. Możliwe też, że będę powtarzał to, co niektórzy z nas i tak już wiedzą. Opowiem wszakże jeszcze raz, byśmy lepiej wiedzieli, co nas czeka.

Żołnierze w milczeniu przysunęli się bliżej i Girvan rozpoczął swoją opowieść.

III

Nienawiść Alizonu do Estcarpu i do wszystkiego, co Estcarp sobą reprezentował, była tak dobrze wszystkim znana, że nikt nawet o tym nie wspominał. Od wielu, wielu lat Alizończycy pod rządami barona Facelliana prowadzili z Estcarpem wojnę na wyczerpanie, zadowolając się podjazdami, napadami i braniem do niewoli Estcarpian, którzy zapuścili się zbyt blisko granicy. Mężczyzn zabijali na miejscu, ale z kobietami — szczególnie zaś z czarownicami, które przybyły w poszukiwaniu informacji o działaniach Alizonu — postępowali tak samo okrutnie jak z nieszczęsną Liść, która towarzyszyła kandydatkom na czarownice do Miejsca Mocy.

Ostatnio jednak przybył nowy powód tej wrogości, ważniejszy od pozostałych: Alizończycy ziali teraz jeszcze większą nienawiścią do Estcarpu, gdyż obciążali go winą za nieudaną inwazję na Krainę Dolin.

Alizończycy rozumowali następująco: po pierwsze, nie mogli napaść na Estcarp, a na pewno by to zrobili, gdyby Rada Czarownic nie zamknęła Przełęczy Alizońskiej za pomocą naturalnych i magicznych środków. Po drugie, położony za morzem High Hallack, choć związany z Estcarpem raczej podobieństwem stylu życia i jego filozofii niż traktatem o przymierzu, prędzej czy później mógł jednak przyjść z pomocą odwiecznemu wrogowi Alizonu, a jego mieszkańcy byli dzielnymi, zręcznymi wojownikami. Jedynym rozsądnym posunięciem wydawało się więc wykluczenie Krainy Dolin z tej wojny i równoczesne znalezienie sposobu na wysadzenie tej bariery, która uniemożliwiała Alizonowi i Karstenowi zmiążdżenie Estcarpu.

Kolderczycy, tym razem w całkowitej zgodzie z jednym z ludów tego świata, połączyli swe siły z Alizończykami. Mieli udzielić poparcia w postaci swoich strasznych machin wojennych, mogących rozbić mury najsilniejszego zamku z łatwością demoralizującą przeciwnika. Uzbrojeni przez Kolderczyków Alizończycy napadli na High Hallack.

Ale Simon Tregarth z Estcarpu i Jaelithe, jego żona—czarownica — przekłętą pamięci w Alizonie, gdzie wraz z wojną wspomnienia o obojgu trwały przez wiele pokoleń — wtrącili się i zepsuli ten najwspanialszy z planów. Odnaleźli bowiem wyspiarską twierdzę Kolderczyków i zniszczyli Bramę, przez którą najeźdźcy przybyli ze swojego świata. W tym samym czasie ich sprzymierzeńcy z Sulkaru zniszczyli samo gniazdo Kolderu. Gdyby nie ta niespodziewana klęska, Kolderczycy zdołaliby utrzymać linie zaopatrzenia dla swoich machin działających w High Hallacku. Lecz pozbawione paliwa maszyny zatrzymały się i alizończycy stracili przewagę. W dodatku całkiem nieoczekiwanie, rozdrobnione dotąd klany Krainy Dolin zjednoczyły się pod wodzą jednego przywódcy i po raz pierwszy najeźdźcy z Alizonu zaczęli przegrywać bitwy. Na domiar wszystkiego Sulkarczycy, spragnieni nowych zwycięstw po zadanej Kolderowi klęsce i zachęceni przez Estcarp, popłynęli na pomoc High Hallackowi. Połączonymi siłami zdołano w końcu pokonać Alizończyków i odrzucić ich do morza.

Przegrana wojna spowodowała upadek barona Facelliana. Jego następca Mallandor nie musiał wiele się trudzić, by uczynić z Estcarpu źródło wszystkich nieszczęść Alizonu — przeszłych, obecnych i przyszłych.

Podczas opowiadania Girvana Dunnis po cichu rozdzielił i rozdał wieczorny posiłek, który spożyto prawie nie zauważając jego smaku.

— Ale co z porwanymi dziećmi? — zapytał Loric. — Co te dzieci mają wspólnego z tym wszystkim?

Siedząca po przeciwnej stronie kręgu Eirran pochylila się nieco do przodu,

zapominając o talerzu, który trzymała na kolanach. Najbardziej ze wszystkich chciała poznać odpowiedź na to pytanie, jeszcze bardziej niż jej małżonek, który, jak wiedziała, starał się nie myśleć o przyczynach porwania, lecz o ocaleniu sześciu dziewczynek.

Girvan przytknął talerz do ust i wypił rosół.

— No cóż — powiedział ocierając usta rękawem — kiedy ostatni raz byłem w Alizonie, usłyszałem jedną czy dwie pogłoski. Nie chciałem aż dotąd o nich wspominać, bo nie miałem dowodów, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

— Uważam, że powinniśmy poznać te pogłoski. Dowody są na razie nieważne. Musimy przecież ułożyć jakiś plan działania — odrzekł Yareth. — Później i tak się przekonamy, czy to tylko plotki, czy też prawda.

Reszta skinęła twierdząco głowami, Girvan zaś podniósł rękę na znak, że się zgadza.

— Dobrze więc. Wszystko sprowadza się do tego, że Mallandor rozkazał swoim uczonym znaleźć sposób na otwarcie nowej Bramy do świata Kolderczyków.

Rozległy się głośnie niedowierzające okrzyki sprzeciwu. Weldyn aż się cofnął, a Ostry Szpon ze skwirem wzniósł się w powietrze.

— Chcieliby znowu nasłać na nas demony! — zawołał Sokolnik. — Módl się, żeby to były tylko pogłoski, Girvanie! Walczyłem z nimi. Wiem, do czego są zdolni Kolderczycy.

Eirran zaczęła trząść się jak w febrze. Kiedy zrozumiała, co znaczą słowa Girvana, spróbowała się opanować. Ona też wiedziała, że Kolderczycy byli po prostu wcieleniem wszelkiego Zła na każdym, tym czy innym świecie. Jeżeli ktoś z nich ocalał... Więc to dlatego dziewczynki zostały porwane! Wprawdzie z trudem sobie wyobrażała małą Jenys jako — według Yaretha — „pisklę czarownicy”, lecz zdała sobie sprawę, iż porwane dziewczynki mogły posłużyć jako źródło Mocy, chociaż nie otrzymały jeszcze odpowiedniego wykształcenia. Możliwe, że alizońscy uczeni potrzebowali właśnie ich mocy do otworzenia tej strasznej Bramy!

Przerażenie ścisnęło ją za gardło. Jeżeli dzieci nie zginą podczas tego przerażającego eksperymentu, na pewno zostaną zabite w chwili, gdy Brama się otworzy i przestaną być potrzebne. Obym tylko nie dostała czkawki! Oby Yareth mnie nie rozpoznał! Jesteśmy jeszcze za blisko od Es i Yareth może mnie odesłać. Nie mogę teraz wrócić, nie teraz, kiedy mojej Jenys grozi coś jeszcze gorszego niż myślałam!

Coś jakby szturchnęło jej umysł! Drgnęła lekko, z trudem łykając ślinę.

Jenys!

Wydało się jej, że córka znajduje się niedaleko, o kilka stóp do niej, i ją wzywa.

Jenys?

Nie otrzymała odpowiedzi i delikatne dotknięcie na skraju jej świadomości już się nie powtórzyło. Eirran nakazała sobie spokój; musiała zebrać myśli i przypomnieć sobie wszystko. Miała już podobne doznania w Blagden i wtedy zawsze się okazywało, że córka czegoś od niej chciała lub jej potrzebowała. Czy mogło to świadczyć o kiełkującej mocy Jenys, jej talencie czarownicy? A jeśli tak, to ten przelotny kontakt oznaczał, że Jenys nadal żyje — chyba że umysł Eirran płatał jej figle. Czy mogła odpowiedzieć? Czy mogła się przekonać, że to był prawdziwy kontakt? A może, znękana niepokojem o swoje dziecko, wyobraziła to sobie? Marszcząc brwi starała się udzielić odpowiedzi na lżejsze niż piórko muśnięcie, ale nie wiedziała, jak to zrobić. Zaczynała wpadać w panikę, czuła zbliżający się napad czkawki.

O, Jenys!

Całą siłą woli stłumiła czkawkę. Zaciskając zęby nakazała sobie przestać myśleć i

czuć, usiłowała owinąć swoje uczucia zasłoną jeszcze bardziej nieprzeniknioną niż fałszywa postać podarowana jej przez Najwyższą Strażniczkę. Nie mogę się zdradzić, pomyślała. Nie mogę. Poczowała skurcz żołądka i odstawiła talerz na bok.

— Nie jesz, Kernonie? — spytał Ranał patrząc z ciekawością. — O co tym razem chodzi?

Eirran przypomniała sobie gwardzistę, którego udawała, i jego legendarny apetyt, z którego dobrodusznie podśmiewali się towarzysze. Wzruszyła ramionami.

— Nowiny o kolderskiej Bramie odebrały mi chęć do jedzenia — powiedziała.

— Tak, myśl o Kolderczykach każdemu odebrałaby apetyt — oświadczył Ranał i spojrzał z niechęcią na swój prawie pusty talerz.

— A może rano zjadłem coś, co mi zaszkodziło — ciągnęła Eirran. — Lepiej niech mój żołądek odpocznie przez jakiś czas.

IV

Jako kobieta podróżująca wśród mężczyzn w męskim przebraniu Eirran starała się trzymać od nich jak najdalej. Możliwe, że prawdziwy Kernon był samotnikiem, gdyż ogólne zainteresowanie jego wstrzemięźliwością szybko minęło i towarzysze zostawili Eirran samej sobie.

Wykonywała przypadającą na nią część obowiązków i była rada, że utartym zwyczajem każdy mężczyzna sam oporządzał swojego wierzchowca. Dawno temu Rangin przywiązał się do niej, gdyż od czasu do czasu dawała mu i łakocie, ona zaś nie wiedziała, czy zmieniający ją czar przesłaniał oczy zwierzętom tak jak ludziom. Nie chciała jednak, by Rangin wydał ją tym znanym już szturchnięciem, jakim prosił o słodki poczęstunek.

Z tego samego powodu unikała również Śmiałego Wojownika. Sokół Yaretha, chociaż nigdy nie okazywał j przywiązania żonie swego towarzysza, traktował ją mniej wrogo niż Sokolnik i Ostry Szpon traktowali wszystkich nie-Sokolników. Pozostali gwardziści przezornie trzymali się z daleka od dzikich czarno-białych ptaków, więc Eirran, unikając ich, niczym się nie wyróżniała. O dziwo, każdy z Sokolników mógł, w pewnym zakresie, zajmować się sokołem swego współplemieńca. Obcy jednakże ryzykował, za dużo sobie pozwalając.

Jedyną kobietą — i w istocie jedyną osobą poza Yarethem — którą Śmiały Wojownik naprawdę lubił, była Jenys. Od czasu kiedy dziewczynka nauczyła się poruszać niepewnymi krokami, traktowała sokoła z szacunkiem i przywiązaniem. Śmiały Wojownik zaś okazywał jej uczucie, które można by nazwać miłością; Eirran nie wiedziała, czy ptak Sokolnika był do niej zdolny. W każdym razie pozwalał się Jenys brać na ręce i od czasu do czasu, w rzadkim przypiływie uczucia, nawet przytulał do niej głowę. Eirran i Yareth żartowali, że sokół uznał Jenys za swą „ludzką ulubienicę”.

Może to się tylko tak jej wydawało, ale odniosła obecnie wrażenie, iż Śmiały Wojownik odzyskał nieco z młodzieńczego wigoru, którego nie okazywał ostatnimi czasy. Może nawet miał świadomość, że jada na ratunek jego ukochanej Jenys. To głupia myśl, powiedziała sobie. Sokół Yaretha to stworzenie niezwykle, jest jednakże ptakiem i ma ograniczony ptasi umysł.

Lecz najtrudniej jej było znieść sposób, w jaki Weldyn traktował Yaretha. Widać było, że „słabość”, jaką okazał ten ostatni wiążąc się z jedną kobietą i żyjąc z nią, napełniła widocznie gorczą serce Weldyna.

— No, chodź! — powtarzał wciąż. — Pokaż nam, jak rozpala się ognisko, przyprawia jedzenie, szyje śpiwór. Ta twoja, hm, żona musiała ci pokazać bardziej wykwintne sposoby niż nasze. Czy czujesz się samotny? Dziwię się, że nie zabrałeś swojej, hm, żony z nami.

Yareth zaś tylko spoglądał na niego bursztynowobrazowymi oczami i nigdy nawet słówka nie wypowiedział w swojej obronie, w obronie Eirran czy swoich czynów. Weldyn przestawał się z nim drażnić i przez jakiś czas okazywał milczącą pogardę, po czym zaczynało się wszystko od nowa przy następnej okazji. Pozostali mężczyźni obchodzili wtedy obu Sokolników z daleka.

Yareth pewnie czuje do mnie żal, gdyż inaczej na pewno nie pozwoliłby tak sobą poniewierać, myślała z rozpaczą Eirran. Wciąż jest obrażony, że się z nim nie pożegnałam. Nie mogę go za to potępiać. Jest dumny, a ja przyniosłam mu wstyd. Czyż nie dość, że biorąc żonę rzucił wyzwanie całej tradycji swojego ludu? Czy musiałam pokazać całemu światu, jaka to jestem słaba, uciekając bez pożegnania, i

nawet go nie odprowadziłam, kiedy wyruszył na ratunek naszemu dziecku?

Czujnie obserwowała księżyc, ale nie miała miesiączki. Jej brak odczuła raczej jako ulgę niż powód do niepokoju, aczkolwiek właśnie niepokój mógł to spowodować. Dobrze wiedziała, w jaki sposób silne uczucia mogą wpłynąć na wewnętrzne mechanizmy kobiecego ciała. Mogło to też być związane ze zmianą postaci, której się poddała. Zachowując postać mężczyzny nie mogłaby wyjaśnić czegoś takiego. Zapewne Strażniczka przewidziała to i w swej dobroci powstrzymała comiesięczną dolegliwość.

Podążali na północ w coraz wolniejszym tempie, naśladowując w tym porywaczy. Alizończycy oddalili się pośpiesznie od miejsca zasadzki i widząc, iż nikt ich nie ściga, zrezygnowali z szybkiej jazdy czując się bezpiecznie. Podróżowali teraz nie jak banda rozbójników uciekających przed niebezpieczeństwem, ale jak grupa wędrowców wracających do domu szybko, acz bez zbytniego pośpiechu. Sokoły jednak Yaretha i Weldyna w regularnych odstępach czasu szybowały w górę i dwukrotnie musieli się zatrzymać i ukryć, gdy któryś z porywaczy zawrócił i cofnął się może o dwie mile, sprawdzając, czy nikt ich nie ściga.

— Trzeba przyznać, że są przebiegli — powiedział Girvan. — Będziemy musieli niezwykle ostrożnie przejść przez Alizońską Przełęcz. Tam są magiczni strażnicy i nie wiem co jeszcze, ale wszystko jest tak urządzone, że bezwiednie się wchodzi na bagna Toru.

Eirran w północnych krainach nie zetknęła się z niczym podobnym. Ale w Karstanie czy później w Blagden słyszała o przerażających Moczarach Toru i o tym, że ludzie, którzy tam się zapuścili, nigdy już nie wrócili.

— A przecież przekraczałeś Alizońską Przełęcz wiele razy — wtrącił Yareth. — Więc tam musi gdzieś być jakaś ścieżka. Czy nie znasz bezpiecznego przejścia?

— Nie. Ta ścieżka wciąż się zmienia i przesuwana. To się dzieje w nieregularnych odstępach czasu. Czasem mija tydzień, czasem dzień albo sześć miesięcy, nie wiadomo. Tak jak mówiłem, byłem na północy cztery miesiące temu. Magiczni strażnicy mogli przesunąć się może ze dwanaście razy od tego czasu. Możemy wszakże być pewni, że Psy z Alizonu przeszły ścieżką tak blisko czasu zmiany jak to tylko możliwe i że wrócą tą samą drogą. Wystarczy, że pojedziemy ich tropem. No i nie możemy dać się schwytać ani im, ani tym zaklętym wartownikom.

— W takim razie dlaczego nie moglibyśmy pojechać prosto przez Góry Alizońskie? — zapytał Yareth. Przyjrzał się badawczo widocznemu w oddali niewysokiemu pasmu wzgórz. Na wschodzie strzelały w niebo rumieniące się purpurą góry. To od nich odłamały się podczas Wielkiego Poruszenia i legły w poprzek niziny Góry Alizońskie. W ten sposób powstała zaporą, zda się tonąca w bagnach. Szczyty zaś tych wzgórz chwilami nikły w gęstych chmurach. W porównaniu z macierzystymi wysokimi turniami Góry Alizońskie nie stanowiły żadnej przeszkody. — Wyglądają na łatwe do przebycia.

— Tak, nawet dla zwykłego człowieka, nie mówiąc już o Sokolniku — odrzekł Weldyn. W jego głosie zabrzmiała chełpliwa nuta. — Prawdopodobnie jesteś za młody, by to pamiętać, ale nasze Gniazdo znajdowało się wysoko w prawdziwych górach, te tutaj przed nami w porównaniu z naszymi Górami Granicznymi są jak kopce mrówek. Muszę ci jednak powiedzieć, że kryją wiele niebezpieczeństw i dlatego nawet Psy z Alizonu wolą podróżować dłuższą drogą. Zapewne byłeś ostatnio zbyt zajęty, by o tym słyszeć.

Yareth spojrział na swojego współplemieńca obojętnie, po czym odwrócił się bez słowa.

— Czy można w jakiś sposób się zorientować, czy się zbliżasz do jednego z tych magicznych strażników? — odezwał się pośpiesznie Ranał, chcąc przerwać

niebezpieczną ciszę.

— Nie, dopiero wtedy, kiedy się już tam jest i wpada się w pułapkę. Otaczają cię duszące kłęby gęstego dymu, atakują widmowe armie, rzucają się bestie o zębach długich jak twoja stopa. O tak, czarownice przygotowały podróżnym przykre niespodzianki! Najgorzej wtedy, gdy wydaje się, że na wprost są góry, które należy ominąć, i że po to trzeba skierować się w stronę bagien. Wtedy sama ziemia tam prowadzi. Błądzi się bez końca i nigdy nie znajduje się drogi. No, chyba że zna się każdą skałę tak dobrze, jakby była twoim kuzynem, i umie się odróżniać prawdę od fałszu. — Girvan pokiwał głową. — Nie wiem, czy cokolwiek z tego jest prawdziwe, nawet ziemia pod naszymi nogami. Zresztą to nieważne. Liczy się tylko to, że Alizończycy zwykle trzymają się na dystans i nie mogą atakować Estcarpu.

— Tak było do niedawna — uzupełnił Ranal. — No cóż, oto mamy okropności w górach, bagna i moczary po obu stronach, a magię pośrodku. Myślę, że na dłuższą metę magia jest najmniej niebezpieczna.

— Nie zapominaj o Psach z Alizonu — wtrącił Dunnis. — Będą czekać na nas, jeśli przeżyjemy tę drogę.

— Nie zapominam o niczym. Ale założę się, że uznali, iż nikt ich nie ściga. Nie będą się oglądali za siebie.

Eirran nie mogła się powstrzymać, by nie dodać:

— Na pewno... — Głos jej się załamał. — Na pewno młodziutkie czarownice mogą wyczuć, czy zbliżają się do czegoś magicznego. — Rozejrzała się dookoła. Hirl i Ranal patrzyli na nią. Poprawiła się: — Chciałem powiedzieć, że może właśnie dlatego są takie ważne dla Alizończyków, czyż nie tak? Dlatego że mają magiczny talent?

— To ma sens... — rzekł po namyśle Dunnis. Nawet ten pogodny gwardzista sposepniał na myśl o niebezpieczeństwach grożących zarówno porywaczom, jak i dzieciom, które chcieli ocalić. — Wiemy, że Psy nie są głupcami.

— Tak — potwierdził Girvan. — Pamiętajcie jednak, że te dzieci porwano nie po to, by bezpiecznie przeprowadziły ich przez Alizońską Przełęcz. Jeśli się nie mylę, mają gorsze zamiary.

Eirran nie potrzebowała tego przypomnienia. Jenys, pomyślała, gdybym tylko mogła się z tobą skontaktować, umysł z umysłem. Gdybyś znów spróbowała wezwać mnie w myśli. Och, Yarecie, gdybyśmy tylko mogli znaleźć pociechę w swoich ramionach...

Spojrzała na męża. Spoglądał na północ, a mięśnie jego szczęk poruszały się jak zawsze, gdy był czymś bardzo rozgniewany. Zadała sobie pytanie, czy bardziej gniewał się na czarownice — wiemy, jak je nazywał — na porywaczy, czy na nią.

Rozdział szósty

I

Myszka już dawno przestała płakać. Po prostu zabrakła jej łez, innym dziewczynkom również. Raz, wstrząśnięta, zawołała mamę. Ale mama była w Blagden i pewnie wciąż się zastanawiała, dokąd pojechała jej córka, i nie wiedziała, co się z nią stało. Jenys nie zawołała o pomoc po raz drugi.

Dzień za dniem młodziutkie czarownice jechały skulona na siodłach przed białowłosymi mężczyznami, którzy przed tą wyprawą ciągnęli losy i przegrali. Byli Psami z Alizonu] położonej na pomoc od Estcarpu nieprzyjacielskiej krainy! Myszka wyraźnie odbierała złość mężczyzny, który pilnował jej za dnia. Czuła się równie ważna jak worek zboża — jeszcze mniej, gdyż zboże można było zjeść. Zastanawia, się, dlaczego sześciu mężczyzn zadawało sobie tyle trudu z powodu sześciu dziewczynek.

Nawet gdyby w jakiś sposób zdołały uciec, nie uciekłyby daleko na piechotę. Konie z północy były za duże, aby mogły nimi pokierować. Zresztą i tak wykonywały tylko rozkazy swoich panów. W dodatku kończyły się zapasy jedzenia i wszystkie dziewczynki były głodne, bardzo głodne. Zaczynały słabnąć. Pozostawione samym sobie nie przetrwałyby nawet jednego dnia.

Teraz, kiedy Alizończycy znaleźli się poza zasięgiem możliwego pościgu, zwolnili nieco, by dać wytchnienie wierzchowcom. Niemniej jednak Esguir, ich dowódca, wysyłał co jakiś czas zwiadowców, by zbadali szlak za nimi i upewnili się, że nikt nie podąża z tyłu. Ani razu nikogo i niczego nie zauważono, i Myszka coraz bardziej upadała na duchu, tracąc nadzieję na ratunek, i już nie umiała optymistycznie patrzeć na świat. Pomimo tych przeciwności dziewczynki jednak miały właściwą sobie odporność i zaczynały odzyskiwać równowagę po szoku, jakim była dla nich śmierć ich opiekunki i samo porwanie, nawet Myszka. Za wspólną milczącą zgodą nigdy o tym nie rozmawiały. Kto wie, czy ich opór nie zirytowałby porywaczy i czy ich przywódca również by ich nie zabił. W nocy tuliły się spokojnie do siebie, rozmawiały szeptem, jeśli w ogóle się odzywały.

Czasami, kiedy im na to pozwalano, rzucały się na poszukiwanie jadalnych korzeni. Zjadały je na surowo tuż przed snem. Lepiej spały, jeżeli miały dość szczęścia i znalazły coś świeżego do jedzenia, uzupełniając w ten sposób zestarzały prowiant, który dawali im Alizończycy. Ale bardzo rzadko im się to udawało. Kiedy nic nie znalazły, później, w nocy jeszcze bliżej tuliły się do siebie.

— Dokąd jedziemy? — Seplenia spojrzała błagalnie na Gwiazdkę szeroko otwartymi, lśniącymi od łez oczami, jakby myślała, że jeśli będzie powtarzała to pytanie dostatecznie często, Gwiazdka w jakiś sposób wyczaruje odpowiedź.

— Na północ — rzekła. — Jedziemy na północ. — Gwiazdka odpowiedziała po raz pierwszy na to pytanie.

— Skąd wiesz? — spytała szeptem Świerszczyk. Starając się nie poddawać uczuciu klęski, Gwiazdka też zaciskała silnie usta jak jej towarzyszki. Teraz jej twarz złagodniała.

— Przypomnij sobie, jakie nadano mi imię. Znam gwiazdy — wyjaśniła. — Obserwuję je i wiem, że podróżujemy na północ. Czasami zbaczamy nieco w jedną, lub w drugą stronę. Ale zawsze skręcamy znów na północ.

— Myślałam, że otrzymałaś to imię dlatego, że masz taki jasny umysł! — Myszka

zakryła usta dłonią w obawie, że mówi za głośno.

— Ja też tak myślałam — szepnęła Ptaszynka. — Jesteś najinteligentniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam, oczywiście poza moimi rodzicami. I Najwyższą Strażniczką — dodała dla sprawiedliwości.

— Dziękuję ci — odrzekła Gwiazdka. — Ale na co nam się przyda wiedza o tym, dokąd się udajemy, jeżeli nic nie możemy zrobić?

Płomyk dotknęła ręki Gwiazdki.

— Jestem pewna, że coś wymyślimy, jak przyjdzie odpowiednia chwila — powiedziała z właściwą sobie stanowczością.

— Możliwe.

Gwiazdka usiadła, narzuciła na ramiona cienki koc i zamknęła oczy. Nagle Myszka usłyszała jej myśli. Zdarzyło się to po raz pierwszy z kimś innym poza mamą. Słyszała je tak wyraźnie, jakby w jakiś sposób wślizgnęła się do głowy Gwiazdki i stała się jedną z jej myśli. Dziewczynki widziały w Gwiazdce przywódczynię i szukały u niej porady i wsparcia, a to bardzo jej ciążyło. Czuła się bardzo mała i samotna, niezdolna udźwignąć taki ciężar. Myszka ułożyła się obok Gwiazdki, przytuliła do niej i na obie narzuciła koc. Dziewczynki szybko się nauczyły, że znacznie lepiej spać razem blisko siebie, noce przecież tchnęły takim chłodem.

— Pomogę ci, Gwiazdko — powiedziała cichutko. — Wszystkie ci pomożemy. Nie martw się. Nie będziesz musiała robić tego sama.

Gwiazdka tylko westchnęła w odpowiedzi. Może już spała. W pobliżu inne dziewczynki również ułożyły się parami do snu jak Gwiazdka i Myszka. Ptaszynka i Płomyk już zasnęły, ale Seplenisia i Świerszczyk kręciły się i narzekały: jakiś kamień wpijał się w plecy to jednej, to drugiej. W końcu Świerszczyk wstała i przeszukała teren dookoła, aż znalazła dokuczliwy okruch. Cisnęła go daleko, uważając, by nie trafić w białowłosych strażników.

— No, no, uspokój się już, dzieciaku — powiedziała z niesmakiem do Seplenisi. — Dobrze, że jesteśmy razem i możemy się tobą zajmować.

Seplenisia nic nie odpowiedziała, ale Myszka usłyszała, jak pociąga nosem. Najbardziej niepokoiła się o Seplenisię i czuła, że pozostałym nieobcy jest podobny lęk.

Och, dlaczego znajdują się w mocy tych strasznych białowłosych mężczyzn, a nie jak powinny, w bezpiecznym Przybytku Mądrości ucząc się swojej sztuki? Dlaczego Myszka nie poświęciła więcej uwagi naukom Pszczoły o magii w drodze do miasta Es?

Jadą na północ, powiedziała Gwiazdka. Myszka wiedziała, że na pomocy było jeszcze więcej białowłosych ludzi, że zdążali do ich ojczyzny, Alizonu. Miała nadzieję, iż to jeszcze daleko, że dotrą tam dopiero za wiele dni. Potrzebowała czasu, żeby dowiedzieć się, dlaczego porwano ją i jej siostry, i co zamierzano z nimi zrobić po dotarciu na miejsce.

II

Zbliżając się do podnóża niskich gór zagradzających im drogę, Alizończycy zwolnili tempo jazdy. Żółto-brązowa dotąd ziemia przybrała czerwono-brązową barwę zakrzepłej krwi. Wydawało się, że to jakieś gnijące przez stulecia rośliny — a może coś jeszcze gorszego — zostały worane w grunt, aczkolwiek pług nigdy nie tknął tu twardej jak kamień ziemi. Wprawdzie znowu pojawiła się szarozielona roślinność, ale wyglądała jakoś niezdrowo i wcale nie przypominała tej z okolic Es.

Jest nieczysta, pomyślała Myszka. Ten kraj jest chory. Nie podoba mi się tu.

Z oddali dobiegł czyjś jękliwy okrzyk. Chude białe psy podniosły pyski i zawyły wyzywająco w odpowiedzi. Alizończycy pośpiesznie wzięli je na smycze. Psy skoczyły, naprężając rzemienie, próbując się wyrwać i gonić to coś, co się do nich odezwało.

W powietrzu czuć było wilgoć, ale Myszka wiedziała instynktownie, że nie był to zapach morza, ale czegoś znacznie groźniejszego. W jakiś dziwny sposób ta kraina pachniała chorobą. Kiedy rano wstawali i ruszali w drogę, wszędzie zalegała gęsta mgła, która w okolicach południa niechętnie się rozpraszała, jakby była obdarzona rozumem i nie lubiła intruzów. Teraz zaś przelała się przez szczyty gór i zalała ziemię niczym bezgłośnie szare fale. Wirowała wokół końskich kopyt i jechali obecnie jeszcze wolniej. Sprawiało to wrażenie, że konie brodzą w mętnej wodzie, po omacku szukając drogi. Dziwna mgła podniosła się do końskich kolan, potem do grzbietów, aż otuliła wszystko wciąż gęstniejącym brudnoszarym kocem.

Alizończycy jechali teraz stępą, chociaż droga była tu lepsza niż poprzednio. Kilku doborowych żołnierzy Esguira zsiadło z koni i ruszyło do przodu z wbitymi w ziemię oczami, jakby czegoś szukali. W południe podróżni zatrzymali się, żeby odpocząć i przegryźć coś na chybcika.

— Gdzie jesteście, Gwiazdko? — zapytała Ptaszynka. Zadrżała. Dzień był chłodny i od stwardniałego chleba z kawałkiem niesmacznego sera nie zrobiło im się ciepłej.

Gwiazdka odgryzła kawałek swojej porcji, potem owinęła go w fałdę opończy i odłożyła na bok. Wszystkie nauczyły się tak robić: ciepło ich ciała w jakiś sposób zmiękczało twarde, wyschnięty chleb, tak że mogły go żuć i nie musiały rozbijać kamieniem na okruchy.

— Myślę, że jesteśmy w pobliżu Moczarów Toru — powiedziała z pełnymi ustami Gwiazdka. Starła z sera plamę pleśni i ugryzła kawałek.

— Och, to złe miejfcce, prawda? — zauważyła cichym, monotonnym głosem Seplenisia.

— Raczej niebezpieczne niż złe — odparła Gwiazdka. — Kiedy podróżowaliśmy z rodzicami wozem w sezonie handlowym, zawsze go unikaliśmy. Jeśli nawet docieraliśmy aż tak daleko na północ, woleliśmy mieć do czynienia z wieśniakami na podgórzu.

Myszka przełknęła następny kęs. Chleb i ser smakowały jak popiół. Serce jej się ścisnęło, gdy przypomniała sobie, jaki smaczny był ser, który wyrabiała mama. Może już nigdy nie zobaczy mamy, może nigdy nie skosztuje znów smacznego jedzenia... Nie! Nie wolno sobie pozwalać na takie myśli. Wprawdzie jedzenie jest niesmaczne, ale tylko nim można zaspokoić głód, więc musi je zjeść. Musi zachować siły, żeby przeżyć. Zajęte jedzeniem dziewczynki nie zauważyły zbliżającego się Esguira w asyście kilku żołnierzy.

— Potrzebuję usług którejs z was, małe wiedźmy — powiedział szorstko. — Tej tu. Weźcie ją.

Świerszczyk cofnęła się przed wyciągniętym palcem Esguira i jego żołnierzami. Zjedzony do połowy suchar i kawałek sera wypadły z ręki na ziemię, kiedy złapali ją za ramiona i poprowadzili w ślad za Esguirem.

— Co oni z nią zrobią? — zapytała ze strachem Seplenisia. Jej szeroko otwarte oczy wydawały się niezwykle duże w ściągniętej głodem twarzyczce.

— Nic — odrzekła Płomyk. Podniosła z ziemi chleb i ser i otarła je z kurzu. — Nic, czemu mogłybyśmy zaradzić — poprawiła się.

Seplenisia znów zaczęła pociągać nosem.

— Och, przestań — powiedziała z irytacją Ptaszynka. — Gdyby chcieli ją zabić, zrobiliby to już dawno. Tak samo jak nas.

— Ona ma rację. Było nie było, musimy zachować spokój — przytaknęła Gwiazdka.

Do dziewczynek podeszło kilku Alizończyków.

— Odjeżdżamy już — powiedział jeden. Dziewczynki w milczeniu pośpiesznie poutykały resztki jedzenia w opończach. Już dawno nauczyły się bez sprzeciwu robić, co im kazano, i to szybko. Płomyk ostrożnie włożyła chleb i ser Świerszczyka do oddzielnej kieszeni po wewnętrznej stronie płaszcza. Myszka nie mogła zapomnieć o kawałku suchara z serem w kieszeni opończy Płomyka. Nie zostawiłam sobie nic na później, pomyślała. Jej płaszcz jest już podniszczony. Mój również. Kiedy ta męczarnia się skończy?

Nagle krzyk dziecka przeszył zasłonę mgły. Stały jak wryte, czując, że serce podchodzi im do gardła. Strażnicy szturchańcami popchnęli je naprzód. Słyły potykając się w gęstej mgle, ledwie dostrzegając plecy mężczyzn, za którymi kroczyły.

— Skręć na lewo — powiedział strażnik Ptaszynki. Prowadzili dziewczynki po śladach towarzyszy idących tuż za Esguirem i Świerszczykiem. — Uważaj, jeśli ci życie mile, i idź po tropach tego, kto idzie przed tobą. — Obejrzał się na pozostałych żołnierzy i uśmiechnął szeroko. — Miejmy nadzieję, że ta mała wiedźma dobrze się spisze i odnajdzie miejsce, w które przesunęli się magiczni strażnicy. Słyszałem, że baron Esguir powiedział, iż jeśli będzie z niej zadowolony, dostaniecie dziś na kolację gorącą zupę. Jeżeli zawiedzie... — zawiesił głos i przesunął palcem po gardle w tak wymowny sposób, że Myszka się wzdrygnęła — wtedy koniec z nami wszystkimi.

Trzęsąc się cała ze strachu, Myszka bardzo starała się iść śladami mężczyzny kroczącego tuż przed nią. Daremnie próbowała odgarnąć mgłę. Przypominało to zamiatanie pierza. Mgła była namacalna, ale zaraz wypełniała miejsce, które dziewczynka zdołała oczyścić. Nie odważyła się patrzeć na boki w obawie przed tym, co mogło jej się ukazać. Wyczuła czarne cienie wijące się i tańczące tuż poza zasięgiem jej wzroku. A może one ją naśladowały?

Przeraźliwe zawrodozenie jak krzyk potępionej duszy rozdarło mgłę i natychmiast odpowiedziało mu zajadłe ujadanie psów. Mała dziewczynka idąca na czele kolumny znów krzyknęła.

Jakie okropności musiała przeżywać Świerszczyk, idąc tam zupełnie sama, jako żywa tarcza! Myszka była przerażona, wiedziała jednak, że nie sposób porównać jej uczucia z wrażeniami Świerszczyka. Nie wiedząc, jak się to robi, starała się przestać Świerszczykowi tyle ze swej siły, ile mogła. Miała nadzieję, że pozostałe dziewczynki robiły to samo.

Koncentrując się na tym, dokąd szli, i patrząc tylko w stronę, w którą miała iść. Myszka uświadomiła sobie, że już nie wędrują na wprost przed siebie. Za każdym razem, kiedy skręcali, robili to pod ostrzejszym kątem niż poprzednio. Pomyślała, że chyba zbliżają się do bagna. Wiał zimny, wilgotny wiatr. Zadrżała i ciałniej okręciła się opończą. Wiatr, choć silny, wcale nie rozpraszał mgły.

Słyszając z przodu następny głośny krzyk, podniosła oczy, choć nadal nic nie można było zobaczyć.

— Tedy! — zawołał gniewnie jakiś mężczyzna, Esguir, sądząc po głosie.

Świerszczyk krzyknęła znów, ale tym razem w jej głosie brzmiała irytacja, a nie strach czy ból.

— Nie! — jej cienki głos przeciął mgłę jak nóż. — Puść mnie! Musimy skrócić w prawo!

— Tam są tylko skały. Droga biegnie tedy.

— Ta droga prowadzi prosto na bagna. Skręć, mówię ci, albo idź sobie dalej.

Wtedy schwytają cię Torańczycy albo jeszcze coś gorszego.

Zapadło milczenie, gdy dowódca Alizończyków zastanawiał się nad słowami Świerszczyka. Małeńka czarownica mówiła bardzo głośno i Myszka zadała sobie w duchu pytanie, czy to znaczy, że jej wysiłki na coś się przydały i Świerszczyk ma więcej siły? Miała nadzieję, że Alizończyk nie zrobi jakiegokolwiek krzywdy Świerszczykowi.

— Dobrze — powiedział w końcu Esguir. — Skręcimy w prawo. Wszyscy! Patrzcie uważnie! Ta mała wiedźma prowadzi nas w bok od drogi, więc uważajcie, gdzie stawiacie stopy!

Szereg mężczyzn, dzieci i koni, ruszył ostrożnie w dalszą drogę. Myszka uśmiechnęła się do siebie słysząc stłumione okrzyki idących z przodu Alizończyków. Skały rozplynęły się w nicłość, gdy się do nich zbliżyli, i dobiegł ją stukot butów o kamienną nawierzchnię prawdziwej drogi. Mgła powoli zrzędła i już wkrótce Myszka mogła odróżnić kontury poprzedzających ją mężczyzn, a potem Esguira i Świerszczyka na czele kolumny.

— A niech mnie licho, jeśli nie miałaś racji — powiedział Esguir. — To była jeszcze jedna z tych waszych przeklętych pułapek. Dobrze, że nawet młode wiedźmy mogą wywęszyć własną robotę. W porządku, wracaj teraz do swoich. Stąd sami znajdziemy drogę. — Podniósł głos. — Wsiadać na konie! Chcę, żeby o zmroku przynajmniej mila dzieliła nas od tego przeklętego miejsca!

Alizończycy pośpiesznie wykonali jego rozkaz. Jeden z nich pochwycił Świerszczyk i posadził ją na kulbace, zanim zdołała dotrzeć do przyjaciółek. Płomyk z trudem powstrzymała okrzyk.

— Proszę — powiedziała do mężczyzny, z którym dzieliła siodło — czy mogę dać jej resztę jedzenia? Nie miała czasu, żeby coś zjeść, musi być bardzo głodna.

— Dobrze — odparł Alizończyk. — Chyba sobie na to zasłużyła.

Popędził konia i zrównał się z wierzchowcem swego towarzysza. Płomyk podała chleb i ser Świerszczykowi. Dziewczynka choć wyglądała na zbyt wyczerpaną, by chciało jej się jeść, rozwinęła zawiniątko i zaczęła ssać nieapetyczny suchar. Kiedy zmiękł i mogła go już przełknąć, jej twarzyczka zarumieniła się lekko, tracąc zielonkawą barwę.

Myszka nagle zauważyła, że jedzie w pobliżu Seplenisi. Oczy młodziutkiej czarownicy błyszczały w sposób, który Myszka знаła i którego się obawiała.

— O co chodzi, Seplenisiu? — zapytała.

— Ja... ja fię wftydżę — odparła tamta. Przetarła oczy. — Kiedy oni zabrali Fwierfczyk, miałam nadzieję, że Płomyk podzieli fię z nami chlebem i ferem i że będziemy mogły go zjeść.

Myszka przypomniała sobie swe własne odczucia w owej chwili.

— Nie musisz się wstydić — powiedziała w końcu. — Po prostu jesteś głodna. Wszystkie jesteśmy głodne.

Tego wieczoru baron Esguir przysłał dziewczynkom gorący posiłek. Myszka była przekonana, że ta obietnica wypadła mu z pamięci. Zupa była wodnista, lecz jeden z żołnierzy pilnujących ich owej nocy dorzucił do niej nieco mięsa, kaszy i zagotował

nad ogniskiem, aż zgęstniała. Myszka pomyślała, że nigdy w życiu nie jadła nic tak wspaniałego i sycącego. Uśmiechnęła się do Alizończyka, który był dla nich taki dobry. W jakiś sposób jego niezwykle jasne włosy i zielone oczy nie robiły wstrętnego wrażenia jak wygląd jego towarzyszy.

— Chciałem, byś wiedziała, że nie pochwalam głodzenia dzieci — powiedział mrukliwie. — Niewiele mogę zrobić, ale będę się wami opiekował, kiedy będę mógł. Nazywam się Talgar.

— Ja jestem Myszka.

Alizończyk z powagą ujął jej rączkę i pocałował.

— Jestem zaszczycony, damo Myszeko. Dziewczynka zachichotała. Nie mogła się powstrzymać.

Po raz pierwszy w życiu ktoś pocałował ją w rękę i nazwał ją damą.

— Jedzcie — powiedział Talgar do pozostałych dzieci. — Będziecie dobrze spały, bo po raz pierwszy od dawna macie pełne brzuszki. Będziecie potrzebowały energii. Jutro popuścimy koniom wodzy. Jesteśmy prawie w domu.

— W domu — powtórzyła cicho Myszka. Jej dobry nastrój zniknął w jednej chwili. Jeszcze nigdy nie czuła się tak daleko od domu.

— Odwagi, dziecko. Powiedziałem, że będę się wami opiekował, na ile będzie to możliwe.

Pierwszy raz od dnia napadu Myszcze błysnęła nadzieja. Przecież musi być więcej takich ludzi jak Talgar, nawet w Alizonie.

III

Pozostawiwszy za sobą posępne i mgliste Moczary Toru, przez następny dzień jechali pofałdowaną, smaganą wiatrem równiną. Tak jak powiedział Talgar, podróżowali teraz bardzo szybko. Nie mogli bowiem powstrzymać koni, które wyczuły bliskość domu i sprawiały wrażenie uszczęśliwionych powrotem. Psy zaś, puszczane z uwięzi, jak oszalałe biegały wokół wierzchowców, z przeraźliwym ujadaniem i wściekłym warczeniem wszczynając bójki.

Równina była prawie goła, od czasu do czasu pojawiały się jednak między wzgórzami kępy drzew o szarych pniach. Na wierzchołkach drzew delikatne jak koronka listowie było poszarpane przez wichury i tylko strzępy lgnęły do nagich gałązek.

Wreszcie zobaczyli domy. Rzędy ciernistych krzewów rozciągały się po obu stronach drogi, okalając pola i łąki. Na każdym polu roilo się od brudnoszarych owiec, a na rozległych łągach — od koni.

Talgar łatwo nakłonił do zamiany swego towarzysza, który tego dnia miał zajmować się dziewczynką, i teraz oto jechał z Myszką na siodle.

— To wszystko należy do naszych potężnych baronów — powiedział. — Władają całą ziemią i tylko wydzierżawiają gospodarstwa zwykłym ludziom. Mój ojciec ma gospodarstwo podobne do tych, ale leży ono z drugiej strony miasta Alizon.

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego do tych krzaków — rzekła Myszka wyciągając rękę. Kiedy się do nich zbliżyła, zauważyła, że wiele rodzajów roślin tworzyło te kolczaste zapory. Bluszcz i winogrona, które właśnie wypuściły pączki, niemal ginęły wśród cierni. To tu, to tam rozpoznawała swojskie dzikie kwiaty i zielsko. Ta gęsta płatanina nie wyrastała bezpośrednio z ziemi, ale zdawała się strzelać z rzędów żółtobrazowych skał na poły ukrytych pod gęstwiną.

— Żywopłoty? — spytał Alizończyk. — One są bardzo stare. Istniały już, kiedy pierwsi Alizończycy przybyli do tej krainy. — Uśmiechnął się. — Baronowie próbowali je unicestwić, lecz żywopłoty ich pokonały. Większość baronów nienawidzi ich, mówią, że to wyrzutki roślinnego świata. Ale mnie nie przeszkadzają. — Jego twarz stężała. — Przeszkadzają baronom w tratowaniu naszych obsianych pól...

Myszka milczała, pozwalając mu mówić. Opowiedział jej o szlachcicach polujących konno ze strasznymi psami o wężowych głowach, nie zważających, że niszczą zbiory biedaków. Przydarzyło się to ojcowi Talgara. Kawalkada rozhukanych jeźdźców ze śmiechem zniszczyła plony, którymi miał zapłacić czynsz jednemu z nich. Najstarszy syn Talgara, chcąc uchronić ojca przed karą grożącą dzierżawcom nie wywiązującym się z umowy, wstąpił na służbę do barona Esguira, potężnego arystokraty, który był Władcą Psów Alizonu.

— Zapłata jest na tyle wysoka, iż mogę posyłać ojcu pieniądze, żeby mógł nadal płacić czynsz — powiedział Talgar. — Aż do tej pory zawsze pełniłem straż na zamku i życie nie było takie złe. Przynajmniej przez większość czasu. Ale to, co musieliśmy zrobić... — Prychnął z niesmakiem i wykonał gest mający oznaczać zasadzkę i porwanie. — To nie było dobre.

Odwróciła się lekko, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie, który ją wiozł na swoim koniu. Tak jak inni nosił niebieskozielony mundur z herbem — głową warczącego psa — na piersi i wysokie buty odstające górą od nogi. Myszka żałowała, że nie poznała tego prawie-przyjaciela znacznie wcześniej. Może mogłyby uciec przy jego pomocy, odnaleźć drogę do Es? Najwyższa Strażniczka na pewno ciepło powitałaby człowieka,

który ocalił maleńkie czarownice, może nawet znalazłaby dla niego miejsce wśród estcarpiańskich gwardzistów...

Nienawidziła myśli o końcu podróży bardziej niż kiedykolwiek. Talgar miał rację mówiąc, że wkrótce będą w domu — w jego domu. Po kilku dniach wjechali w bramę miasta Alizon.

Zamek i otaczające go wysokie mury zbudowane zostały z twardego żółtobrazowego kamienia, który wszędzie przebijał się przez cienką warstwę żyznej ziemi, najlepszej, jaką można było znaleźć w tej części świata. Wiele wieków temu, podczas jakiegoś niewyobrażalnego kataklizmu, wielka kamienna góra wybrzuszyła się na równinie. Rzeka Alizon musiała wtedy zmienić koryto i płynęła teraz u podnóża skały, tworząc wodną zapórę dla aroganckiego, potężnego zamku, który rozsiadł się na szczycie jakby mówił: jestem tu i nie pozwolę ci przejść.

Samo miasto rozpościerało się na równinie, gdyż już dawno opuściło pierwotne mury. Mury te stanowiły zewnętrzny pas fortyfikacji Alizonu i nadal pełniły swoje zadanie. Uzbrojeni wartownicy przemierzali blanki i wieże, a olbrzymie wrota składające się z pięciu warstw grubych tarcic wyglądały na nowe i mocne.

Dobrze się stało, że porwane dziewczynki wyplakały wszystkie łzy podczas podróży. Myszka wiedziała, że uchybiłoby to ich godności, gdyby wjechały płaczące do wrogiego miasta. Zaszło jej w gardle i oczy także miała suche, gdy przejeżdżali przez ogromną główną bramę Alizonu. Podniósłszy wzrok dostrzegła przelotnie ostre zęby kraty tylko czekającej, by zamknąć niedoszłych najeźdźców przed bramą wewnętrzną i umożliwić obrońcom ich niespieszne wybicie. Wzdrygnęła się.

Jechali krętymi uliczkami, aż dotarli do stromego podjazdu. Przebyli drewniany most zwodzony, przejechali pod wieżą bramną, później zaś przez drugi most prowadzący do jeszcze potężniejszego barbakanu i bramy, a stamtąd na wewnętrzny dziedziniec zamku Alizon. Serce Myszkę zamarło na samą myśl o żołnierzach próbujących atakować takie straszne miejsce.

Baron Esguir i jego drużynnicy zsiadli z koni. Żołnierze wiozący młodziutkie czarownice postawili je na zimnym bruku.

— Możecie odejść — powiedział szorstko Esguir. — Wracajcie do waszych zwykłych zajęć.

Władca Psów Alizonu szedł szybko, nie oglądając się za siebie, pewny, że żołnierze ciągną za nim porwane dzieci. Myszka spojrzała przez ramię, chcąc po raz ostatni dojrzeć Talgara, ale ten zniknął jej z oczu. Zarumieniony i dumny z siebie Esguir skierował się prosto do dużego i wysokiego | budynku i wbiegł na zewnętrzne schody ze swobodą człowieka, który doskonale zna to otoczenie. Na szczycie schodów znajdowały się drzwi prowadzące do korytarza na trzecim piętrze. Myszka dostrzegła przelotnie jeszcze więcej drzwi, komnat, białowłosych mężczyzn i kilka bladych kobiet o prostych włosach, w długich, powłóczystych sukniach. Potem otworzyły się ostatnie drzwi i znaleźli się w komnacie, przypominającej pokój Najwyższej Strażniczki, lecz bogato zdobionej licznymi jaskrawymi malowidłami na ścianach i na suficie. Na wykładanym aksamitnym poduszkami fotelu siedział białowłosy mężczyzna w złotym diademie z zielonym kamieniem. Oparł się łokciem na poręcz. Nie wyglądał na zaskoczonego przybyciem Esguira.

— Panie — powitał go baron. Złożył głęboki ukłon, a towarzyszący mu żołnierze ukłonili się jeszcze głębiej. Myszka i pozostałe dziewczynki gapiły się tylko szeroko otwartymi oczami, zbyt przestraszone, by móc się poruszyć.

Siedzący na ozdobnym krześle mężczyzna odpowiedział na powitanie Władcy Psów Alizonu lekkim machnięciem ręki.

— Przybyłeś na czas, Esguirze — powiedział. — Jesteśmy z ciebie zadowoleni. Kiedy Myszka odważyła się rozejrzeć po otoczeniu, zauważyła w komnacie

jeszcze kilku mężczyzn. W większości byli to białowłosi Alizończycy, z których widokiem już się oswoiła, ale jeden nie należał do ich ludu. Był to bardzo dziwnie wyglądający osobnik. Myszka sądziła, że najbardziej na świecie znieawdziła zielone oczy i białe kędziory porywaczy. Zmieniła jednak zdanie, gdy dostrzegła tego mężczyznę. Instynktownie znieawdziła go od pierwszego wejrzenia. Jej siostry westchnęły głośno i zbiły się w bezradną gromadkę.

Nieznajomy ubrany był w szarą szatę ściągniętą pasem, a na głowie miał szarą czapkę. Później Myszka zrozumiała, że się pomyliła. Wprawdzie na początku uznała go za człowieka, gdyż był podobny do człowieka. W rzeczywistości jednak nie przypominał żadnego ze znanych dziewczynce ludzi. Jego szeroka, płaska twarz kończyła się wąskim, prawie nie istniejącym podbródkiem. Wszyscy Alizończycy mieli duże orle nosy, ten zaś — mały, wąski ścinek ze szczelinami zamiast nozdrzy. Płynnym krokiem zbliżył się do ozdobnego krzesła, nachylił lekko do przodu i zaczął wyrzucać z siebie serie dziwacznych dźwięków.

— Och, mów tak, żeby wszyscy cię rozumieli — burknął z irytacją władca Alizończyków. — Jeśli chcesz wiedzieć, działa mi to na nerwy.

Dziwny mężczyzna pochylił głowę.

— Jak sobie życzysz, baronie Mallandorze — odrzekł z wyraźnym obcym akcentem. Młaśnięcia i gwizdy jego ojczystego języka przebijały się przez wspólną mowę. — Powiedziałem, że się nadadzą. Nadadzą się.

Podszedł bliżej do młodziutkich czarownic i wpatrzył się w nie żółtawymi oczami, aż Myszka zapragnęła uciec i ukryć się choćby w mysiej dziurze. Drżąc całą wzięła Ptaszynkę za rękę i przekonała się, że ona również drży jak w febrze.

— Tak. Nadadzą się. — Nagle wskazał nienaturalnie długim palcem na Płomyk. — Zaczniemy od razu. Z tą.

— Nie! — wykrzyknęły chórem wstrząśnięte dziewczynki, a Płomyk najgłośniej. Ale na nic to się nie zdało. Alizończyk, który ją eskortował do tego straszego miejsca, trzymał ją teraz mocno, pozostali zaś odciągnęli na bok resztę.

— Zabierzcie je do pokoju na szczycie wieży — rozkazał Mallandor.

— Stanie się, jak rozkazałeś, panie — powiedział Esguir. — Sam postawię tam strażę.

Myszka ze wstydem i przerażeniem przekonała się, że jednak nie wyplakała wszystkich łez. Nie mogła nic na to poradzić, choć tak bardzo nie chciała okazywać słabości w obecności Mallandora i jego okropnych sług. Wybuchnęła głośnym płaczem, a towarzyski zawtórowały jej. Po policzkach popłynęły im strumienie łez.

Tylko Płomyk nie płakała. Myszka szamotała się, chcąc się uwolnić z rąk trzymającego ją gwardzisty, podbiec do Płomyka, pocieszyć ją, uratować...

Wszystkie jednak były tylko dziećmi, małymi dziewczynkami, które trzymali duzi i silni mężczyźni. Alizończycy bez wysiłku podnieśli je i wynieśli z komnaty Mallandora. Myszka zobaczyła znowu korytarze, kilka wąskich krętych klatek schodowych, inne drzwi, jeszcze inne, znacznie węższe kręte schody. Gwardziści rzucili małe więźniarki na słomę rozeslaną na kamiennej podłodze. Później wyszli pośpiesznie, zamykając drzwi na klucz.

Młodziutkie czarownice poruszyły się, rozprostowały zdrętwiałe członki, roztarty nadgarstki, zaczęły się rozglądać po otoczeniu. Seplenisia leżała w kącie i tylko szlochanie wstrząsało jej ciałem. Gwiazdka i Świerszczyk przykucnęły obok. Myszka również drżała, choć nie tak konwulsyjnie jak Seplenisia.

— A z tobą wszystko w porządku? — zapytała Ptaszynka.

Myszka bez słowa skinęła twierdząco głową. Nie mogła zapomnieć widoku przerażonej twarzyczki Płomyka i jej suchych oczu. W rękach Alizończyka wyglądała na tak małą i zagubioną. A tamten dziwny, podobny do człowieka stwór wyciągał

nienaturalnie długą rękę, żeby dotknąć jej policzka.

Rozdział siódmy

I

Girvan, Weldyn i Yareth robili częste postoje i naradzali się nad dalszą drogą. I chociaż na ubitym trakcie, nie zasypanym ziemią przez wiatry, gubili ślady końskich kopyt, zawsze w jakiś sposób znajdowali je ponownie. Zwłaszcza Girvan się nie wahał, gdyż znał drogę, którą podążali porywacze. Dotarli teraz do obszaru znajdującego się pod ochroną magicznych strażników. Zatrzymali się, żeby chwilę odpocząć i dać odetchnąć koniom.

— Alizończycy są pewni, że nikt ich nie ściga — powiedział Girvan. — Widzicie? Ich przywódca już nie wysyła tropicieli na tyły tak często jak na początku. Teraz zachowuje tylko minimum ostrożności. A możemy być pewni, że jest naprawdę ostrożny. Przekonaliśmy się o tym już w Estcarpie, to widać po sposobie, w jaki przygotował zasadzkę. Weldyn podniósł oczy, badając wzrokiem rozciągający się przed nimi krajobraz.

— Na lewo, tam gdzie wisi ta gęsta mgła, musi znajdować się skraj Moczarów Toru. Alizońska Przełęcz leży zapewne za zakrętem, w miejscu gdzie kończą się Góry Alizońskie. A raczej wzgórze. Po prostu wzgórze.

Yareth również spojrzał na Góry Alizońskie, które w tej odległości wyglądały jak mglista purpurowa smuga na horyzoncie. Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

— Tam się skierujemy. Dobrze się czuję w takich okolicach. Możemy przemknąć się niepostrzeżenie. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, prawdopodobnie to najbezpieczniejsza droga.

Girvan popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Nie! W żadnym przypadku. Alizońska Przełęcz jest teraz najbezpieczniejsza, gdyż pójdziemy śladem tych, którzy przez nią już przeszli i zaalarmowali magicznych strażników. A oni będą potrzebowali czasu na zgromadzenie energii, żeby móc znów działać.

Yareth zdawał się go nie słyszeć i mówił dalej:

— Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, że na własne oczy widzimy, co się przed nami znajduje, powinniśmy opuścić ten szlak. Znaleźć przejście przez te wzgórze. Nie będzie to zbyt trudne. — Jego głos brzmiał dziwnie monotonicznie.

— Tym razem całkowicie się z tobą zgadzam, bracie Sokolniku — oświadczył Weldyn. Jego głos miał to samo brzmienie co głos Yaretha. — Ominiemy Moczary Toru. Pojedziemy przez Góry Alizońskie.

Wydawało się to całkiem rozsądne, zwłaszcza teraz, kiedy tu się znaleźli i widzieli, czemu mają stawić czoło. Po co narażać się na niebezpieczeństwa grożące na bagnach? Wokół Eirran wszyscy pomrukiwali na znak zgody.

Girvan spojrzał na nich ponuro.

— Czary tego miejsca zaćmiły wam umysły — powiedział z oburzeniem. — Weldynie, ty jako pierwszy wspomniałeś o niebezpieczeństwach kryjących się w tych górach.

— Zmieniłem zdanie.

— Posłuchajcie. Pochodzę z południa Alizonu. Musi być jakiś powód, dla którego tamtejsi mieszkańcy nazywają Góry Alizońskie Zakazanymi Wzgórzami. Nie śmie się tam zapuszczać nikt, kto nie ma nic do ukrycia. Jeśli więc chcecie, byśmy wyglądali jak banda złodziei, rozbójników i rzezimieszków, to proszę, szukajcie drogi do

Alizonu przez te wzgórza.

— Ale może to będzie mniej niebezpieczne niż ten trakt. Możliwe, że ktoś pilnuje Alizońskiej Przełęczy. W górach nasze ptaki mogą swobodnie wypatrywać grożące nam niebezpieczeństwa. Jeżeli porywacze przypadkiem pozostawili kogoś, kto ma obserwować drogę przez Alizońska Przełęcz, może zdołamy go w ten sposób ominąć.

— Gdyby to było takie łatwe, Alizończycy sami tamtędy by pojechali, a sam widzisz, że nie zrobili tego — odpowiedział Girvan. — Mają wiele powodów do pośpiechu, ale wybrali przełęcz, pomimo niebezpieczeństw i magii. Czy nie wydaje ci się, że nie zrobili tego przypadkiem, ale mieli jakieś racje?

— Oczywiście. — Yareth uśmiechnął się zimno. — Żaden Pies nie może się równać z Sokolnikiem w tym, co zamierzył.

— Poza tym nie znoszę smrodu magii — dodał Weldyn. — Prócz nas dwóch, reszta zmieniła postać. A jeśli strażnicy Przełęczy w jakiś sposób wpłyną na przebranie, które więdźmy z Estcarpu dały im i ich koniom?

Eirran słuchała uważnie. Ta sprawa niepokoiła ją bardziej niż innych, którzy jeszcze nie wiedzieli, że czary Najwyższej Strażniczki nadały jej wygląd mężczyzny. Dlatego dalszą podróż przez Góry Alizońskie uznała za znacznie atrakcyjniejszą.

Girvan prychnął szyderczo.

— Czy nie wydaje się wam, że czarownice są wystarczająco bystre i zręczne, by pomyśleć o tych sprawach? Niełatwo jest się pozbyć takiego przebrania.

— Moja natura skłania mnie do podróży przez te wzgórza — odrzekł z uporem Weldyn. — Tak samo jak mojego brata Sokolnika.

Yareth skinął głową. Przynajmniej w tej materii obaj myśleli tak samo, chociaż mogli wcale się nie zgadzać co do innych spraw, takich jak kobiety i żony.

— No cóż, jest jeszcze coś, czego nie wzięliście pod uwagę.

— A co to takiego? — Weldyn spojrział na Girvana. Na jego twarzy malował się gniew.

— Po pierwsze udajemy, że jesteśmy żołnierzami o czystych tarczach, szukających zajęcia u kogoś innego niż u więdźm z Estcarpu. Uczciwi ludzie nie wślizgnęliby się do Alizonu przez Zakazane Wzgórza.

— Tak, to trzeba uwzględnić — przyznał niechętnie Yareth.

— A po drugie... — Girvan uśmiechnął się lekko, jakby wyciągnął asa z rękawa. — Jeżeli wyruszyście przez góry, nigdy nie dowiecie się, czy porywacze albo ich ofiary dotarły do Alizonu. Przybędziemy do wrogiego kraju i nie będziemy mieli dokąd się udać ani po co.

Zaległo głębokie milczenie. Nagle Eirran odetchnęła głęboko, jakby zabrakło jej tchu. Klejnot zmarłej czarownicy ukryty w kaftanie zdawał się szczytać jej skórę. To tylko moja wyobraźnia, pomyślała. To niemożliwe. Klejnot umarł razem z jego właścicielką. Nie wiem, po co go niosę. Nie wyrzuciła go jednak. Zamiast tego poruszyła ramionami, czując nagle, jak sztywnieją.

Rozejrzała się dookoła. Jej towarzysze podróży zamrugali oczami i poruszyli niespokojnie, jakby budząc się z transu. Eirran zdała sobie sprawę, że właśnie przestał działać czar perswazji, który miał ich odciągnąć od celu podróży. Przypomniała sobie, że Girvan powiedział im, iż magiczni strażnicy Alizońskiej Przełęczy mieli za zadanie kierować intruzów w głąb Moczarów Toru. Ale ten tutaj czar, czy też dziwny impuls wysyłał ich w przeciwnym kierunku!

Pobladły Yareth wbił wzrok w swoje buty. Zerwał się wilgotny wiatr i konie, czując bliskość wody, poruszyły się niespokojnie. Uderzały kopytami o ziemię, parskały i rzucały łbami, szarpiąc wodze.

— Nie podobają mi się twoje argumenty, ale są przekonujące — powiedział w końcu Yareth. — Wiem, że mówisz prawdę. Dlatego posłucham twojej rady,

Girvanie. Pojedziemy dalej tą drogą, nawet jeśli prowadzi przez iluzję i czary Alizońskiej Przełęcz. Przyznaję, że bardzo chciałbym ją opuścić.

Girvan odpreżył się w widoczny sposób.

— Już to mówiłem, że czasami, kiedy ktoś niedawno przejeżdżał obok magicznych strażników, iluzja nie działa. Miejmy nadzieję, że tak będzie i tym razem, Yarecie.

— Miejmy też nadzieję, że czary w tym miejscu podziałają na mnie i Weldyna inaczej i w bardziej subtelny sposób niż na innych, i że prowadzisz nas dobrą drogą.

— Powiedziawszy to Sokolnik przeciągnął się i rozluźnił napięte dotąd mięśnie; to samo chwilę wcześniej zrobili wszyscy jego towarzysze podróży.

— Tak — wtrącił Hirl. — Kiedy przekonywałeś nas o konieczności podróży przez Góry Alizońskie, wydawało się to bardzo rozsądne. Jedyna możliwa droga. Byłem gotów wyruszyć tam z tobą. Ale słowa Girvana sprawiły, że zobaczyłem wszystko w innym świetle.

— Zgadzam się — oświadczył Ranal, a inni mu zawtórowali.

Girvan pozwolił sobie na gorzki uśmiech.

— Przynajmniej raz ucieszyłem się, że pochodzę z Alizonu — rzekł. — Pozwala mi to zachować jasność myśli wtedy, gdy reszta chce biec na zgubę.

— Jesteśmy ci za to wdzięczni — powiedział Yareth. Odwrócili się, żeby po raz ostatni spojrzeć na Estcarp.

Później z nowym zapałem wsiedli na konie, ponagliłi je i znów ruszyli w pościg. Podczas jazdy obaj Sokolnicy bez przerwy rzucali tęskne spojrzenia w stronę tak bliskich i tak kuszących gór.

II

Girvan daremnie szukał wyjaśnienia dla dziwnego impulsu, który kierował Sokolników w Zakazane Wzgórza i który udzielił się reszcie kompanii. Co się zaś tyczy Alizońskiej Przełęczy, gwardziści nie kryli nadziei, że będzie tak, jak przepowiedział to ich przewodnik. I, ku ogromnej uldze, zdołali przebyć ją bez przeszkód.

— Miałeś rację mówiąc, że magiczni strażnicy i systemy obronne umieszczone przez czarownice muszą odpocząć przez jakiś czas po tym, jak zostały włączone — powiedział Dunnis.

— A może czary te przecierają się po tak długim czasie i wielokrotnym użyciu — skomentował Loric.

— Albo wcale nie były takie potężne od samego początku — odrzekł kwaśno Weldyn.

Ranal przemówił w imieniu wszystkich:

— Cokolwiek tu jest, taka sytuacja odpowiada mi i bardziej, niż mógłbym to wyrazić.

Gęsta mgła podniosła się, gdy grupa gwardzistów Estcarpu udających najemnych żołnierzy pojechała dalej, ale sprawiała wrażenie naturalnej, zrodzonej z ziemi i pobliskich bagien, a nie stworzonej przez złe czary. Okolica także nie zmieniła wyglądu, wabiąc na moczary ukryte za murem nieprzejrzystych chmur. Wszyscy z ulgą zauważyli, że obaj Sokolnicy zaczęli się zachowywać prawie normalnie, koncentrując się na jeździe i czekającym ich zadaniu.

— Poczekajcie — odezwał się nagle Weldyn. Pochylił się w siodle, badając wzrokiem ziemię pod kopytami swojego wierzchowca. — Tutaj opuścili trakt. Ślady są wyraźne.

Po chwili dostrzegli z łatwością miejsce, w którym Alizończycy zatrzymali się na jakiś czas, prawdopodobnie po to, by się pośpiesznie posilić, a następnie poszli dalej pieszo, prowadząc swoje konie. Tu i tam tropiciele wskazali zrytą psimi pazurami ziemię. Wyglądało to tak, jakby ich panowie siłą powstrzymywali zwierzęta przed ucieczką — nie, jak nakazywał rozsądek — od Moczarów Toru, ale właśnie w ich stronę. Eirran wzdrygnęła się, nie chcąc myśleć o czarach, które wywołały taką reakcję.

Sokolnicy zsiadli z koni i wpatrzeni w ziemię poprowadzili je śladem porywaczy, starając się zgromadzić jak najwięcej informacji.

— Czego chcecie się dowiedzieć? — zapytał Loric. — Tu jest za dużo tropów, które się na siebie nakładają.

— Zwróć uwagę, że bardzo uważali, by iść po swoich śladach — wyjaśnił Yareth. — Ale nie zawsze im się to udawało. Spójrz tutaj.

Wskazał na wyraźny odcisk małej stopki na prawo od reszty śladów. Wyglądało to tak, jakby jej właścicielka zaczęła iść w tamtą stronę i została odciągnięta siłą. Ale kilka kroków dalej cała kompania jednak skręciła na prawo, na wschód, z dala od Moczarów Toru.

Mięsień zadrgał w policzku Yaretha.

— Puścili przodem jedną z małych czarownic, żeby wyczuła czary. Kernon sugerował, że mogą to zrobić.

Eirran zamknęła oczy i powiedziała starając się powstrzymać drzenie głosu:

— Czy możesz określić, która to była?

— Nie — odrzekł. — Ale była to słuszna taktyka. Dziewczynka zaprowadziła ich z

powrotem na główny trakt; chociaż wszystko wygląda tutaj, jakby nie chcieli się udać w kierunku, który wybrała. — Wyprostował się i skierował wzrok na zachód. Olbrzymia ściana nieprzeniknionej mgły całkowicie zasłaniała to, co się za nią znajdowało. Sama jej obecność nie pozwalała podróżnym na wędrówkę w tamtą stronę. — Moczary Toru są odcięte od reszty świata, całkowicie i ostatecznie nawet wtedy, kiedy inne czary nie działają. Zastanawiam się dlaczego.

— Mogę odpowiedzieć na twoje pytanie — rzekł Ranal. — Torańczycy popełnili wielki błąd podczas wojny z Kolderem. Pomogli Kolderczykom biorąc do niewoli jakieś ważne osobistości i wydając je im za jakąś zapłatę...

— Rzeczywiście ważne osobistości — dodał Hirl. — To był pan Simon i pani Loyse z Verlaine. Nigdy się nie dowiedziałem, jak zostali schwytani albo dlaczego, Torańczycy chcieli w tej sprawie współdziałać z Kolderczykami.

Ranal wzruszył ramionami.

— Bez względu na powody, jakimi się kierowali, uczynili to. I od tej pory czarownice odgrodziły Moczary Toru od reszty świata. Mówi się, że Torańczycy niezupełnie są ludźmi i nigdy zbytnio nie interesowali się światem zewnętrznym. Wieść też głosi, iż czarownice rzuciły czary w taki sposób, że nieuważny podróżny bardzo łatwo może tam zabłądzić, ale nigdy nie zdoła znaleźć powrotnej drogi.

— Wygodny sposób na zamknięcie Alizońskiej Przełęczy — skomentował Weldyn. — No cóż, dowiedzieliśmy się już tu wszystkiego, co się dało. Ruszajmy dalej, zanim magiczni strażnicy odzyskają moc i wciągną nas w pułapkę.

III

Kiedy ścigający okrążyli podnóże Gór Alizońskich, pasma niskich wzgórz oddzielających Estcarp od Alizonu, i znaleźli się na terytorium wroga, ogarnął ich niepokój i poczuli się zagrożeni. Ale ani rzadko spotykani podróżni, ani nieliczni wieśniacy pracujący na rozległych polach i łąkach nie spojrzeli po raz drugi w ich kierunku. Eirran jednak rozglądała się otwarcie, tak samo ci, którzy nigdy nie byli tak daleko na pomocy. Nawet jadący na przedzie dumni Sokolnicy zniżali się do badania wzrokiem okolicy.

Te kolczaste płoty zmuszają podróżnych, żeby mimo woli trzymali się drogi, pomyślała Eirran. Mogą nam przysporzyć kłopotu, jeżeli będziemy musieli uciekać na przełaj z dziećmi. Kiedy je ocalimy...

Śmiały Wojownik wrócił znów na ramię Yaretha i przemówił do niego w sokolim języku. Yareth przesadził go na łęk siodła i zwrócił się do Girvana:

— Czy istnieje jakiś sposób na przedostanie się przez te żywopłoty? — zapytał. — Śmiały Wojownik powiedział, że z góry to wygląda jak stosy skrzyń.

— Nie ma — odrzekł Girvan. — Ale są tam przejścia, niewielkie wyrwy pomiędzy jednym polem a drugim. Ścieżki, którymi można pójść, jeśli się je zna.

— Będziemy musieli nauczyć nasze sokoły rozpoznawać te przejścia i ścieżki — oświadczył Weldyn. Przemówił do Ostrego Szpona i posłał go w górę. Po kilku chwilach Śmiały Wojownik przyłączył się do Ostrego Szpona.

Ale chociaż ptaki szybko zorientowały się, czego od nich oczekują ich ludzcy partnerzy, okazało się, że jest niewiele przejść w żywopłocie i że ktoś, kto chciałby pośpiesznie przemierzać te okolice na przełaj, nie mógłby z nich korzystać.

— To proste — zażartował Dunnis. — Będziemy musieli znaleźć sposób, żeby wydostać się z Alizonu równie szybko, jak się tutaj dostaliśmy. Może ptaki Sokolników nauczą nas latać.

Jego towarzysze roześmiali się, nawet Weldyn, ale Yareth tylko uśmiechnął się nieznacznie. Eirran rozumiała jego zatroskanie. Im dalej jechali, tym silniej była przekonana, że uciekli z jednej pułapki tylko po to, żeby zdążyć prosto do drugiej. To nonsens, powiedziała sobie surowo. Nie możemy doznać niepowodzenia teraz, kiedy jesteśmy tak blisko celu. Po prostu nie możemy.

Zacząła już myśleć, że cały Alizon składa się z pozszywanych ze sobą kwadratów, w których żywopłoty były | szwami, kiedy kolczaste zapory nagle zniknęły i znaleźli się na otwartej przestrzeni. Dostrzegła garstkę chat o plecionych ścianach pomazanych gliną i kamiennych fundamentach, pierwszą z wiosek, które gromadzą się wokół każdej twierdzy.

— Zaraz za tym wzniesieniem znajduje się Alizon — powiedział Girvan. — Stąd prawie widać najwyższe wieże, miasta.

Eirran dostała gęziej skórki i zadrżała na całym ciele.

— Czy nadal się zgadzamy? Wjeżdżamy, udajemy, że przyłączamy się do ich gwardzistów — chciałem powiedzieć Psów — a potem zaczynamy szukać porwanych dzieci? Teraz mogą być wszędzie i więcej zdziałamy, gdy będziemy mogli działać od środka, jeśli można tak się wyrazić. Jako jedni z nich.

Weldyn z grymasem musnął swój rękaw.

— Chciałbym najpierw się umyć. Wolałbym, żeby mnie nie zobaczono pokrytego kurzem i brudem po podróży.

Yareth stanął w strzemionach i przysłonił oczy ręką, jakby w jakiś sposób mógł dostrzec cel ich podróży.

— Będziemy mieli na to dość czasu — powiedział. — Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, nie zatrzymujemy się na wypoczynek.

Spiął ostrogami Rangina i torgiańczyk skoczył do przodu. Weldyn, nie chcąc, by wyprzedził go młodszy współplemieniec, uderzył piętami swojego wierzchowca. Reszta nie pozostała w tyle. Po chwili jechali już jednak w wolniejszym tempie w zwykłym porządku — Sokolnicy na przedzie, za nimi Hirl i Girvan, potem Loric i Ranal. Kernon i Dunnis z tyłu. Eirran polubiła Dunnisa z powodu jego łagodnego usposobienia i ucieszyła się zauważywszy, że wesoły gwardzista dotrzymuje jej towarzystwa podczas podróży.

Wydawało się jej dotychczas, że wie, czego powinna się spodziewać, ale nie mogła powstrzymać okrzyku zaskoczenia przemieszanego z przerażeniem, kiedy jej oczom ukazał się zamek i miasto. W porównaniu z nim estcarpiańska cytadela była tylko ufortyfikowanym dworem, a mury miasta Es słabe i źle chronione. Różnica ta była zrozumiała, gdyż służyły krańcowo różnym celom. Zamek Es był siedzibą mądrości i mocy, której nie można osiągnąć za pomocą broni. Eirran nie chciała nawet myśleć o tym, co mogło gnieździć się w głównej twierdzy Alizonu. Widok ten wywarł podobne wrażenie na jej towarzyszach i tylko obaj Sokolnicy oraz Girvan nie krzyknęli mimowolnie.

— Zamek Alizon nigdy nie został zdobyty siłą oręża, jedynie przez podstęp i zdradę — wyjaśnił Girvan z dumą w głosie.

Alizończyk patrzył na masywne, grube mury miejskie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie mogło to być dla niego przyjemne. Może się zastanawiał, że pod pewnym względem i z pewnego punktu widzenia zdradzał swój rodzinny kraj? Eirran zabrakło jednak czasu, by nad tym rozmyślać. Ośmiu mężczyzn udających żołnierzy o czystych tarczach już wjeżdżało w potężną bramę miasta Alizon.

IV

Cała ósemka za radą Girvana umieściła swoje wierzchowce w publicznej stajni. Można je było wreszcie dobrze nakarmić, napoić i oporządzić po raz pierwszy od opuszczenia Es. Torgiańczyki zachowywały się tak, jakby mogły przebiec jeszcze wiele mil, wszystkie jednak zaakceptowały znacznie chętniej worki z owsem niż podróżne racje.

— Rozpylam się w tej karczmie — powiedział Girvan. — Pójdzie mi to lepiej niż komukolwiek z was. Jestem przecież Alizończykiem z urodzenia. Tutejsi mieszkańcy będą rozmawiali ze mną otwarcie.

— Zaczekamy na ciebie na rynku — odrzekł Yareth. Kiedy Girvan ruszył do zajazdu, pozostali postanowili przespacerować się po rynku i przyjrzeć alizońskiemu miastu. Wprawdzie Ranal, Loric, Hirl, Dunnis i Kernon nie ściągali na siebie zbyt wielu spojrzeń, ale zupełnie inaczej rzeczy się miały z Sokolnikami. Z ptakami na przegubach obaj mężczyźni zwracali powszechną uwagę. Udawali jednak dumnie, że wcale tego nie zauważają.

— Nie co dzień widują Sokolnika, a co dopiero dwóch — szepnął rozbawiony Dunnis do Eirran.

Wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała.

Przypadkowo trafili na dzień targowy. Zewsząd przybyli drobni rolnicy ustawili swoje wozy demonstrując swoje towary. I jakkolwiek ziemia tu była uboga, na wielu kramach wystawiono na sprzedaż późne zimowe warzywa. Eirran wiedziała, jak je wyhodowano. Pamiętając swój własny ogród w Blagden mogła sobie wyobrazić, z jak wielkim trudem rolnicy nanosili ziemię na swoje poletka, potem ją nawozili i troszczyli się o nią, zakopując w niej resztki jedzenia i nawóz zwierzęcy, by ją wzbogacić. Robiła tak u siebie w domu, choć ziemia wokół Blagden była stokroć żyźniejsza niż w Alizonie.

Zatrzymała się przy straganie, gdzie żona jakiegoś rolnika sprzedawała uszyte przez siebie koszule. Alizonka ozdobiła je przy szyi i na rękawach pięknymi haftami, ciemną nicią na tle kremowego płótna. Eirran, która nie była dobrą krawcową, z podziwem dotknęła jednej z koszul. Pomyślała, że Yareth potrzebuje nowego odzienia. Gdyby to był dzień targowy w jakimś estcarpiańskim miasteczku i gdyby miała trochę pieniędzy... Sprzedawczyni, wyczuwając potencjalnego nabywcę, pośpiesznie podeszła do niej.

— Ta koszula przetrwa całe lata, młody panie — powiedziała. — Kosztuje tylko pięć miedziaków.

— Umiarkowana cena — odrzekła Eirran. — Może innego dnia, kiedy mi zapłacą...

Kobieta przyjrzała się jej okiem znawcy.

— Przybyłeś, żeby wstąpić do Psów Alizonu — oświadczyła. — W towarzystwie kilku żołnierzy o czystych tarczach.

— Tak.

— No cóż, zwykle przyjmują na służbę, czasem więcej, czasem mniej.

— A teraz?

— Nie wiem. — Kobieta wzruszyła ramionami. — Ale założę się, że będziesz miał więcej szczęścia, jeśli będziesz się trzymał blisko tych z sokołami. Nie wiem, kiedy widziałam jakiegoś po raz ostatni.

Eirran zrobiło się zimno na myśl o Sokolniku — jakimkolwiek Sokolniku — który przyłączył się do Psów Alizonu.

— Ach tak? — zapytała ostrożnie. — Wiec tutaj bywali Sokolnicy?
— Och, trafiają co jakiś czas, ale jako jeńcy. Nigdy jeszcze nie szukali tu zajęcia. Esguir byłby zadowolony, gdyby miał wśród swoich ludzi choć jednego, a co dopiero dwóch Sokolników.

— Esguir?

— Tak. Baron Esguir, Władca Psów. — Kobieta obejrzała Eirran od stóp do głów.
— Władca Psów to ktoś jak Najwyższy Kapitan Gwardii Estcarpu, skąd pochodzisz.

— Czy to widać?

Tamta wzruszyła ramionami.

— Nieważne. Żołnierz o czystej tarczy jest najemnikiem bez względu na to, skąd pochodzi. Czy mam odłożyć dla ciebie tę koszulę, młody panie?

— Nie. Jeśli będziesz miała okazję sprzedać ją przed moim powrotem, zrób to — odrzekła Eirran.

— Następny jarmark będzie za tydzień, tuż po wypłacie dla Psów Alizonu. — Kobieta uśmiechnęła się szeroko. — Będę wtedy na ciebie czekała.

Inny klient zatrzymał się przy straganie i Alizonka odwróciła się do niego. Eirran przyłączyła się do swoich towarzyszy akurat w chwili, gdy Girvan wyszedł z zajazdu. Ukradkiem ucierał usta grzbietem dłoni i bił od niego mocny zapach piwa.

— My także mamy gardła zaschłe od kurzu — powiedział z wyrzutem Hirl.

— Zgoda — odparł Girvan — ale musicie zachować jasność myśli, czego ja nie potrzebuję. Będziemy świętować, jeżeli dostaniemy to, po co tu przybyliśmy, jeśli mnie rozumiecie.

— Rozumiemy — wtrącił Yareth. — Czego się dowiedziałeś? Czy przyjmują na służbę?

— Tak. Musimy pójść na zamek i spotkać się z Władcą Psów, baronem Esguirem. To z nim trzeba rozmawiać o pracy i o wszystkim innym.

Eirran zaczęła coś mówić, ale zaraz się rozmyśliła i zamilkła. Girvan nie dowiedział się w karczmie nic więcej niż ona sama podczas kilkuminutowej rozmowy z alizońską wieśniaczką. Przewodnik po prostu chciał się napić. Tak naprawdę, to nic się nie stało. Znajdowali się w samym sercu nieprzyjacielskiego kraju. Eirran czuła, że są bliscy odnalezienia Jenys, dosłownie wyczuwała obecność córki. Po co rozpoczynać kłótnię i ryzykować, że niepotrzebnie zwrócą na siebie uwagę? Zajęła swoje miejsce obok Dunnisa, kiedy pomaszerowali w stronę ogromnego żółtobrazowego zamku, połyskującego w zachodzącym słońcu.

V

Władcy, najwyższemu rangą dowódcy Psów Alizonu, godziło się mieć swoją kwaterę w miejscu, w którym należało się spodziewać najzaciętszych starć podczas ewentualnego ataku na zamek — w wartowni tej potężnej twierdzy. Koszary, czyli Psiarnia, znajdowały się przy murze południowym.

Ośmiu kandydatów na Psów weszło do wieży bramnej i wspięło się krętymi kamiennymi schodami. Przez prawie godzinę czekali w jakimś pomieszczeniu, podczas gdy Władca Psów załatwiał jakieś sprawy w swojej komnacie. Przez otwarte drzwi mogli zaglądać do pomieszczenia znajdującego się tuż nad bramą w dole. Na podłodze leżały liczne stopy kamieni, przygotowanych do zrzucania na atakujących przez specjalne otwory, zasłonięte teraz drewnianymi klapami. Żelazne kotły czekały w pobliżu na napełnienie piaskiem lub wodą i podgrzanie, zanim ich zawartość również zostanie rzucona w ślad za kamieniami. Lecz kotły te pokrywał kurz i pajęczyny. Zamek Alizon nie był oblegany od wielu lat.

Został zdobyty tylko zdradą, pomyślała Eirran. Padł tylko od wewnątrz. A czymże my jesteśmy, jeśli nie szpiegami? Z każdą sekundą denerwowała się coraz bardziej i całą siłą woli zmuszała się do zachowania spokoju. A jeśli Władca Psów ich nie zaakceptuje? Jeżeli Psy odkryły prawdziwy powód, dla którego ci nowi rekruci chcieli wstąpić do alizońskiego wojska, i zabiły już branki? Może porwane dzieci — Jenys — już nie żyją? Czuła zbliżający się atak czkawki i rezolutnie przełknęła ślinę.

Wreszcie w drzwiach pojawił się mężczyzna w mundurze Psów Alizonu.

— Ej, wy, tam — powiedział. — Baron Esguir chce was teraz zobaczyć.

— Idziemy za tobą — odrzekł Girvan.

Siedmiu mężczyzn i Eirran wstało i poszło za żołnierzem jeszcze jednymi krętymi schodami w górę. Weszli do dużej komnaty, rozciągającej się na całą szerokość bramy. Z każdej strony były okna, nikt więc nie mógł ani wejść do zamku, ani opuścić go niezauważenie. W komnacie było pełno ludzi, wchodzących i wychodzących żołnierzy. Białowłosey mężczyzna w mundurze Psa, ze złotą otoczką na przyszytej na piersi oznace, siedział przy stole i przeglądał jakieś papiery. Podniósł wzrok, kiedy weszli.

— No więc? — rzucił z miejsca. — Mój człowiek powiedział, że chcecie rozmawiać ze mną osobiście. — Ton głosu i zachowanie wskazywały, iż uważał, że ci nowi rekruci mają wygórowane mniemanie o sobie domagając się takiego przywileju.

— Tak jest, panie — odpowiedział Girvan. Podeszedł do stołu i odwrócił się do swoich towarzyszy. — A raczej ja o to prosiłem. Pomyślałem, że zechcesz obejrzeć tych estcarpiańskich szpiegów, zanim wsadzisz ich do więzienia, by ich przesłuchać, kiedy będzie ci to wygodne.

Strzelił palcami i zanim ktokolwiek z osłupiałych przybyszów zdołał się poruszyć, złapano ich za ramiona i przyparto do muru.

— Zdrajca! — wrzasnął Weldyn. — Przeklęte alizońskie nasienie! Zapłacisz mi za to życiem!

Estcarpiańscy gwardziści nie zamierzali ulec bez .oporu. Loric zdołał się wyrwać i dopadał już Girvana, gdy znów go pojmano i rzucono na podłogę, wykręciwszy ręce za plecami. Śmiały Wojownik i Ostry Szpon z bojowym skwirem atakowały żołnierzy trzymających ich partnerów.

Alizończycy próbowali schwytać sokoły, ale bez powodzenia. Yareth krzyknął coś w sokolej mowie i Śmiały Wojownik natychmiast rzucił się do drzwi, wymykając się wrzeszczącym Psom, którzy wyciągali po niego ręce. Weldyn powtórzył rozkaz

Yaretha. Ostry Szpon leciał tuż za starszym sokołem. Oba ptaki wypadły przez najbliższe okno i znalazły się poza zasięgiem strzału, zanim zdolali zareagować gwardziści przy otworach strzelniczych albo na murach. Eirran zwiła bezwładnie w rękach alizońskich żołnierzy.

Och, żeby mieć skrzydła! — pomyślała. Uciec, zachować wolność i ponownie zaatakować przy dogodnej okazji! Ale sokoły nie mogły nic zrobić bez swoich panów. Sokolnik nigdy nie załamałby się podczas przesłuchania czy nawet tortur, lecz kto wie, jakie męczarnie Alizończycy mogli wymyślić dla ptaka? W ten sposób można o wiele łatwiej rozwiązać usta Sokolnikowi. Dlatego cieszyła się, że Psy nie zdołały schwytać ptaków.

— Zabierzcie ich do wieży więziennej — rozkazał Władca Psów. Jego głos zagłuszył wrzawę panującą w komnacie. — Niech ochłoną przez jakiś czas. Przesłuchamy ich wtedy, gdy będzie to nam wygodne, może jutro. — Zwrócił się do Girvana: — Dziękuję ci. Zastanawiałem się, dlaczego wróciłeś do Alizonu w towarzystwie siedmiu Estcarpiańczyków. Wolałbym, byś zachował swoją tajemnicę i dalej prowadził grę.

— Gra skończona. — Girvan wzruszył ramionami. — Jeśli chodzi o Estcarp, na nic ci się już nie przydam, panie. Po tej przygodzie nie mógłbym nigdy tam powrócić, więc niech myślą, że zginąłem razem z tymi tutaj. I tak zamierzałem wrócić do kraju, zanim mnie zdemaskują. Oni przybyli po porwane dzieci.

— Naprawdę? — Esguir uniósł bezbarwne brwi.

— Tak. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby powstrzymać ich od zaatakowania twoich Psów na drodze. Uznałem jednak, że będziesz chciał z nimi porozmawiać, wycisnąć wszystkie informacje, zanim, hm, pozbędziesz się ich. I ż raczej powinno to stać się tutaj.

— Rzeczywiście. Dobrze się spisałeś, Girvanie. No cóż, obiecałem ci miejsce w moim osobistym sztabie, kiedy zakończy się twoja misja. Z zadowoleniem mogę ci powiedzieć, że na nie zasłużyłeś.

— Dzięki ci, panie. Och, jeszcze jedno. Ten tu... — wskazał na Yaretha — ...nie wie nic ani o Estcarpie, ani o działalności więdźm. Ale jest ojcem jednej z porwanych.

— Coraz lepiej. Tak, świetnie się spisałeś. Dopilnuję, żebyś otrzymał bardziej namacalny dowód wdzięczności poza tym, co już uzyskałeś.

— Panie. — Girvan ukłonił się.

Baron Esguir spojrział na swoich żołnierzy, którzy nadal szamotali się z Estcarpianami.

— No, na co czekacie? Wbijcie im rozum do głowy swoimi mieczami i wtrąćcie ich do więzienia.

Alizończycy ponowili wysiłki i mimo swej przewagi liczebnej z trudem zdołali wykonać rozkaz dowódcy. Eirran zapamiętała, że wleczono ją w dół schodami, którymi tu weszli, później przez niewielką przestrzeń przy murze południowym, do dużego pomieszczenia i przez drzwi umieszczone, o dziwo, we framudze okna i zasłonięte kurtyną przed oczami niepowołanych. Stamtąd zepchnięto więźniów po schodach do najniższej położonej, wilgotnej celi. Część lochu była przegrodzona grubą drewnianą ścianą z wąskimi drzwiami wzmocnionymi metalowymi sztabami. Wepchnięto ich kolejno przez te drzwi i ciśnięto na polepę pokrytą cienką warstwą cuchnącej słomy. Zanim nadeszła jej kolej, Eirran zwęszyła zapach piekącego się w pobliżu chleba. Drzwi zatrzasnęły się za nimi z głośnym szczękiem, który miał w sobie coś nieodwołalnego. Zapadły niemal namacalne ciemności, rozjaśnione jedynie słabym światłem wpadającym przez mały okrągły otwór wysoko w górze, zapewniający dopływ powietrza. Jeńcy zaczęli się podnosić, doprowadzać do porządku ubrania, rozcierać siniaki. Eirran zachwiała się, czując zawrót głowy.

— Hik! — czknęła i zadrżała: wydało się jej, że przeszła przez zasłonę z pajęczyny. Coś jakby się poruszyło na jej ciele, ale nie wiedziała, skąd wzięło się to odczucie, z jej wnętrza czy z zewnątrz. Próbowwała bez powodzenia powstrzymać czkawkę.

Jakiś mężczyzna położył jej ręce na ramionach. Podniósłszy oczy zobaczyła, że Yareth patrzy na jej twarz. Spróbowała się uwolnić i znów czknęła.

— Eirran? — zapytał z wahaniem jej małżonek. — Eirran! Na Wielkiego Sokoła, to ty! — Przytulił ją do siebie, a potem znów odsunął na odległość ramienia. Raptem spochmurniał i powiedział niepewnie: — Ale jak... Dlaczego? Co ty tu robisz? Przecież zostałeś w Estcarpie... Opuściłaś Es i nawet się ze mną nie pożegnałaś.

— Dlatego — hik! — że pojechałam z tobą.

— Ale w jaki sposób? Mów!

— Najwyższa Strażniczka. Ona — hik! — zmieniła mi postać. Powiedziała, że muszę zachować ostrożność i nie zbliżać się do ciebie, gdyż moje przebranie zniknie, jeśli mnie rozpoznasz. Ja... przypuszczam, że tak się stało. Widzisz, Kernon zachorował.

— Czułem, że coś jest nie tak — odezwał się Ranal. Uśmiechnął się krzywo spuchniętymi od uderzenia ustami. — Kernon nigdy nie był tak wybredny jak ty. — Dotknął dłonią warg. — Witam cię, pani.

— Och, Yarecie — hik! — musiałam pojechać. Nie mogłam zostać w domu, kiedy Jenys jest w niebezpieczeństwie. Proszę cię, proszę, wybacz mi.

Yareth nadal trzymał ją z dala od siebie. Nie odrywali od siebie wzroku. W celi panowała cisza przerywana tylko czkaniem Eirran. Wyraźnie czuła na sobie potępiające spojrzenie Weldyna. Potem Yareth przyciągnął ją, objął mocno, przytulił do siebie, pogłaskał po włosach i zanurzył w nich twarz. Zarzuciła mu ramiona na szyję i stali tak przez dłuższy czas.

— Jakie to ma znaczenie? — powiedział w końcu Yareth. — Jesteśmy tutaj oboje. Cokolwiek się stanie, będziemy razem.

Rozdział ósmy

I

Gdzie jesteśmy? — zapytała Świerszczyk. — Wiem, że jesteśmy zamknięte.

— Popatrzę. — Gwiazdka wstała, przekładając głowę Seplenisi ze swoich kolan na kolana Świerszczyka i podeszła do umieszczonego wysoko w ścianie otworu okiennego.

Seplenia leżała, przyglądając się im szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. Znów ssała kciuk. Świerszczyk pogłaskała ją po włosach.

— Pomóc ci? — odezwała się Myszka. Pośpieszyła do okna. Gwiazdka uczepliła się okiennicy, usiłując się wdrapać na parapet. Myszka podparła ją z dołu i Gwiazdka zdołała wgramolić się do głębokiej wnęki.

— Dziękuję. Hop! — Gwiazdka zniknęła Myszce z oczu. — Nie martw się, wszystko w porządku. Parapet obniża się ku dołowi i nie spodziewałam się tego. Teraz wszystko widzę. To jest tylko wąski otwór w murze, a nie prawdziwe okno. — Usiadła znowu na brzegu framugi, przyglądając się uważnie wąskiemu oknu i dziwnemu, ukośnemu otworowi w grubym murze. — Myślę, że w tym miejscu mają stać żołnierze i strzelać do żołnierzy w dole. — Wcisnęła się ponownie do wnęki, by wyrzucić jeszcze raz. — Widać stąd wiele murów. Jesteśmy wysoko. Ale to już wiemy. Te wszystkie schody! Zakręciło mi się w głowie. Nie wiem, co jest w dole... Czekajcie. Widzę skały i wodę. Z drugiej strony jest ziemia, więc to musi być rzeka.

— Czy można się stąd jakoś wydostać? — spytała Ptaszynka.

— Tylko jeśli umiesz latać, tak jak twoi imiennicy. — Dziewczynki uśmiechnęły się z kiegońskiego żartu Gwiazdki. — Otwór jest za wąski, nawet gdybyśmy potrafiły zejść po ścianie. W dodatku wieje silny wiatr. Gdyby się udało wyjąć kilka kamieni, i tak nie damy rady. Zwieje nas.

— Wiec ugrzęźliśmy tu.

— Obawiam się, że tak.

Dziewczynki zamilkły. Seplenia nieco mocniej ssała swój kciuk. Gwiazdka zeskoczyła na dół.

— No cóż, nie możemy tak tu tylko siedzieć — powiedziała stanowczo. — Co Pszczoła by o nas pomyślała? Nazwałaby nas leniwymi i do niczego niezdatnymi i miałyby rację.

— Co chcesz, żebyśmy zrobiły? — zapytała Świerszczyk.

— Możemy się uczesać i doprowadzić do porządku ubranie. Możemy uporządkować to pomieszczenie.

Myszka rozejrzała się wokoło. Niewiele tu było rzeczy, które można było doprowadzić do porządku. Łóżko bez materaca, z rozciągniętymi ze starości i zużytymi rzemieniami. Krzesło ze złamaną nogą. Miska i dzbanek na podłodze w pobliżu drzwi, do połowy napełnione zatęchłą ciepłą wodą. Kilka kołków na odzież wbitych w mury. Ślady w słomie, gdzie kiedyś stał magiel.

— Mogłybyśmy zmieścić tę słomę i zrobić z niej posłanie. Wystarczy przykryć je kilkoma opończami, a reszty używać zamiast koców — powiedziała.

— To już coś — uśmiechnęła się Gwiazdka. Niebawem dziewczynki odsunęły niepotrzebne łóżko na bok, żeby nie przeszkadzało, zgarnęły w stos najczystsza słomę i postawiły miskę i dzbanek na krześle. Miało im służyć jako szafka nocna, gdyż nie nadawało się do siedzenia. Myszka i Ptaszynka przykryły słomę swoimi opończami.

Świerszczyk poleciła Seplenisi położyć się na tym zaimprovizowanym legowisku. Seplenisia posłuchała i Świerszczyk nakryła ją jej własnym płaszczem.

— Powinna teraz zasnąć — powiedziała. — Przedtem omal nie zasnęła.

— Dobrze by jej to zrobiło — dodała Gwiazdka. — Martwię się o nią — dodała cicho.

Pozostałe dziewczynki spojrzały na Seplenisę. Jak przepowiedziała Świerszczyk, najbardziej dziecinna z maleńkich czarownic już zasnęła. Palec wysunął się jej z ust, oddychała głęboko i równomiernie. A przecież jej drzemka nie była spokojna. Miała podkrążone oczy, a śpiąc drżała i popiskiwała.

— Ja też się o nią martwię — oświadczyła Myszka. — Czy myślisz, że Alizończycy przysłaliby do niej lekarza?

— Ona nie jest chora — odparła Świerszczyk. — Nie wyczułam u niej gorączki. Myślę, że jest przestraszona. Bardziej niż którakolwiek z nas.

Myszka rozmyślała nad tym w milczeniu. Na pewno miały się czego bać. Wyczuwała jednak niejasno, że nie powinny tego okazywać tak otwarcie jak Seplenisia. Mogłoby się to skończyć tym, że wszystkie się tak wystraszą, że będą w takim samym stanie jak ona.

— Jak możemy jej pomóc?

— Nie wiem. Tak wielu rzeczy nie wiemy. — Gwiazdka pokręciła przecząco głową.

Od drzwi dobiegł jakiś odgłos. Klucz zgrzytnął w zamku. Do pokoju wszedł białowłosy mężczyzna w mundurze Psa, niosąc Płomyk. Za nim szło jeszcze dwóch alizońskich gwardzistów. Jeden niósł jakiś worek, który rzucił na podłogę w pobliżu drzwi.

— Widzę, że byliście zajęte. — Pierwszy Pies podszedł do posłania ze słomy i położył na nim Płomyk, po czym odwrócił się do drzwi. — Wrócimy później — dodał w chwili, gdy drzwi się za nim zamykały.

Seplenisia usiadła, przecierając zaspane oczy. Popatrzyła na bezwładnie leżącą Płomyk i zaczęła krzyczeć.

— Och, nie! Ona nie żyje, nie żyje, nie żyje, nie... Gwiazdka mocno uderzyła ją w twarz.

— Zamknij się! — powiedziała ostro.

Seplenisia przyłożyła rączkę do policzka. Z przerażenia i bólu zaczęła płakać — ale nie było to pełne strachu pociąganie nosem, ale głośnie, uzdrawiające szlochanie. Myszka wyczuła instynktownie, że trzeba ją na jakiś czas zostawić samą, by mogła się wypłakać. Przyłączyła się więc do dziewczynek, które skupiły się wokół Płomyka.

— Ona oddycha — odezwała się Ptaszynka. — Ledwo, ledwo.

— Och, spójrz! — powiedziała Myszka. Delikatnie odsunęła włosy z twarzyczki Płomyka. Na jej skroniach dostrzegły dziwne ślady wyglądające jak połączenie śladu oparzenia i siniaka. — Co oni jej zrobili?

— Nic dobrego — burknęła ponuro Gwiazdka. — Ma takie same ślady na ramionach i na nogach. — Oderwała pasek materiału z dołu swojej sukienki, umoczyła go w wodzie i zaczęła przemywać rany Płomyka. Dziewczynka poruszyła się i jęknęła cicho.

— Odzyskuje przytomność — rzekła Świerszczyk. Płomyk otworzyła oczy.

— Jestem tutaj — wyjąkała. Sprawiała wrażenie oszołomionej.

— Tak, jesteś tutaj. Z nami. Napij się wody — powiedziała Gwiazdka. — Ale nie za dużo. To wszystko, co mamy.

Zbliżyła dzbanek do ust Płomyka. Dziewczynka chleptała wodę jak kot. Wargi miała tak wyschnięte i popękane, że prawie krwawiły. Tymczasem Ptaszynka obejrzała pozostawiony im worek.

— Przynieśli nam trochę chleba i butelkę czegoś — powiedziała. Odkorkowała ją, powąchała i skrzywiła się. — Faj! To jest okropne!

Myszka również zbliżyła butelkę do nosa.

— To pachnie tak jak mamina butelka z lekarstwem, ta, którą trzyma w szafce i której nie wolno mi było dotykać.

Gwiazdka wzięła butelkę i sama powąchała.

— Aha! — zawołała. — Wy, dzieciaki, nic nie wiecie! To tylko spirytus i to wcale nie najlepszy, nawet w połowie nie taki dobry, jaki pędził mój ojciec. Ale założę się, że równie mocny. No, Płomyku, wypij łyk tego. Poczujesz się lepiej.

Myszka chciała już zapytać Gwiazdkę, czy jej ojciec wyrabiał to swoje lekarstwo — spirytus — w zagajniku leżącym na uboczu Blagden tak jak Rofan. Ugryzła się w porę w język; przecież Gwiazdka znacznie lepiej od niej zna świat. Gwiazdka podtrzymała głowę Płomyka, tak by dziewczynka mogła sączyć mocny napitek. Płomyk zakrztusiła się, ale zdołała wypić łyk. „Lekarstwo” sprawiło, że zarumieniła się i poczuła lepiej.

— Czy możesz nam powiedzieć, co się stało? — zapytała

Świerszczyk.

— Spróbuję. — Płomyk odetchnęła głęboko. Dziewczynki zasiadły obok. Nawet Seplenisia przestała szlochać i przysunęła się bliżej.

— Tam była maszyna, straszna maszyna i ten mężczyzna w szarej szacie — jest ich tam trzech i słyszałam, że ktoś nazwał ich Kolderczykami — ci Kolderczycy włożyli mnie do środka...

II

Maszyna zajmowała cały osobny pokój. Była martwa i matowoszara tak jak ich szaty. Składała się z szeregu wielkich, połączonych ze sobą skrzyń. Cały pokój pokrywała szara substancja, która ugiwała się lekko pod nogami i była tak gładka, jakby wylano ją na podłogę, sufit i ściany, i pozwolono, by wyschła. Nadawała głosom dziwne, przytłumione brzmienie i całkowicie wyciszała kroki. Jedną ścianę zajmowała olbrzymia mapa. Wyglądało to tak, jakby ktoś uniósł się bardzo wysoko w powietrze, żeby zobaczyć równiny, góry i Ocean, a potem skopiował to na mapie. Płomyk rozpoznała nierówną linię brzegu, Góry Olbrzymie, zarys Estcarpu, Góry Alizońskie i Moczary Toru, a między nimi Alizońską Przełęcz oraz nie znany jej kształt Alizonu na północy i Karstenu na południu. Góry Graniczne także widniały na tej mapie. Zrozumiała więc, że sporządzono ją dość dawno. Przypuszczała jednak, że starano się ją uaktualnić. Mapa była w jakiś sposób połączona z gigantyczną maszyną, gdyż świeciły na niej maleńkie świecące kulki — żółte w Estcarpie, czerwone w Alizonie. Kilka zielonych punktów nadal połyskiwało w Karstenu, ale większość była ciemna — na Półwyspie Sulkarskim i na wyspie Gorm.

Stół stał naprzeciw niesamowitej mapy. Siedział przy nim jeden z trzech Kolderczyków. Płomyk uświadomiła sobie z przerażeniem, że był on częścią maszyny. Miał na głowie metalowy czepek, z którego wychodziły druty, łączące go ze wszystkim, co znajdowało się w szarym pokoju. Nawet się nie poruszał, tylko jego długie palce dotykały guzików i dźwigni na tablicy rozdzielczej. Ani razu nie otworzył oczu, ale Płomyk czuła, że jest świadomy jej obecności.

Trzeci Kolderczyk stał przy tym, który był połączony z maszyną. Podszedł do pierwszego i pomógł mu posadzić szamoczącą się Płomyk na stole pośrodku pokoju. Dziewczynka kopała i próbowała ich ugryźć, ale byli od niej znacznie silniejsi. Związali ją rzemieniami, tak że nie mogła się poruszyć, przylepiając do jej ramion i nóg mnóstwo drutów zimną substancją, która parzyła tam, gdzie zetknęła się z ciałem. Na koniec włożyli jej na głowę czepek podobny do tego, który nosił siedzący przy stole Kolderczyk, ale ten miał imadło, które zacisnęli na jej skroniach. Kiedy skończyli, poczuli, że zrobili z niej część gigantycznej maszyny, tak jak z tamtego Kolderczyka.

Później skierowali się do innej części pomieszczenia. Stanęli obok tablic z jeszcze większą ilością tarczy i guzików. W pokoju zaczęły błyskać jakieś światła. Tarcze nieznanymi instrumentami się rozjarzały. Jeden z Kolderczyków przekreślił taką tarczę. Drugi wcisnął rząd guzików.

Płomykowi zabrakło słów, żeby opisać to, co się potem wydarzyło. W pewnej chwili zorientowała się, że krzyczy na cały głos. Szary pokój zdawał się zaciskać wokół niej, aż zaczęło brakować jej tchu. I dostała strasznych, potwornych mdłości.

Odwróciła głowę na bok.

— Głowa mnie boli — poskarżyła się.

Ptaszynka zdążyła podstawić miskę, zanim Płomyk zwymiotowała. Myszka z trudem przełknęła ślinę zmuszając zbuntowany żołądek do spokoju. Płomyk skończyła wymiotować i znowu się położyła. O dziwo, wyglądała troszkę lepiej. Gwiazdka poleciła jej wypić łyk leczniczego spirytusu.

Seplenisia przytuliła się do Płomyka i objęła ją ramionami.

— Potrzymam cię i będziesz bezpieczna — powiedziała. — Przepij fię teraz.

III

Później, kiedy Płomyk się obudziła, dziewczynki podzieliły między siebie chleb i zjadły go. Płomyk ledwie tknęła swoją porcję. Woda się kończyła i oddały wszystko, co pozostało, Płomykowi. Jej usta nadal były suche i spękane. Z wdzięcznością przełknęła niesmaczny płyn. Ściemniło się. Służebna w brudnym fartuchu przyniosła im wodę i wyszczerbiony cynowy kubek. Patrząc na dziewczynki ze złością, postawiła dzbanek z wodą na krześle służącym za zaimprovizowany stolik tak gwałtownie, że zachwiał się i przewrócił. Ptaszynka schwyciła dzbanek, zanim dotknął podłogi. Kubek potoczył się do kąta.

— Kazano mi to przynieść — powiedziała. — Nie wypijcie wszystkiego od razu. Dostaniecie więcej dopiero jutro. Gdyby to ode mnie zależało, nie dostałybyście nic do picia. Zasługujecie na to. — Splunęła na podłogę. — Małe wiedźmy. — Wychodząc trzasnęła z całej siły drzwiami.

Wstrząśnięte dziewczynki przez chwilę nie odrywały wzroku od drzwi. Nigdy nie zetknęły się z tak zapiekłą, nie ukrywaną nienawiścią, nawet podczas wędrówki na północ razem z Alizończykami. Ale gwardziści podlegali dyscyplinie wojskowej, a służba nie.

— Nigdy nie widziałam takiej niemiłej kobiety — powiedziała wyraźnie Świerszczyk. Jej twarz sprawiała wrażenie bardziej ściągniętej głodem niż zazwyczaj. — Sprawiłoby mi wielką radość, gdybym zamieniła ją w robaka i zgniotła. Nie wiem tylko, jak to zrobić. — Później wylała nieco wody na plwocinę, wzięła garść słomy i wytarła podłogę do czysta.

Dziewczynki po kolei korzystały z wyszczerbionego kubka. Ugasiwszy pragnienie ułożyły się do snu, tuląc się do siebie i obejmując ramionami, żeby dodać sobie otuchy.

Następnego ranka inny służący przyniósł im chleba i nowy dzbanek z wodą, a zabrał pusty. Nic do nich nie powiedział i nawet nie spojrzął w ich stronę.

— Proszę, powiedz nam, czy wiesz, dlaczego tu jesteśmy? — odezwała się Świerszczyk. — I co oni zamierzają z nami zrobić?

Mężczyzna odwrócił się. Sądząc po kolorze włosów i rysach twarzy nie był Alizończykiem, lecz nikt poza nim nie miał znać jego pochodzenia. Potrząsnął przecząco głową i pokazał na swoje usta.

— Uuunh, gahh, hhaah — wykrztusił.

— Obcięli mu język — powiedziała Płomyk. Jej słowa wstrząsnęły wszystkimi do głębi. Mężczyzna wyszedł powłócząc nogami i zamknął za sobą drzwi. Małe czarownice spojrzały po sobie. Ptaszynka wzdrygnęła się.

— Wolałabym raczej, żeby mnie zabili i ze mną skończyli — mruknęła.

— Nie mów tego! — twarzyczka Seplenisi była blada, ale dziewczynka podniosła rezolutnie głowę. — Nie chcę, żeby mnie zabito. Mój język nie działa bardzo dobrze, ale i tak nie chcę, żeby go obcięto. Chcę wrócić do domu.

— My też chcemy — odparła Płomyk. — Lecz wszystko wskazuje na to, że teraz nam się to nie uda. No dobrze, zjedźmy śniadanie. Myślę, że będę mogła trochę zjeść.

— Ja nie mogłabym — pokręciła głową Myszka.

— Lepiej zrobisz jedząc, — Gwiazdka już rozrywała bochenek na sześć mniej więcej równych kawałków. — Jeżeli teraz zwymiotujesz, nie będziesz miała sił. — Spojrzała na chleb i wyduła wargi. — Chciałabym, żebyśmy miały trochę tego straszego sera, który tak nienawidziłyśmy podczas podróży. No cóż, przynajmniej ten chleb jest smaczny. I świeży, dla odmiany.

Myszka odgryzła kawałek skórki i przekonała się, że jednak może jeść. Dziewczynki wy piły tylko po pół kubka wody, pamiętając ostrzeżenie niemiłej służącej. Może ta kobieta po prostu była podła i chciała je przestraszyć, musiały jednak założyć, iż mówiła prawdę. Jeżeli wody miało im starczyć do następnego ranka, nie mogły sobie pozwolić na łakomstwo.

— Będziemy musiały zrobić z tego zabawę. — oświadczyła Ptaszynka — udawać, że mamy racjonowaną wodę i zatrzymać ją w sobie tak długo, jak się da.

— Lubię zabawy. Ale ta niezbyt mi fię podoba. — Seplenisia uśmiechnęła się blado.

Raptem drzwi otworzyły się i weszło dwóch Alizończyków, tych samych co wczoraj. Ten, który zabrał Płomyk, wszedł do celi, drugi zaś stał przy drzwiach.

— No cóż, która z was pójdzie ze mną dzisiaj? — zapytał. Wziął się pod boki i patrzył na przerażone dziewczynki z pogardliwym wyrazem twarzy. — Co, nie ma ochotniczek? — Roześmiał się, ale nie był to miły śmiech. — W porządku, wybiorę jedną sam. I wybieram ciebie! — Odwrócił się i rzucił się na Myszkę tak nieoczekiwanie, że mimo woli podskoczyła i krzyknęła z zaskoczenia.

— Nie! Nie!

— O tak, tak. Moi panowie będą bardzo rozgniewani, jeżeli wrócę do nich bez jednej małej wiedźmy. A my nie chcemy, żeby tak się stało, prawda?

Myszka wpadła w złość.

— Nie obchodziłoby mnie to, nawet gdyby tak się na ciebie wściekli, że ścięliby ci głowę!

— Oho, ho, jesteście pełne werwy dzisiejszego ranka. No dobrze, to nieważne. Chodź. Nie mogą na nas czekać. — Mówiąc to chwycił Myszkę za ramię tak mocno, że pewnie zrobił jej siniaka. Wywłókł kopiając i szamocącą się dziewczynkę z izby. Drugi Pies zamknął drzwi na klucz i założył sztaby. — Złośliwa bestyjka — mruknął trzymający Myszkę Alizończyk, ssąc palec, w który go ugryzła. — Ty ją weź, Willigu.

Drugi mężczyzna wzruszył ramionami i roześmiał się widząc zmieszanie kolegi.

— Nie wiesz, jak z nimi postępować — powiedział. — Dotrzymuj tak jak ja towarzystwa wdowie, która ma dom pełen brzdąców, a każdy z nich jest dziesięć razy gorszy niż te wiedźmiątka razem wzięte, i będziesz wiedział, jak sobie z nimi poradzić. — Niedbale objął Myszkę w pasie i wsadził ją sobie pod pachę; jej kopniaki i uderzenia trafiały w pustkę. — Nic ci nie robi, jeśli wiesz, jak postępować.

— W porządku. Od tej pory ty będziesz nosił je tam i z powrotem — powiedział drugi Pies. — Ruszajmy.

Willig trzymał Myszkę tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Przestała się szamotać, żeby nie uderzyć głową o ścianę wąskiej klatki schodowej. Miała nadzieję, że Alizończyk postawi ją na nogi, gdy zejda na niższe piętro, żeby mogła złapać oddech, ale tego nie zrobił. Kątem oka dostrzegła jakiegoś mężczyznę. Szedł w ich stronę. Wydał się jej znajomy.

Dwaj gwardziści zatrzymali się nagle i ukłonili ze słowami:

— Panie baronie.

— Czy to jest ta mała wiedźma, którą wybraliście na dzisiaj? — Kiedy znalazł się w polu widzenia Myszkę, rozpoznała w nim mężczyznę, który siedział na krześle w jaskrawo pomalowanej komnacie. Ten, który wysłał po nie swoje Psy. Baron Mallandor. — Wszystkie są takie chude i brzydkie. Postanowiłem obserwować tę sesję. Chodźcie ze mną, Rhydenie, Willigu. Nie mitręźcie.

Ruszył pierwszy i poprowadził ich przez labirynt korytarzy i pokoi. Zbyt wcześnie znaleźli się przed odmiennymi od innych drzwiami. Myszka rozpoznała je natychmiast na podstawie opisu Płomyka. Były z metalu — albo z czegoś podobnego

do metalu — i były matowe i szare jak skóra dziwnej rasy zwanej Kolderczykami. Nic się w nich nie odbijało. Myszka znienawidziła je od pierwszego wejrzenia, instynktownie, tak samo jak Kolderczyków. Serce zaczęło bić jej jak młotem, a żołądek skurczył się ze strachu.

— Ty zapukaj — powiedział Pies imieniem Rhyden.

— Nie mogę — odrzekł jego towarzysz z nutą za dowolenia w głosie. — Ja mam wiedzmę. Ty zaś całą przyjemność.

Rhyden zaklął pod nosem. Potem odetchnął głęboko, zrobił krok do przodu, zebrał się w sobie i mocno zastukał i w drzwi. Myszcze wydawało się, że dotykał ich ze wstrętem. Dziwaczny materiał zdawał się pochłaniać dźwięki tak samo jak światło i Rhyden musiał zapukać dwukrotnie, zanim drzwi w końcu się otworzyły.

— Baronie. — Kolderczyk pochylił lekko głowę. — Robisz nam zaszczyt.

Mallandor wielkimi krokami wszedł do środka, Rhyden i Willig tuż za nim.

— Chcę zobaczyć, co tu się dzieje. Mój człowiek powiedział mi, że to, co robicie, omal nie zabiło pierwszej wiedźmy, a niczego nie wskóraliście. Musicie obchodzić się z nimi ostrożniej. Nie będzie łatwo dostać ich więcej. Na południu musieli zwiększyć czujność.

— Tak jak podczas każdego badania nieznanymi spraw, uczymy się po drodze — odrzekł Kolderczyk. Jego głos był tak monotony jak pokój, w którym przebywał. Nie było echa. Dziwny materiał pokrywający oddane Kolderczykom do użytku pomieszczenie rzeczywiście wchłaniał wszystkie dźwięki. — Czy tamto młode żyje?

— Tak — odrzekł Willig. — Tu jest następne, o które prosisz.

— Połóż je tutaj.

Myszka walczyła, chociaż wiedziała od Płomyka, że na nic się to nie zda. Willig położył ją, wcale nie delikatnie, na stole. Dwaj Kolderczycy trzymali już w pogotowiu więzy. Myszka dostrzegła przelotnie mapę, stół i siedzącego przy maszynie Kolderczyka, które opisała jej Płomyk. Potem nałożono jej na głowę metalowy czepek i zaciśnięto imadło na skroniach. Później zimną, lepką pastą przymocowano druty do jej ramion i nóg.

Dziewczynka nie spodziewała się jednak tego, co nastąpiło potem. Kolderczyk rozpiął jej sukienkę, a jego towarzysz dotknął jej brzucha drutem, który trzymał w ręku. Myszka krzyknęła i próbowała się odsunąć.

— Jeśli umieścimy go tutaj, wzmocni to przekaz — wyjaśnił Kolderczyk.

Posmarował lepką pastą drut. — Jeżeli to nie podziała, umieścimy następny na sercu. A później zaczniemy umieszczać je pod skórą.

— Czy to naprawdę konieczne? — zapytał Willig. Wydawało się, że to, co się dzieje, budzi w nim mimowolny wstręt.

Kolderczyk zwrócił ku niemu nieruchomą jak maska twarz.

— Twój pan tego żąda.

— A ja zaczynam myśleć, że to wszystko, to tylko strata czasu — odezwał się Mallandor. — Pretekst, aby torturować wiedźmy tak młode, że nie mogą się bronić. Mówiłeś, iż wiesz, co masz zrobić z tą pierwszą. Że to podziała i że nie będziesz potrzebował pozostałych.

— Zostawcie nas samych — wtrącił drugi odziany w szarą szatę Kolderczyk. — To, co robimy, to zupełnie nowa rzecz. Jeżeli mamy ujarzmić te, które łamią się, ale nie uginają, musimy eksperymentować.

— To mnie obciąża odpowiedzialnością. To moi gwardziści przywieźli je tutaj. To na moje życie będą nastawać.

— Ale po co eksperymentujecie na dzieciach? — Willig spochmurniał.

— Ponieważ są dziećmi — odrzekł pierwszy Kolderczyk. — Nie nauczyły się jeszcze sposobów, które pozwalają; ich rasie stawić skuteczny opór naszej mocy.

Kiedy zdołamy podporządkować sobie te dzieci, będziemy wiedzieli, jak1 zapanować nad dorosłymi. — Skinieniem głowy dał znak towarzyszowi i obaj odeszli do swoich tablic.

Wprawdzie w szarym pokoju gały wszystkie dźwięki, ale Myszka usłyszała, jak palce Kolderczyków musnęły guziki. Dobięł ją też słaby trzask zamykającego się przekaźnika. Później inny dźwięk napęłnił jej uszy, najpierw tak wysoki, że ledwie go słyszała, a następnie tak niski, że dosłownie czuła go w zębach. Zaciśnęła mocno szczęki i ból nieco zelżał. Szary pokój zawirował wokół i musiała zamknąć oczy. Wtedy zaczęła wirować razem z nim, by zginać na zawsze. Raz zdołała otworzyć usta do krzyk i przekonała się, że nie może wydać z siebie żadnego dźwięku. Piekielna kolderska maszyna ukradła wszystkie dźwięki świata nie pozostawiając jej żadnego i skupiła je wszystkie w szarym pokoju, i to ona biła w nią falami dźwięku, uderzając, waląc, zalewając; Myszka była pewna, że głowa jej pęknie. Zęby znów ją strasznie rozbolały i ponownie zaciśnęła szczęki. Brzuch jej napęczał od nieubłaganego ciśnienia. Wydawało się jej, że pęka, że skóra łuszczy się, odpada płatami i że wszystko w jej środku za moment wybuchnie, zacznie wirować i zagubi się, jak reszta świata...

Stopniowo zauważyła jeszcze coś. Skądś, wpleciony w fale dźwięków boleśnie uderzających w jej ciało, tak że bliska była utraty przytomności, dotarł do niej jakiś głos, odbijający się i wibrujący w jej wnętrzu. Słyszała go nie tylko uszami, ale zębami, kośćmi, krwią.

Ulegnij, ulegnij, nucił jękliwie. Poddaj się. To łatwe. Poddaj się i cała ta nieprzyjemność zniknie. Zaznasz, spokoju i zapomnisz o bólu. Zaznasz spokoju.

Nie, nie! — krzyknęła w myśli Myszka.

Tak, tak. Nie chcesz, żeby cię bolało, prawda? Więc ulegnij. Poddaj się. To takie łatwe. Takie spokojne.

Dziwny głos był łagodny, kusił, i mimo sprzeciwu dziewczyna poczuła, iż traci nad sobą kontrolę.

Łomot w głowie i ciele uspokoił się na kilka chwil. Skądś z oddali dobiegły niewyraźne męskie głosy. Zdawało się jej, iż dyskutowali o jej reakcjach równie beznamytnie jak o kawałku mięsa na rzeźnickim pieńku. Wszyscy z wyjątkiem tego, który ją niósł — już nie pamiętała, jak miał na imię, zapomniała też, jak sama się nazywa — tego, który zaprotestował i teraz wydawał się ucieleśnieniem dobroci. Jak inny gwardzista, który był dla niej taki dobry podczas podróży do Alizonu. Słyszając ich głosy zdała sobie sprawę, że kolderska maszyna tak naprawdę nie ukradła wszystkich dźwięków świata, żeby posłużyć się nimi jak bronią i cisnąć nimi w nią. To tylko tak jej się wydawało. Nic dziwnego, że szary pokój sprawiał wrażenie takiego cichego i bez życia. Wszystkie dźwięki były tutaj. Znajdowała się wewnątrz bańki pełnej dźwięków i rozmawiający teraz o niej mężczyźni nawet nie wiedzieli, co się dzieje w środku.

Kolderczycy znowu zaczęli manipulować przy tablicach i dziewczynka zamknęła oczy. Niesamowity łomot znów ją zalewał, pochłaniał, i kuszący głos jął powtarzać swoją litanię. Ulegnij, poddaj się. Zaznasz spokoju. Nie będziesz już czuła bólu...

Druty parzyły ją tak samo jak zaciśnięte wokół głowy imadło. Miała wrażenie, że mózg jej się gotuje w czaszce. Zaciśkała mocno powieki w obawie, że wybuchną jej oczy. Dźwięk znów ścichł. Czuła się tak pusta w środku, że nie mogła nawet płakać.

Jakby z innej strony dobiegł ją drugi głos.

Nie, nie zdoła wytrzymać trzeciego ataku. Walczyła więc co sił, żeby go zablokować. Wtedy jednak zdała sobie sprawę, że głos ten nie uderzał w nią z zewnątrz z pokoju, raczej zdawał się dochodzić gdzieś z jej własnego wnętrza. Nie słyszała go wcale podczas pierwszego ataku, może nie usłyszałaby go i podczas

drugiego, gdyby Kolderczycy nie złagodzili go na chwilę, tak że zdołała zebrać resztki sił. Jak długo do niej przemawiał?

Trzymaj się, powiedział cichutki głosik. Trzymaj się. Przypominał jej trochę głos Pszczoły, Liścia i zarazem Najwyższej Strażniczki. I bardzo przypominał jej mamę, a to przecież było niemożliwe. Myszka zaczęła słuchać go uważniej.

Możesz to zrobić, stwierdził dziwny głos. Możesz nie dopuścić, żeby zniszczyli twoją wewnętrzną istotę, nie pozwolić, by ją spalili i pozostawili tylko pustą skorupę, którą wykorzystają w swoich okropnych celach.

Ale jak mogę to zrobić? — zapytała Myszka. Nie rozumiem.

Tak, rozumiesz, w głębi swojej istoty.

Nie rozumiem, poskarżyła się Myszka. Jestem przecież małą dziewczynką. Mam tylko sześć lat. Boli mnie wszystko i jest mi niedobrze. Chcę do domu.

Trzymaj się. Po prostu się nie poddawaj.

Myszka jednak wiedziała, że nie wytrzyma. Następnym razem, pomyślała, następnym razem zrobię, czego ode mnie chcą. Może Gwiazdka mogłaby ich pokonać, przecież jest taka silna i mądra, ale ja nie zdołam. Ulegnę ich woli i to będzie koniec mojej istoty. Wtedy naprawdę zginę. Nie mam już sił. Jeżeli znów rozpoczną, nie wytrzymam nawet minuty.

Zacisnęła mocno zęby, żeby dodać sobie odwagi. Bolały ją szczęki. Mogła tylko nie otwierać oczu i zbierać się w sobie w oczekiwaniu na następny atak gigantycznych fal dźwięku. Niejasno cieszyła się, że jej siostram — Świerszczykowi, Ptaszynie, Gwiazdce, a zwłaszcza Seplenisi — zostanie oszczędzona ta męka, że Kolderczycy uzyskali to, co chcieli, nie zadając im bólu. Na samą myśl o straszliwych drutach wetkniętych pod skórę Seplenisi... Seplenisia umarłaby, nawet jeszcze przed atakiem niesamowitych dźwięków. Niech powrócą, pomyślała Myszka. Niech powrócą teraz. Mam nadzieję, że kiedy przestanę istnieć, nie będzie mnie bardzo bolało.

Ale oczekiwany atak nie nastąpił. Ubrani na szaro mężczyźni pochylali się nad nią. Zimne palce rozwiązały rzemienie krępujące jej członki. Przeszył ją ostry ból, kiedy zaczęli odrywać druty przyklejone do jej ciała. Uniosła lekko powieki i zobaczyła, że ktoś — tak, ten dobry — zapiął znów jej sukienkę i wziął ją na rękę.

— Odnieś ją — odezwał się jeden z Kolderczyków. W jego głosie nie wyczuła zawodu, był bowiem całkiem beznamiętny. — Jutro użyjemy następnej. Do czasu kiedy przebadamy je wszystkie, pierwsza wróci do siebie na tyle, że będziemy mogli znów na niej eksperymentować.

— Tak, ale zrobicie to beze mnie. — To powiedział baron Mallandor. Myszka czuła zawroty i ból głowy, zbierało się jej na torsję, ale mogła znowu myśleć. Dziwne. Baron Mallandor przemówił takim tonem, jakby i on chciał wymiotować. — Nie mogę patrzeć na torturowanie dzieci, nawet jeśli są to estcarpiańskie wiedźmy.

— Nasze doświadczenia nie wymagają twojej obecności.

— Dobrze. — Baron odwrócił się, a potem spojrzął na gwardzistę, który trzymał Myszkę. — No, na co jeszcze czekasz, Willigu? Słyszałeś. Zanieś dziewczynę do celi. Rhydonie, każ posłać im dziś wieczorem resztki z mojego stołu.

— Tak, panie — odrzekł Rhyden. Myszka dostrzegła przelotnie jego twarz i zrozumiała, że nawet nim wstrząsnęło to, czego był świadkiem.

Willig. Tak miał na imię mężczyzna, który niósł ją teraz przez labirynt korytarzy do pokoju, gdzie czekały z niepokojem jej siostry. Był dobry. Tym razem niósł ją w ramionach, a nie pod pachą jak worek siana. Tak mógłby ją nieść tata.

Kręte schody sprawiły, że zawroty i ból głowy stały się nie do zniesienia. Porwały ją mdłości, nie mogła nad nimi zapanować. Pomimo wszelkich wysiłków i wstydu, zwymiotowała na mundur Williga.

Rozdział dziewiąty

I

Uwięzieni Estcarpianie szybko ochłonęli, ocenili swoje położenie i oszacowali to, co im pozostawiono. Nie mogli tracić czasu na pobyt w celi więziennej, mimo że Eirran nie widziała możliwości ucieczki. Cella znajdowała się zbyt głęboko, a kraty i zabezpieczenia były zbyt mocne.

— Zabrali nam broń, ale przynajmniej mamy nasze kolczugi — powiedział Loric.

— Dodadzą nam ciężaru, kiedy Alizończycy będą nas wieszać — skomentował kwaśno Ranal. — Kto wie, czy Girvan nie kłamał nam przez cały czas i dziewczynek nie ma nie tylko w mieście Alizon, ale tym bardziej w tym zamku. Zdawał się dużo wiedzieć o planach Psów. Mógł nas sprowadzić na manowce.

— One muszą gdzieś tu być — powiedział z uporem Yareth. — To najsilniejsza alizońska twierdza, najbezpieczniejsze miejsce, w którym mogli je uwięzić. To właśnie tutaj ich adepci chcieliby otworzyć Bramę do świata Kolderczyków, używając do tego porwanych dzieci. Mojej córki.

Gwardziści siedzieli na słomie i opierali się plecami o kamienny mur. Eirran usadowiła się obok męża, rozkoszując się jego ciepłem i bliskością. Czkałka już jej nie dokuczała. Potarła policzek o jego rękaw.

— Jenys — wyrzekła cicho.

— Tak, masz racje — odpowiedział Hirl. — One są tutaj, założyłbym się o wszystko. Ale na co nam się zda ta wiedza, kiedy jesteśmy tutaj?

— Zda się po to, byśmy zaczęli układać prawdziwe plany ucieczki — odrzekł Weldyn.

Wszyscy podnieśli na niego wzrok. Aż do tej chwili nikt nawet nie wspomniał o ucieczce. Wydawało się, że uznali, że jest niemożliwa, tak jak uznała to Eirran.

— Jakie plany? — zapytał Hirl. — Chciałbym je usłyszeć. Wepchnęli nas tu tak szybko, że nawet nie jestem pewien, gdzie się znajduję, a co dopiero, gdzie są dzieci.

— Co do mnie, to przynajmniej wiem, gdzie jesteśmy — odparł Weldyn marszcząc brwi. — Zbyt dobrze. Przed laty znałem pewnego Sokolnika imieniem Ysher. Był moim towarzyszem, któremu bezgranicznie ufałem. Moim przyjacielem.

Yareth odwrócił się i spojrzał na Weldyna. Pozostali mężczyźni skinęli ze zrozumieniem głowami. W Estcarpie dobrze wiadano, że niektórych Sokolników często łączy bardzo mocna więź. Często bywało tak, że jeden z takich bliskich przyjaciół wyruszał na poszukiwania — człowieka lub czegoś innego — winnego śmierci najbliższego towarzysza, żeby go zabić lub zniszczyć. Weldyn mówiąc o Ysherze użył czasu przeszłego, oznaczało to więc, że sam niegdyś odbył taką wyprawę. Sokolnicy bardzo niechętnie opowiadali takie historie, więc wszyscy gwardziści słuchali bardzo uważnie tego, co członek znanego z małomówności plemienia postanowił im wyznać. Eirran również słuchała z zainteresowaniem, gdyż nagle zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziwnym i drażliwym człowieku.

— Działo się to na krótko przed Wielkim Poruszeniem — powiedział Weldyn — kiedy Sokolnicy połączyli swoje siły z estcarpiańską gwardią, pozostawiając Gniazdo i walcząc ramię w ramię ze wspólnym wrogiem.

Ysher i Weldyn służyli na pomocy Estcarpu, bardzo blisko granicy z Alizonem. Ich zadaniem było przeciwdziałać przenikaniu Alizończyków do Estcarpu i co jakiś czas

ratować szpiega uciekającego z Alizonu z bezcennymi informacjami dla Rady Czarownic.

Podczas jednej z takich potyczek z bandą Psów, Ysher dostał się do niewoli, jego sokół zginął, a sam Weldyn został ranny. Wprawdzie nie mógł przeszkodzić wrogom zabrać przyjaciela na północ, do miasta Alizon, ale uniknął jego losu, gdyż uznano go za martwego.

Ysher został wtrącony do tej samej celi, w której teraz znajdowali się przybysze z Estcarpu. Od czasu do czasu zabierano go z celi do jednego, a potem do drugiego budynku przylegającego do wewnętrznego dziedzińca, i przesłuchiowano. Robili to różni urzędnicy i sługi zmarłego barona Facelliana. Podczas tych chwil względnej swobody Ysher starannie notował w pamięci każdy szczegół budowli i fortyfikacji, stan murów oraz liczebność załogi w nadziei, że przeżyje, by przekazać te informacje Korisowi z Gormu, który był wtedy Kapitanem Gwardii Estcarpu.

Kiedy z czasem Alizończycy zorientowali się, że nic z niego nie wydobędą, wysłali go z grupą innych więźniów do portu Canis drogą biegnącą nad rzeką Alizon. Tam mieli zostać wydani Kolderczykom. Wrogowie Estcarpu chcieli wysłać Yshera na Gorm, zamierzali bowiem przekształcić go w jednego z pozbawionych duszy niewolników, zmusić go do walki z dawnymi przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Jednak w dwa dni po opuszczeniu miasta Alizon jeńcy zdołali pokonać strażników. Podczas zamieszania, które wtedy powstało, Ysher uciekł i, choć poważnie ranny, zdołał jakoś dotrzeć do granicy i zagrody, służącej gwardzistom jako baza. Tutaj, zanim umarł, opowiedział Weldynowi wszystko, co wiedział o fortyfikacjach zamku Ali żon.

— Przez te lata czekałem na okazję do zemsty — powiedział ponuro Weldyn. Podświadomie zacisnął pięści tak mocno, aż trzasnęły stawy. — Wiedzmy przyjęły informację Yshera, ale w tamtych ciężkich czasach zabrakło czasu i ludzi, by wysłać armię przeciwko alizońskiej twierdzy. Zresztą, lepiej się stało, że nasza kompania została odwołana do Es i wiedzmy posłużyły się czarami, żeby zakorkować Alizońską Przełęcz wtedy, gdy walczyliśmy z wrogami, którzy byli pod ręką. Później zaś mieliśmy jeszcze mniej żołnierzy i nie było już Korisa, który mógłby ich poprowadzić. Tak, znam to miejsce z opowiadań Yshera tak dokładnie, jakbym to ja, a nie on był tu więziony. — Podniósł oczy i sposepniał jeszcze bardziej.

— Dużo nam to da. Oni nas zabiją — odezwał się Dunnis. Wydawało się, że opuściło go pogodne usposobienie. — Miejmy nadzieję, iż zrobią to szybko i nie zechcą robić z tego widowiska.

— Gdybyśmy tylko mieli jakąkolwiek broń — wtrącił; Loric. Uderzył pięścią w rozwartą dłoń. — Ale zabrali wszystko, nawet nóż, który miałem schowany w bucie.

Światło wpadające przez dziurę w ścianie przyćmiło się | nagle i wszyscy podnieśli oczy. Wynurzył się z niej mały czarny kształt z białym V na piersi. Śpiewając sokołą pieśń, Śmiały Wojownik wylądował na podniesionej pięści Yaretha. Chwilę później wleciał Ostry Szpon i ulokował się na rękawicy Weldyna. Sokolnicy poczęli głaszać i pieścić swoje ptaki.

— O mądry i czcigodny skrzydlaty bracie! — powiedział Yareth. — Wiedziałem, że mnie odnajdziesz, o najlepszy i najmądrzejszy z sokolów! — Śmiały Wojownik zaskwirzył gniewnie i jego partner przemawiał do niego w sokolim języku tak długo, aż ptak się uspokoił i zaczął czyścić sobie pióra. Weldyn postąpił tak samo z Oстрыm Szponem, mówiąc do niego łagodnie i głaszcząc go. Jego sokół był młodszy i uspokojenie go zabrało więcej czasu niż w przypadku Śmiałego Wojownika. Sokolnicy wymienili spojrzenia, a potem wstali.

— Mamy teraz broń — rzekł ponuro Weldyn. — Możemy zaczynać.

Eirran spojrzała na nich. Broń? Te delikatne istoty z ciała i krwi? Ale jej małżonek

i Weldyn zachowywali się tak, jakby ich ptaki były godnymi przeciwnikami dla każdego żołnierza. Yareth i Weldyn tak bardzo różnili się od siebie, że rzadko zwracali się do siebie uprzejmie, nie mogli też być przyjaciółmi tak jak Weldyn i Ysher — nawet gdyby ona nie stała pomiędzy nimi. Sokolnik zawsze lepiej jednakże rozumiał drugiego Sokolnika niż ktokolwiek inny. Stanęli teraz po obu stronach drzwi z sokołami na pięściach, jakby na coś czekali.

— Wezwij strażnika, Eirran — powiedział Yareth.

W nagłym przebłysku zrozumienia, jakby porozumieli się myślą, Eirran pojęła, co zamierzają obaj Sokolnicy. I tylko ona mogła być przynętą, która zwabi dozorcę więziennego w pułapkę. Pomyślawszy przelotnie, że Weldyn musi teraz polegać na bezużytecznej — jak twierdził — kobiecie, omal się nie uśmiechnęła. Zerwała się na równe nogi, pociągając za sobą Dunnisa.

— Wy przekłeci barbarzyńcy! — wrzasnęła w stronę drzwi. — Czy nie wiecie, że kobiety i mężczyźni umieszczają się w oddzielnych celach?! Czy nie macie nawet odrobiny przyzwoitości? Zostaw mnie w spokoju, ty przekłety draniu!

Dunnis gapił się na nią, jakby straciła zmysły.

— Co ty robisz? — wyjąkał.

— Walcz ze mną! — szepnęła rozkazująco.

— Walczyć?! Ale, Kernonie, to znaczy, Eirran...

— Zrób to! Walcz ze mną! Hik! — Och, nie, tylko nie teraz! Znowu czknęła.

Dunnis bez przekonania dotknął jej ramienia, udając, że potrząsa nią lekko.

— Nie — powiedziała. — Zrób to tak, jak trzeba. — Z całej siły uderzyła go w twarz. Dunnis drgnął z zaskoczenia i dotknął ręką policzka. — Zrób to! — Kopnęła go, zaczęła go drapać, rzuciła mu się do oczu, próbowała gryźć.

Wreszcie zaczął odpowiadać na jej ataki. Musiał to zrobić, inaczej mogłaby go naprawdę zranić. Odepchnął ją, a ona znów gwałtownie go zaatakowała.

— Posłuchaj no... — zaczął.

— Nie mam zamiaru! Walcz ze mną!

— Ja to zrobię, Eirran — wtrącił Ranał i podszedł do pary stojącej naprzeciw siebie na środku celi.

— Doskonale! Dwóch, to będzie jeszcze lepiej! Dunnis zrozumiał w końcu, czego Eirran od niego żądała. Złapał ją za ramiona, a Ranał chwycił za szyję. Cała trójka już walczyła zaciekle, gdy strażnik w mundurze otwierał drzwi.

— Przestańcie, przestańcie, przestańcie natychmiast! Pani, umieścimy cię gdzie indziej...

Dwa czarne sokoły rzuciły mu się do twarzy. Uchylił się instynktownie, osłaniając oczy rękami i na oślep wszedł do celi. Weldyn i Yareth uderzyli jednocześnie i Alizończyk osunął się na podłogę. Zabili go szybko i wprawnie.

— Klucze — powiedział z zadowoleniem Yareth. Zdjął kółko z kluczami z pasa dozorczy.

— Sztylet i pistolet strzałkowy — dodał uradowany Weldyn. Podał sztylet Yarethowi i obejrzał pistolet. — Mało amunicji i brak zapasowych magazynków. W dodatku brudny. Powinien jednak wystarczyć, aż zdobędziemy więcej broni.

Nikt nie musiał mówić Eirran, że broń się zabierze następnym zabitym przez siebie Psom. Spojrzała na Dunnisa. Na jego policzku dostrzegła ślad swoich palców.

— Przepraszam — powiedziała.

— To ja powinienem przeproszać — odrzekł szarmancko. — Za późno rozumiałem.

Pozostali mężczyźni skupili się przy drzwiach, gotowi do działania.

— Co dalej? — spytał Loric.

— Opuścimy to miejsce — rzekł Yareth.

Niosąc swoje ptaki na pięściach, Sokolnicy ruszyli do drugiej części więziennego podziemia wieży. Weldyn powiedział, że więzienie było dobrze umocnione i Alizończycy zawsze pilnowali go niedbale. Strażnik, którego zabili, musiał być jedynym, który pełnił tu służbę. Siedmiu mężczyzn i Eirran w milczeniu wspięło się po drewnianych schodach i przeszło przez wąski korytarz. Sokoły poruszyły się gniewnie, gotowe do walki. Wydawały cichy skwir.

— Mam nadzieję, że szliśmy tędy — szepnął ktoś. Był to Hirl.

— Tak — odrzekł Weldyn. — Do celi, którą opuściliśmy, prowadzi tylko jedna droga przez mały tunel w ścianie, który zaczyna się we framudze okna w Wielkiej Sali. Ysher nie miał co do tego wątpliwości. Nikt nie powinien wiedzieć, że najgłębsza część tej wieży w ogóle istnieje. Baron wydawał wyrok, a więzień znikał na zawsze i cześć.

Doszli do drzwi. Yareth otworzył je ostrożnie i trochę odsunął zasłonę. W Wielkiej Sali zauważył tylko jedną osobę, służę zmiatającego brudną trzcinę z podłogi, żeby rozesać świeżą, która leżała na długim stole. Weldyn szybko wycelował z pistoletu strzałkowego ponad ramieniem Yaretha. Rozległ się syk i mężczyzna osunął się na podłogę. Estcarpianie jeden po drugim ostrożnie wyszli z wąskiego korytarza, omijając ciało zabitego. Sługa, który sądząc z wyglądu nie był Alizończykiem, leżał na plecach. Na jego twarzy zastygł grymas zdziwienia. Usta miał otwarte.

— On był nie uzbrojony! — powiedziała Eirran. Uklękła przy zwłokach szukając oznak życia.

— Mógł podnieść alarm. — Weldyn spojrzał na nią zimno.

— Nie był naszym wrogiem. Nie miał języka.

— Hmm. — Sokolnik szturchnął zabitego butem. — Przypuszczalnie gdzieś go schwytali. Szkoda, ale nic już na to nie można poradzić. — Przyjrzał się uważnie pistoletowi, prychnął z oburzeniem i upuścił go obok zabitego. — Czy ci Alizończycy nigdy nie czyszczą swojej broni? Pistolet zaklinował się i nie nadaje się do użytku. Yarecie? Idziemy.

Obaj Sokolnicy szybko przeszli przez Wielką Salę. Weldyn skierował się do dalszego wejścia. Był bezbronny i musiałby dłużej czekać na pomoc.

Przynajmniej nikt nie może oskarżyć go o tchórzostwo, pomyślała Eirran. Wolałabym wszakże, żeby nie zabijał tego biedaczyny.

— Wewnętrzny dziedziniec jest tam, za tamtym murem — powiedział Weldyn. Wszyscy pośpieszyli do miejsca, w którym stał, i stłoczyli się, by rzucić okiem przez lekko uchylone drzwi. — Będziemy musieli przebyć otwartą przestrzeń, zanim dotrzemy do bramy. Ale właśnie tam więżą porwane dzieci. Chyba się nie mylę. To najlepiej ufortyfikowana część zamku. Tam też znajduje się kwatera barona Mallandora.

Mur rozdzielający wewnętrzny i zewnętrzny dziedziniec był równie mocny jak inne mury zamku Alizon, z osobną bramą. Bramy zaś strzegła wieża. Oprócz bramy dostrzegli otwarte podwójne drzwi.

— Sądząc po zachowaniu mojego żołądka, jest południe. Gwardziści zapewne są w środku i posilają się — powiedział Hirl.

— Tak — dodał Loric pocierając brodę. — A jeszcze więcej ich jest w tej wieży. Ucieczka nie będzie łatwa.

Alizońscy gwardziści kręcili się po wewnętrznym dziedzińcu wykonując swoje obowiązki albo zajęci własnymi sprawami. Jakaś grupa kierowała się do koszar po drugiej stronie dziedzińca. Żołnierze rozmawiali ze sobą. Najwyraźniej szli na południowy posiłek. Estcarpianie czekali cierpliwie, aż zewnętrzny dziedziniec opustoszeje.

— Znajdź Jenys — szepnął Yareth do Śmiałego Wojownika i wypuścił go.

Sokół pomknął w górę. Przez chwilę sprawiał wrażenie oszołomionego. Przeleciał tam i z powrotem pod olbrzymimi kamiennymi łukami podtrzymującymi dach Wielkiej Sali, jakby szukał drogi. Później wybrał kierunek. Zaskwirzył i rzucił się stronę drzwi, za którymi stali uciekinierzy. Weldyn otworzył je w ostatniej chwili i ptak nie uderzył w nie. Estcarpianie wybiegli z budynku co sił w nogach.

Kiedy pędzili przez dziedziniec, Eirran zdała sobie sprawę, że to, co uważali za wieżę, było w rzeczywistości obudowaną studnią. Jakimś cudem siedmiu mężczyzn i jedna kobieta dopadli wewnętrznej bramy nie zauważeni przez nikogo.

Jenys! — zawołała w myśli Eirran. Jenys, idę do ciebie. Trzymaj się. Mama już idzie.

Czterech Alizończyków, siedzących w wartowni przy bramie, podniosło wzrok. Jeden właśnie otwierał jakiś koszyk. Ostry Szpon rzucił się na najbliższego gwardzistę, który runął na ziemię, zaatakowany równocześnie przez Hirla. Dunnis i Ranał pokonali drugiego. Weldyn zaś, jakby szukając satysfakcji za zepsuty pistolet strzałkowy, zwarł się z trzecim.

Yareth stał się z czwartym, stal ze stałą. Eirran przyglądała się czując, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Tak długo nie walczył... Alizończyk napierał i Sokolnik musiał się cofnąć. Przeciwnik skoczył na niego, pewny zwycięstwa. Eirran krzyknęła. Lecz Yareth w ostatniej chwili zrobił unik i miecz Alizończyka przemknął obok, a jego właściciel nadział się na sztylet Sokolnika. Yareth i Eirran wymienili spojrzenia i młoda kobieta odetchnęła z ulgą.

Hirl wstał uśmiechając się szeroko z mieczem i sztyletem swojego przeciwnika w dłoni i napotkał triumfujący wzrok Weldyna, który także zwycięsko zakończył bój.

— Dobrze się spisałeś — powiedział Sokolnik i Hirl, słysząc tak rzadką pochwałę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Mamy tu nie tknięty koszyk z chlebem i mięsem — odezwał się Dunnis. — Mogę jednocześnie jeść i walczyć, i nie jestem aż tak dumny, żeby nie zjeść tego, co pozostawiły Psy z Alizonu.

— Nie mieliśmy nic w ustach od ostatniej nocy — przytaknął Weldyn. — Jedz, ale pośpiesz się.

Jeden przez drugiego zaczęli sięgać do koszyka z jedzeniem, biorąc tyle, ile mieściło im się w rękach.

— Nie! — zawołała Eirran. Mężczyźni odwrócili się i utkwili w niej wzrok. — Dzieci — powiedziała. — Mogą być głodne.

— Masz rację — odrzekł Dunnis. Włożył swoją porcję z powrotem do koszyka. — Zaniesiemy to do nich. — Uśmiechnął się lekko do żony Yaretha. — Jak na piknik.

Yareth szybko rozdzielił zdobytą broń. Teraz mieli cztery miecze i pięć sztyletów. Eirran ścisnęła w rękę otrzymany sztylet. Później, zachowując niezbędną ostrożność, pośpiesznie wyszli z bramy. Śmiały Wojownik gdzieś zniknął.

Weldyn powiedział coś do Ostrego Szpona, który wzbił się w powietrze.

— Zaczekaj! Nie trzeba! Przywołaj go z powrotem! — powiedziała nagle Eirran. Mężczyźni zwrócili ku niej głowy. — Ja... ja słyszę Jenys!

— To niemożliwe — zaprotestował Weldyn, ale przywołał gwizdnięciem sokoła, który znów usiadł mu na pięści.

— Jednak ja ją słyszę — upierała się Eirran. — Znam drogę.

— Wierzę ci — odrzekł Yareth. — Którędy?

— Są w budynku na przeciwległym krańcu dziedzińca. I wysoko, bardzo wysoko.

Weszli do pierwszych drzwi i natknęli się na kolejną grupę Psów, którzy zdawali się wędrować czwórkami po zamku. Eirran zgięła się pod ramieniem Alizończyka i zagłębiła sztylet w jego piersi, zanim zdołał zareagować na jej atak. Szybko, w milczeniu, Estcarpianie pokonali pozostałych Psów, dodając ich oręż do tego, który

już zdobyli. Eirran oczyściła swój sztylet z krwi i zatknęła go wraz z bronią swego przeciwnika za pas. Potem podniosła jego miecz. Nawet gdyby pozostali gwardziści nie byli jeszcze uzbrojeni, nikt — nawet Weldyn — nie zakwestionowałby jej prawa do tego brzeszczotu. Kiedy tak trzymała go w ręku, sprawiał wrażenie dobrego, solidnego i dodawał jej otuchy.

— Chodźmy, zanim ktoś jeszcze nas znajdzie — powiedziała.

— Cicho! Posłuchajcie — powstrzymał ją Yareth. Gdzieś z oddali dobiegł ich cichy skwir i odgłosy uderzeń.

— Śmiały Wojownik jest zdecydowany na wszystko, prawda? — spytał Weldyn.

Eirran patrzyła na niego niedowierzająco. Czyżby ten surowy Sokolnik zdobył się na żart?

— On kocha Jenys — odrzekła. — Przebiłby się przez grube drzwi, żeby do niej dotrzeć.

— Zdaje się, że właśnie to robi. — Weldyn podniósł zdobyty miecz. — Chodźmy.

Na pierwszych krętych schodach spotkali jeszcze dwóch Psów.

— Zbiegli więźniowie! Biegnij po pomoc! — krzyknął! ten, który był bliżej. — Zatrzymam ich tutaj!

Jego towarzysz odwrócił się i pobiegł w górę co sił w nogach. Weldyn, który przepchnął się na czoło, nie mógł go gonić, gdyż przeszkadzał mu w tym centralny filar. Schody te zostały zbudowane w taki sposób, że obrońca mógł swobodnie robić mieczem.

— Podsadź mnie! — krzyknął Yareth.

Weldyn natychmiast zbiegł po schodach w dół w stronę przeciwległej ściany. Yareth wskoczył mu na ramiona, a wtedy Weldyn wstał, rzucając swojego współplemieńca prosto na] zaskoczonego obrońcę. Pies upadł i Yareth przeskoczył przez niego w pościgu za drugim Alizończykiem. Po chwili obaj leżeli martwi. W ich sercach tkwiły miecze Sokolników. Weldyn uśmiechając się szeroko spojrzął na Yaretha.

— Widzę, że nie zapomniałeś wszystkiego, pomimo... wiesz czego — powiedział lekko zdyszonym głosem.

Eirran minęła go. Nigdzie nie widziała Śmiałego Wojownika. Później usłyszała gniewny syk, skwir sokoła i odgłos szponów drapiących drewno. Pobiegła w stronę, skąd dobiegały te dźwięki. Korytarz kończył się parą drzwi — jedne, jak przypuszczała, prowadziły na zewnętrzny mur i drózkę wartownika. Drugie zaś — do kolejnych, krótkich i krętych schodów, nieco węższych niż pierwsze. Kończyły się zamykanymi na sztabę drzwiami na samym szczycie wieży. Śmiały wojownik rzucał się na te drzwi, uderzając a w nie raz po raz. Stos wiórów na małym podeście świadczył o zaciekłości jego ataków.

— Śmiały Wojowniku! — Sokół niechętnie wrócił na pięść Yaretha. — Weź klucze — powiedział Sokolnik do Eirran podając jej pierścień z kluczami, który zabrał zabitemu dozorczy. Wolną ręką niezdarnie spróbował podnieść sztabę i Eirran podbiegła, by mu pomóc.

— Myślisz, że któryś klucz będzie pasował? — spytała.

Dunnis stał na schodach tuż za Yarethem. Podest był taki maleńki, że nie mogli się na nim zmieścić. Uśmiechnął się szeroko,

— Czemu nie? — odrzekł. — Jest tylko tyle kluczy i nie może być więcej zamków. Wypróbuj je.

Eirran już spróbowała wsadzić pierwszy klucz do zamka. Nie pasował. Wsadziła drugi, a potem trzeci.

Dopiero czwarty klucz przekręcił się z lekkim zgrzytem i zamek otworzył się niechętnie. Eirran szarpnęła drzwi. Gromadka szarych, widmowych dzieci kulila się

na kupie słomy w rogu pomieszczenia. Były śmiertelnie przerażone. Śmiały Wojownik wleciał do celi, skwirząc triumfująco. Obdarte szare istotki uchyliły się, pisnęły, i rozpierzchły jak kurczęta. Śmiały Wojownik wleciał nad ich głowami, a potem usiadł na oparciu kulawego krzesła i zaczął gładzić dziobem pióra.

— A nie mówiłam wam? — odezwał się jeden z duszków. — Wszystkie jesteście takie głupie! Nie chciałyście mi wierzyć!

Inny duszek złapał swojego sąsiada za ręce i zaczął tańczyć w koło.

— Ona nam powiedziała, ona nam powiedziała! — zaśpiewał, po czym zmienił słowa piosenki. — Jesteśmy uratowane, jesteśmy uratowane!

Pole widzenia Eirran zwięzło się nagle. Widziała wyraźnie tylko jedno z dzieci, to, które pierwsze się odezwało.

— Jenys! — zawołała. Kilkoma krokami przebiegła przez celę, rzuciła się na kolana i przyciągnęła do siebie córkę. — Och, Jenys, co oni ci zrobili? Co oni zrobili z wami wszystkimi? Jesteście takie brudne! I takie chude!

Tuliła i całowała Jenys, jakby nie mogła przestać. Pozostałe dziewczynki, nawet te, które tańczyły z radości, otoczyły ją i każda usiłowała jej dotknąć, objąć ramię, plecy, szyję. Robiły to tak gwałtownie, jakby chciały wyssać z niej wszystkie siły vitalne. Eirran szeroko rozwartymi ramionami też próbowała je wszystkie objąć. Jedna z dziewczynek chwyciła jej nogę, trzymając w ustach kciuk.

— Och, mamó — powiedziała słabym głosem Jenys. — Bałam się, że nigdy tu nie trafisz.

— Ale jestem. I teraz zabierzemy was z tego strasznego miejsca. — Wstała, wzięła córkę za rękę, postawiła ją na nogi i ruszyła w stronę drzwi. Jenys zwiśla bezwładnie i upadła. — Co się stało?! — zawołała.

— Ona jeszcze nie może chodzić — powiedziała jedna z dziewczynek. — Płomyk też nie może, w każdym razie nie może chodzić szybko.

Eirran zatrzymała się i przyjrzała uważnie córce. Dopiero teraz zauważyła przerażające ślady na jej skroniach.

— Co oni ci zrobili?!

Jenys skrzywiła się i po raz pierwszy była bliska łez.

— Oni sprawili mi ból, mamó — szepnęła.

— Kto to zrobił?

— Mężczyźni. Mężczyźni w szarym.

— Oni są Kolderczykami — wyjaśniła dziewczynka, która tańczyła ze swoją przyjaciółką. — Ja nazywam się Gwiazdka. Mogę powiedzieć ci, pani, wszystko, co chcesz wiedzieć.

Do tej pory wszyscy Estcarpianie zgromadzili się w tym wątpliwym schronieniu, jakim było pomieszczenie, w którym Alizończycy uwięzili małe czarownice. Hirl stanął na straży przy drzwiach, na wypadek gdyby któryś z Psów tu zajrzał.

— Jesteście głodne? — spytała Eirran. Odpowiedział jej głośny chór „ochów”. Widząc, jak dzieci rzuciły się na jedzenie, ucieszyła się jeszcze bardziej, że zachowała dla nich posiłek alizońskich gwardzistów.

— Mięso — powiedziała Seplenisia. W jej głosie brzmiało tak głębokie zadowolenie, że Ekran zrozumiała, iż porwane dzieci od bardzo dawna nie były należycie karmione.

Podczas jedzenia Gwiazdka, okazując nadzwyczajną przytomność umysłu, opowiedziała szybko o wszystkim, co im się przytrafiło, poczynając od porwania, poprzez podróż, aż po doświadczenia Płomyka i Myszki w zamku...

Myszka? — pomyślała z konsternacją Eirran. Och, chyba ma na myśli Jenys.

— Oni chcą znaleźć sposób na podporządkowanie sobie całej Starej Rasy i zrobić z nas swoich niewolników. Myśleli, że jeśli posłużą się dziećmi, dowiedzą się, jak nas

pokonać. Kolderczycy, a nie Alizończycy. — Gwiazdka skrzywiła się.

— Myśleliśmy, że Alizończycy zamierzali posłużyć się wami, by podjąć próbę otwarcia nowej Bramy do świata Kolderczyków — odezwał się Loric. — Girvan tak nam powiedział.

— Girvan — powtórzył z oburzeniem Ranal. — Alizończyk z krwi i kości. Szpieg Psów. Nie wiem, jak to się stało, że pozwolono mu wstąpić do gwardii Estcarpu.

— Opowiedział bardzo przekonującą historię — odrzekł Weldyn. — Przybył do Estcarpu ranny i powiedział, że Alizończycy próbowali go zabić jako zdrajcę, i na dowód pokazywał swoją ranę.

— I rzeczywiście był zdrajcą, ale nie takim, za jakiego go uważaliśmy. — Loric spochmurniał. — To bardzo złe nowiny. Żywi Kolderczycy w naszym świecie! Myślałem, że wszyscy zginęli, kiedy pan Simon zniszczył ich Gniazdo.

— Musieli tu stacjonować i stąd koordynowali alizońską inwazję na zamorskie krainy.

— Gdzie jest pokój, o którym mówiliście? — spytał Yareth.

Jenys i dziewczynka imieniem Płomyk zaczęły opisywać drogę. Wspólnie dostarczyły dostatecznie dużo szczegółów, żeby każdy mógł tam trafić.

— Co zamierzasz? — zapytał Loric.

— Właśnie się nad tym zastanawiam — odparł Sokół.

— No cóż, najpierw musimy zabrać stąd dzieci — oświadczyła Eirran. Nachyliła się, by wziąć na ręce Jenys.

— Nie, Eirran. Ja to zrobię — wtrącił Dunnis.

— To moje dziecko!

— Tak, ale sama powiedziałaś, że powinniśmy je stąd zabrać, a ja z nią będę i tak szedł szybciej od ciebie.

Żona Yaretha zagryzła wargi.

— Dobrze — odparła. Podała córkę Dunnisowi. W ramionach gwardzisty dziewczynka rzeczywiście sprawiała wrażenie kruchutkiej i słabej.

— Ja wezmę tę drugą, którą skrzywdzili Kolderczycy — rzekł Loric. — Nie obawiaj się, wydostaniemy jej z zamku.

— Och, my także możemy pomóc — wtrąciła śmiało dziewczynka imieniem Gwiazdka. — Znamy kilka sztuczek.

— To dobrze — powiedziała odruchowo Eirran, nie słuchając naprawdę.

Yareth i Weldyn wymienili spojrzenia i skinęli głowami na znak zgody.

— Hirłu, ty i Ranal pójdziecie z nimi — powiedział Yareth.

— Co? A wy nie idziecie?

— Za jakiś czas.

— Ale...

— Nie zwracaj sobie nami głowy. Dogonimy was za miastem. Wyprowadźcie tylko nasze konie, jeśli będziecie mogli.

Ranal zbladł lekko, zasalutował i rzekł:

— Możesz na mnie polegać. — I ruszył w stronę drzwi. Dziewczynki zaczęły protestować, nie chcąc pozostawiać swoich towarzyszek.

— Och, musimy pójść wszystkie razem! — zawołała Gwiazdka. — Jeżeli tego nie zrobimy, nie będziemy mogły...

— Musimy wykorzystać kolderskie zło tutaj, w zamku Alizon — wyjaśnił Yareth.

— Jeśli tego nie zrobimy, zagnieździ się gdzie indziej. Trzeba to zrobić i to my musimy tego dokonać.

Przeżona Eirran milcząco wpatrywała się w Sokolników. Co zamyślali? Osiągnęli cel. Teraz wszyscy powinni opuścić to miejsce, wykorzystując zaskoczenie, gdyż tylko ono zapewniało im nikłą szansę powodzenia. Dziewczynki tuliły się teraz do rąk

Hirla i Ranala, tak jak przedtem do Eirran. Śmiały Wojownik zerwał się z poręczy kulawego krzesła i wyleciał przez otwarte drzwi, jakby zamierzał towarzyszyć Jenys. Eirran odwróciła się, żeby pójść za nimi, ale Yareth położył jej rękę na ramieniu.

— To mogą być ostatni Kolderczycy, którzy pozostali w naszym świecie — rzekł.
— Musimy zniszczyć ich i ich maszynę.

Eirran zawahała się. Chciała pozostać ze swoim mężonkiem, ale pragnęła zarazem uciec z Jenys. Co powinna wybrać? Prawie zapomniała o Klejnocie Czarownicy, który w tejże chwili sparzył jej skórę. Jej ręka sama sięgnęła za pazuchę i wyjęła stamtąd czarodziejski kamień. Wpatrywała się w niego długi czas, szukając odpowiedzi w jego zamglonej szarej powierzchni. Lecz choć do niej nie przemówił, patrząc na niego zrozumiała, co musi zrobić. Pobiegła za Dunnisem i wcisnęła Klejnot do rączki Jenys.

— To może ci pomóc — powiedziała. — Znaleźliśmy go tam... w pobliżu miejsca, w którym zostańście pojmane.

Jenys spojrzała na Klejnot ze zdumieniem.

— Należał do Liścia — szepnęła.

Gwiazdka spojrzała na dziewczynkę trzymającą palec w ustach.

— Seplenisiu — spytała. — Czy możesz rzucać czary z tak wieloma?

— Tak — odrzekła tamta. — Myślę, że mogę to zrobić. W każdym razie próbuję. Ale fyftkie będziecie mufiaty mi pomóc.

Jakby w odpowiedzi na te słowa Myszka podniosła do góry Klejnot Liścia.

— To nam pomoże — oświadczyła. — A kiedy nie będziemy się nim posługiwać, będziesz mogła patrzeć z jego pomocą, Ptaszynko.

— Dziękuję.

Oszołomiona, nie rozumiejąc, o czym mówią, Eirran kolejno dotknęła każdej dziewczynki, głaszcząc jedną po policzku, mierzwiąc dawno nie czesane włosy drugiej. Pocałowała Jenys, czując, że serce jej pęka.

— Biegnijcie, te z was, które mogą — powiedziała. — Zostańcie z tymi mężczyznami i biegnijcie tak szybko, jak możecie!

— Nie niepokój się o nas — zapewniła ją Gwiazdka. — I nie niepokójcie się o siebie. Pomożemy wam na pewno. Obiecujemy to.

Dziewczynki wyszły za Lorikiem i Dunnisem z pokoju na szczycie wieży. Eirran słyszała tylko odgłosy ich kroków, gdy schodziły po schodach.

Zwróciła się do swego mężonka.

— Już raz pozwoliłam, żebyś mnie zostawił, i oboje drogo za to zapłaciliśmy. Teraz razem zniszczymy Kolderczyków i ich maszynę, i nie pozwolę, żebyś mi zabraniał — powiedziała gorąco. — My to zrobimy. Ty i ja.

— I ja — dodał Weldyn. Zmarszczył brwi patrząc na Eirran. — Dwóch Sokolników może walczyć z całą armią Psów, a co dopiero z trzema Kolderczykami, z których jeden zamknięty jest w ich maszynie kontrolującej ludzkie umysły. Ale ta kobieta...

— Ta kobieta jest matką jednej z dziewczynek skrzywdzonych przez te potwory — powiedziała głośno i wyraźnie. — Oni skrzywdzili też córkę innej kobiety i skrzywdziliby jeszcze więcej dzieci, zanim skończyliby swoją brudną robotę. Nie ma dla mnie nic ważniejszego. Muszę własnoręcznie ukarać ich za to, co zrobili. Weldyn uniósł brwi i rzekł ostro do Yaretha:

— Ja mam Ostrego Szpona, ty zaś Śmiałego Wojownika. Ale jeśli ta kobieta nalega na to, by nam towarzyszyć, ta... ta kobieta nie może liczyć na moją pomoc.

— Nie musisz się martwić o Eirran — odparował Yareth. — Ona umie troszczyć się o siebie, kiedy musi. — Zagwizdał. Śmiały Wojownik wleciał z powrotem do celi i usiadł na jego pięści.

Później we trójkę, z obnażonymi mieczami w dłoniach, zeszli wąskimi schodami i zaczęli przedzierać się przez labirynt korytarzy, szukając szarych drzwi, za którymi kryli się Kolderczycy.

Rozdział dziesiąty

I

Myszka otworzyła oczy. — Mama jest tutaj! — powiedziała zaskoczona.

— Śniło ci się, głuptasku — odrzekła na to Gwiazdka. — Wszystkie chcemy zobaczyć nasze mamy. Ale ich tu nie ma. Co się stało? Wyglądasz strasznie. Masz, napij się. — Przytknęła do ust Myszki butelkę.

Myszka przełknęła odruchowo płyn, spodziewając się wody. Ogień zalał całe jej ciało. Zakaszłała, rozpryskując ślinę i lzy napłynęły jej do oczu, ale kiedy palenie ustało, zdała sobie sprawę, że ten mocny napitek o nieprzyjemnym smaku sprawił, iż poczuła się trochę lepiej.

— Czy to jest spirytus? — zapytała.

— Tak. Dobrze się stało, że Alizończycy nam go dali. To dzięki niemu ty i Płomyk przetrzymałyście pierwszą godzinę po torturach, jakim was poddano. Chciałabym dać wam coś do jedzenia, ale jeszcze nic nam nie przyniesiono.

— I tak nie mogłabym nic zjeść. Słyszałam, że baron Mallandor rozkazał, żeby dano nam dziś wieczorem resztki z jego stołu.

— Och — powiedziała Seplenisia. — To byłoby takie fmaczne. Już tak długo nie jadłyśmy nic dobrego.

— Założę się, że baron dobrze jada — dodała Świerszczyk. Skrzywiła się i mówiła dalej: — Nigdy nie myślałam, że będę czekała, aż dadzą mi resztki ze stołu, lecz tak właśnie jest. I zjem je, wszystko.

— Czy mogę dostać trochę wody? — spytała Myszka.

— Tak. Ile tylko zechcesz. Zostawiłyśmy ją dla ciebie. Czy możesz nam powiedzieć, co się stało? — zapytała Gwiazdka.

— Myślę, że tak. — Myszka poruszyła się na posłaniu ze słomy, próbując usiąść. Ale głowa tak ją bolała i mdliło ją tak bardzo, że musiała znów się położyć. Oblizła wyschnięte wargi. Gwiazdka przyłożyła jej kubek z wodą do ust. Myszka nigdy w życiu nie skosztowała niczego równie smacznego. Czuła, jak woda wprost wsiąka w jej spragnione ciało. Wypiła jeszcze jeden łycalek, a Gwiazdka cierpliwie trzymała kubek tak długo, aż jej siostra zaspokoiliła pragnienie. — Oni prawie mnie pokonali — ciągnęła Myszka. — Prawie zmusili mnie do poddania. Byłam gotowa zrobić to, czego ode mnie chcieli. Ten dźwięk, te głosy...

— Jaki dźwięk? — zapytała Płomyk. — Ja nie słyszałam żadnego dźwięku ani żadnych głosów.

— A co czułaś? — wypytywała Świerszczyk.

— Wokół mnie było coś, czego nie mogłam zobaczyć. Myślę, że można to nazwać czymś w rodzaju nacisku. Jakby ktoś mnie ścisnął, bardzo mocno, i nie puszczał. Sprawiało mi to straszny ból. Myślałam, że wyciśnie ze mnie wnętrzności.

Seplenisia wyjęła palec z ust.

— I nie wiedziałam dlaczego? — spytała Płomyka.

— Nie.

— A ja wiedziałam — wtrąciła Myszka. — To także było wokół mnie i sprawiało taki sam ból, o jakim mówiłaś. I też nie widziałam co to takiego. Ale słyszałam, tak. Może czułyśmy to samo, tylko mówimy o tym w odmienny sposób. Czy czułaś to w uszach?

— Myślałam, że mi popękają

— Mnie również. Dlatego domyśliłam się, że to był dźwięk. Lecz ja naprawdę usłyszałam jakiś głos. Dwa głosy. Myślę, że stało się tak z powodu dodatkowego drutu.

— Jakiego dodatkowego drutu?

Myszka podniosła sukienkę i pokazała szerniałe miejsce na brzuchu.

— Tutaj. Przymocowali go tutaj. Powiedzieli, że następnej z nas przymocują drut na sercu. — Z trudem przełknęła ślinę, zastanawając się, czy wyjawic im wszystko, czy też nie. Trzymanie tego w tajemnicy na nic się nie zda. Lepiej niech wszystkie wiedzą, co je czeka; będą wtedy mogły przygotować się jak najlepiej. Nie wyświadczy im przysługi ukrywając przed nimi to, czego powinny się spodziewać. — Powiedzieli też, że jeśli drut na sercu nie pomoże, następnym razem wsadzą w nas te druty.

Zewsząd odpowiedziały jej okrzyki przerażenia.

— Co chcesz przez to powiedzieć?! — zawołała wstrząśnięta Ptaszynka.

— To znaczy w nas, pod skórę — wyjaśniła Myszka.

— Och, to bardzo by bolało! — Płomyk wyglądała na zaszokowaną tym, co usłyszała. — Znacznie bardziej niż to, co zrobili tobie albo mnie.

Seplenisia zbladła jak płótno i jeszcze mocniej ssała palec. Łzy napłynęły Myszcze do oczu.

— Oni nie wsadzą drutów w ciebie, Seplenisiu — powiedziała pośpiesznie. — Jeżeli wrócą i wybiorą ciebie, pójdę zamiast ciebie.

— Nie, nie ty. Ja — oświadczyła Świerszczyk.

— Nie, ja — zaprzeczyła Ptaszynka.

— Nie. Ja pójdę — oznajmiła stanowczo Gwiazdka. Myszka wzięła Gwiazdkę za rękę.

— Przez cały czas myślałam, że ty mogłabyś ich pokonać, nawet jeśli mnie by się to nie udało. No cóż, udało mi się tym razem. Może nawet nie musimy się tym martwić. Myślę, że ze mną było gorzej niż z Płomykiem. — Głowa jej pękała i zdawała sobie sprawę, że niewłaściwie dobiera słowa. A mimo to mówiła dalej, wiedząc, że choć źle przedstawia im sytuację, musi im to wytłumaczyć. — Może w inny sposób przekręcili tarcze albo coś takiego. Myślę, że następnej będzie jeszcze trudniej. A jeśli to prawda, osiągną to, czego chcą, nawet gdy wybiorą ciebie. Jeżeli jednak dopną celu, wtedy zostawią nas w spokoju.

— Albo nas zabiją — powiedziała Świerszczyk.

— Musimy znaleźć sposób, żeby pomagać sobie wzajemnie — ciągnęła Myszka.

— Myślałam już o tym. Wiecie, kiedy już miałam ulec, poddać się, usłyszałam inny głos...

— Tak, wspomniałaś o tym — wtrąciła Gwiazdka. — Jaki głos?

— Ktoś, będziecie się śmiać, ale przypominał mi moją mamę, ktoś mówił mi, żebym się trzymała. Więc to robiłam. Ale gdyby powtórzyli tę sztuczkę z drutami i dźwiękiem, nie dałabym rady, nie wytrzymałabym nawet minuty.

— Twoją mamę?! — odezwała się Ptaszynka. — To głupie. Twoja mama jest daleko, po drugiej stronie Estcarpu.

Myszka potrząsnęła przecząco głową i zaraz tego pożałowała. Zamknęła oczy i czekała, aż przestanie jej huczeć w głowie.

— Nie. Jest w pobliżu. Tak blisko, że mogę ją słyszeć.

— W takim razie ma naprawdę donośny głos — głos Świerszczyka brzmiał niemal tak ironicznie jak głos Ptaszynki.

— Powiedziała, że jej mama jest tutaj, kiedy się ocknęła — wyjaśniła im Gwiazdka. — Skąd wiesz?

— Mówiłam wam. Słyszę ją.

— W jaki sposób?

— W głowie. Mniej więcej tak. — Myszka skoncentrowała się i zaskoczona Gwiazdka aż podskoczyła.

— Jak to zrobiłaś? — zapytała.

— To łatwe — odparła Myszka. — Pokażę ci.

II

Wszystkie chciały się teraz nauczyć słyszeć myśli, same robić to, co Gwiazdka nazwała dotknięciem za pomocą umysłu. Myszka pokazała każdej po kolei i chichotały wypróbując to na sobie. Myszka poczuła się trochę lepiej, gdyż mając zajęte myśli zapominała o zawrotach głowy i mdłościach. Poza tym one także miały zajęcie. Niewola wydawała się taka straszna między innymi dlatego, że trzeba było beczynnie czekać.

Po krótkiej praktyce wszystkie dziewczynki mogły słyszeć się wzajemnie lepiej lub gorzej. Zmęczyło je to tak bardzo, jakby biegały i bawiły się przez wiele godzin. To było dziwne. Jak podsumowała to Ptaszynka, wydawało się im, że nie tyle uczą się czegoś nowego, ile raczej przypominają sobie coś, co dawno zapomniały.

Odпочywały potem jakiś czas, siedząc w milczeniu. Z dołu docierały do nich odgłosy z płynących rzeką łodzi. Myszka zapragnęła znaleźć się na łodzi i odpłynąć daleko, bardzo daleko od tego miejsca.

— Kiedy byłam mała, mama nigdy nie pozwalała mi mieć kotka, z którym mogłabym się bawić — powiedziała nieśmiało Płomyk. Zamknęła oczy i położyła się na zaimprovizowanym posłaniu. — Dlatego robiłam dla siebie kotka z gliny. Myślałam o nim bardzo intensywnie i na jakiś czas stawał się prawdziwą kicią. Zawsze tak dobrze się bawiliśmy. A potem znów stawał się gliną.

— A mogłabyś zrobić to teraz? — chciała wiedzieć Ptaszynka.

— Mogę spróbować, ale nie mam gliny. Musiałabym posłużyć się słomą.

— Och, spróbuj, proszę! — zawołała Świerszczyk. Dziewczynki patrzyły zafascynowane. Płomyk usiadła i zaczęła zbierać źdźbła słomy, zrobiła z nich pakunek i związała go szarymi nitkami wyciągniętymi z sukienki.

— To będzie tułów kotka — oznajmiła. Dziewczynki skinęły głowami ze zrozumieniem.

Zachęcona tym Płomyk zrobiła potem cztery mniejsze wałki — nogi — i przymocowała je do tułowia. Przywiązawszy z jednej strony okrągławy tłumoczek, który miał przedstawiać głowę, wetknęła z drugiej źdźbło zamiast ogona. Na końcu zawiązała na szyi kokardkę z paska tkaniny.

— No cóż — powiedziała przyglądając się krytycznie swojemu dziełu — lepszego nie zrobię. Zobaczymy, co się teraz stanie.

Zamknęła oczy i zaczęła myśleć tak intensywnie, że Myszka to widziała. Odetchnęła głośno przez nos. Myszka patrzyła zafascynowana. Płomyk zbladła i zawahała się.

— Ja... ja nie mogę — wykrztusiła. — Jeszcze jestem za słaba...

— Ja ci pomogę — zaproponowała Gwiazdka. Wyciągnęła rękę do Płomyka i Myszka zobaczyła — albo tak jej się wydawało — że jakaś iskierka, błysk czegoś przeskoczył od Gwiazdki do Płomyka. Płomyk wzięła głęboki oddech i nagle stanął przed nimi na chwiejnych nogach kotek. Nie był ładny, a jego sierść była dziwnie żółtobura, ale wyglądał jak prawdziwy.

Myszka nagle zatęskniła za Łowcą, który czasami spał z nią w łóżku w Blagden.

— Och! — szepnęła. — Czy mogę go dotknąć? Pogłaskać?

— Oczywiście — odpowiedziała Płomyk. — Wszystkie możecie się z nim bawić, jeżeli nie zrobicie mu krzywdy. Nie wiem, jak długo pozostanie kotkiem.

Podąła czarodziejskie stworzonko Myszcze, która przytuliła je do siebie. Kotek zamruczał, patrząc na nią żółtawymi oczami, i otarł się o jej palce. Później polizał jej rękę. Różowy języczek był równie szorstki jak futerko.

— Daj mi go trochę potrzymać — powiedziała Seplenisia i Myszka niechętnie oddała jej kotka. — Jak fię maf, kotku. Jak fię nazywaf?

Dziewczynki głąskały zwierzątko i kusiły je źdźbłami słomy, żeby się z nimi bawiło. Zaczarowany kotek tańczył i mrucał uszczęśliwiony, przeskakując od jednego dziecka do drugiego, bawiac się ze wszystkimi jednocześnie. Ale czar nie mógł trwać długo. Kiedy Płomyk miała wziąć kotka, rozpadł się na kawałki, zamieniając znów w kłębek słomy. Rozwiązała więc nitki i pozwoliła słomie opaść na podłogę.

— Myślałam, że w ogóle nie będziesz mogła tego zrobić — odezwała się Świerszczyk. — Jak to zrobiłaś, na samym końcu, tuż przed tym, zanim zamienił się w kotka?

— Nie wiem — odparła Płomyk. — Było to tak, jakby ktoś mi pomógł, ale nie wiem jak.

— To byłam ja — wtrąciła Gwiazdka. Wyglądała speszoną. — Dałam ci trochę mojej siły.

III

Gwiazdka z dawna przywykła do użyczania swojej siły potrzebującym tego ludziom, kiedy wraz ze swoją rodziną podróżowała wozem i wszyscy byli już zmęczeni jeszcze przed rozbiciem obozu.

Ci wędrowni handlarze żyli razem, nie było wśród nich żon ani mężów, ale wszyscy tworzyli jedną grupę, w której partnerzy wciąż się zmieniali. Żadne z dzieci nie mogło mieć pewności, kto jest jego ojcem, nawet jeśli wiedziały to ich matki, co nie zdarzało się często. Zdarzało się nawet, że dzieci same nie wiedziały, kto wydał je na świat, gdyż kobiety matkowały dzieciom bez różnicy i równie niedbale je ignorowały, jeśli tak chciały. Zazwyczaj jednak było dość kobiet, które miały na to ochotę o każdej porze, więc żadne dziecko nie pozostawało długo bez macierzyńskiej opieki. Gwiazdka nie miała pojęcia, kto był jej prawdziwym ojcem. Wołała wszakże myśleć, że był nim przywódca grupy i tylko jego nazywała tatą. Była bardzo dumna, kiedy odwiedzał jej matkę, a zostawał z nią częściej niż z innymi kobietami.

Na szlaku tata szedł ciężkimi krokami, myśląc o tym, że trzeba będzie ustawić wozy, oporządzić konie i naprawić wszystko, co się zepsuło tego dnia. Gwiazdka wiedziała, że rozmyślał też i o tym, iż będzie musiał czuwać w nocy, by złodzieje nie ukradli ich nędznych towarów ani skrzyneczki z pieniędzmi ukrytej pod spiworem mamy. Ze swego miejsca na wozie Gwiazdka nauczyła się popychać go w jakiś sposób, posyłać siłę jak falę mgły, otulając nią tatę. Niemal widziała, jak opuszcza jej ciało, i zawsze wiedziała, kiedy ją wdychał albo kiedy wsiąkała w jego skórę, czy co tam się z nią działo. Tata prostował się wtedy, jakby nie wiedział, że dotąd się garbił.

— No, jeszcze trochę i już będziemy na miejscu! — wołał do ludzi siedzących na wozach. Tamci, słysząc nowy wigor brzmiący w jego głosie, nabierali ducha.

Czasami, kiedy Gwiazdka posłała tacie tyle siły co zwykle, a nie była jeszcze zbyt zmęczona, kierowała falę energii do tej osoby w karawanie, która potrzebowała jej najbardziej. Nikt jej tego nie nauczył. Po prostu wiedziała o tym prawie od urodzenia. I wcale jej nie zaskoczyło, kiedy Pszczoła z eskortą odnalazła jej rodzinę i zabrała, żeby któregoś dnia została prawdziwą czarownicą.

— I właśnie to posłałam Płomykowi — zakończyła.

— To bardzo miło wiedzieć, jak posłać komuś troszkę siły — powiedziała Myszka w zamyśleniu. Dziewczynki zaczęły mówić jedna przez drugą, opowiadając, co mogą zrobić. Myszka słuchała tylko jednym uchem, gdyż część jej umysłu skupiła się na czymś innym i wciąż do tego powracała. Gdzieś w tym wszystkim krył się błąd. Jeżeli Gwiazdka pokazała im, jak popychać, ona sama nauczyła je słyszeć i jeśli pozostałe dziewczynki też mają jakieś pożyteczne zdolności, nawet jeśli nie otrzymały wykształcenia, to...

IV

— Ja mogę zmienić swój wygląd — oznajmiła Świerszczyk.

— Nie!

— Naprawdę!

Świerszczyk była córką wieśniaków mieszkających w małej osadzie na południu Estcarpu. Jej ojciec miał małe gospodarstwo, które z trudem mogło wyżywić jego rodzinę, a matka dorabiała szyciem dla mieszkanek wioski. Gwiazdka miała brata nieco starszego od siebie, a jej matka spodziewała się następnego dziecka.

— Nigdy się nie dowiem, jak zdołamy wykarmić jeszcze jedną gębę — mawiała z westchnieniem.

Szczególnie trudno żyło się Gwannynowi, bratu Świerszczyka, gdyż cały czas męczył go głód. Świerszczyk także, dopóki nie nauczyła się przybierać jego postaci, tak by wszyscy uwierzyli, iż jest Gwannynem. Wystarczyło, że tego zapragnęła i tak się działo.

Ten dar okazał się bardzo przydatny. Świerszczyk mogła w każdej chwili ukradkiem wejść do spiżarni, coś przekąsić i to na brata spadała kara. To było wspaniałe. Musiała jednak uważać, kiedy mama zarobiła dodatkowe pieniądze i upiekła smaczne ciasteczka. Nie mogła się przejeść i zachorować. Tego nie mogłaby wytłumaczyć.

Świerszczyk nie wiedziała, czy miało to jakiś związek ze światłem, czy też było to coś innego. Czasami jednak, kiedy Gwannyn był w pobliżu, jego siostra musiała wyglądać jak ktoś inny. I zazwyczaj jej się to udawało. Tak naprawdę to nigdy się nad tym nie zastanawiała. Kiedy Pszczoła przybyła wraz z gwardzistami i ją zabrała, Świerszczyk pomyślała, że to bardzo miło z jej strony. Nie miała pojęcia, że nie wszyscy mogą zmieniać swoją postać — przynajmniej w oczach innych ludzi — tak jak ona.

— Och, to nic takiego — oświadczyła Seplenisia. — Ja umiałam ftać flę niewidzialna dla innych ludzi. Mogłam przejść im tuż pod nofem i oni nic nie widzieli.

Seplenisia była bardzo spokojnym, zamkniętym w sobie dzieckiem, które łatwo można było przeoczyć w wielkim Dworze Gweddawl. Wszyscy, którzy tam mieszkali, wydawali się zbyt zajęci, by znaleźć wolny czas dla małej, chudej dziewczynki, która nie umiała dobrze mówić, nawet jeśli była córką pana dworu i jako taka zaliczała się do drobnej szlachty. Seplenisia czuła się niewidoczna niemal przez cały czas. I oto pewnego dnia, ku swemu zaskoczeniu i zdumieniu, przekonała się, że kiedy bardzo tego zapragnie, staje się naprawdę niewidzialna. Widziała siebie tylko jako wąski cień, jakby była z mgły. Mogła spojrzeć poprzez swoją rękę jak wtedy, gdy podnosi się dłoń ku światłu. Świeci ona wówczas czerwonym blaskiem i można dojrzeć w niej zarysy kości. Ale nawet kości stawały się przezroczyste, kiedy Seplenisia tego pragnęła.

Teraz mogła chodzić wszędzie, widzieć i słyszeć wszystko — szczególnie zaś tajemnice dorosłych, którzy zawsze ją odsyłali, chcąc rozmawiać na osobności. Nazywali to interesami i kazali jej iść się bawić. Seplenisia wiedziała jednak, że robili to dlatego, ponieważ nie chcieli, by im przeszkadzała. Zresztą inne dzieci i tak nie chciały się z nią bawić. Ale kiedy stawała się niewidzialna, wszystko stawało się zupełnie inne, takie podniecające. Mogła iść tam, dokąd zawsze zabraniano jej chodzić, chociaż w rzeczywistości nie rozumiała nawet dziesiątej części tego, co tam się działo. Jedyną wadą niewidzialności było to, że nigdy nie nauczyła się czynić

niewidzialnym również swojego ubrania. Musiała je zdejmować, żeby nie wydawało się, iż jej sukienka nagle wybrała się na przechadzkę. I całą resztę, piątego mogła podejmować swoją potajemną działalność tylko wtedy, gdy było ciepło. Mogła być niewidzialna, ale nie stawała się niesłyszalna. Szczekanie zębów na pewno by ją zdradziło. Nie miała pojęcia, co by się z nią stało, gdyby przyłapano ją na podglądaniu, bez ubrania i w dodatku niewidzialną. Co więcej, nie chciała się tego dowiedzieć.

Kiedy Pszczoła przybyła po nią, poczuła się taka szczęśliwa w towarzystwie swoich siostr, że ani razu nie chciała stać się niewidoczna.

— To znaczy, dopóki Pfy naf nie fchwytały. I Lifcia. — Seplenisia znów wsadziła palec do ust.

Świerszczyk pociągnęła nosem.

— Założę się, że gdybym ja zapragnęła wyglądać jak jeden z Psów albo — poprawiła się — jeden z tych ich parszywych psów, a one są prawie tak duże jak ja, więc gdybym o tym pomyślała, a ty zapragnęłabyś stać się niewidzialna, oni nigdy by nas nie złapali.

— Możliwe, że nie. Ale wfyftko zdarzyło fię tak fybko.

— Założę się, że mogłabym to zrobić nawet teraz — wyjść stąd i wcale by mnie nie zauważyli, albo sprawić, że Alizończycy uznaliby mnie za kogoś innego.

— Założę fię, że mogłabym to zrobić lepiej. Na pewno. Myszka pomyślała, że obie się przechwalają, ale nie powiedziała tego głośno. Nadal zastanawiała się, jak wcielić w życie swój pomysł, ale coś jej w tym przeszkadzało. Prawie wiedziała, co to takiego, lecz głowa tak bardzo ją bolała, że...

— A co ty możesz zrobić, Ptaszynko? — zapytała Seplenisia.

— Niewiele. Czasami, kiedy wszystko jest w porządku, mogę widzieć.

— Co masz na myśli? — dopytywała się Gwiazdka.

— Och, wiesz. Widzieć. Ja zawsze nazywałam to zagłębianiem się — odparła rumieniąc się Ptaszynka.

V

Tata Ptaszynki był kowalem i prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem w okolicy. Był dużym mężczyzną, szczerym i przystojnym.

Mama Ptaszynki była za młodu najpiękniejszą dziewczyną we wsi i nadal lubiła się stroić. Jej mążnek folgował jej zachciankom na tyle, na ile było go stać. Jej suknie z najlepszych tkanin szyła najlepsza krawcowa we wsi. Miała rżnięte z muszli grzebienie do upinania włosów i buty z czerwonej skóry. Ptaszynka wiedziała, że wprawiała w zakłopotanie swoich przystojnych rodziców — była bowiem chudą dziewczynką o pospolitych rysach twarzy i nic nie wskazywało, że wyrośnie na piękność. Nie żywiła z tego powodu urazy: tak już było i nic nie mogła na to poradzić. Czasem jednak czuła ciężar na sercu, kiedy obcy ludzie patrzyli na jej tatę i na mamę, a potem na nią i na ich twarzach malowało się pytanie: Dlaczego?

Mama miała wiele ślicznych rzeczy, ozdób i wstążek, strojów oraz błyskotek i dziewczynka była zachwycona, kiedy mama pozwalała jej wziąć jakąś rzecz na cały dzień. Ptaszynka postępowała tak ze wszystkim, co jej się spodobało — pięknym kwiatem, połyskującym kamieniem — wpatrywała się weń tak długo, aż — jak to określiła mama — „prawie wypatrzyła z niego całe piękno”. Jedną z jej ulubionych ozdób był kryształ na srebrnym łańcuszku, i który czasem nosiła mama. Kryształ był doskonale przezroczysty, gładki, okrągły, nie upięszony fasetami czy rytami i mimo swojej pospolitości chwycił każdy promień światła, jak żywy płonąc na piersi mamy.

Pewnego dnia mama zgubiła swój piękny kryształowy naszyjnik. Szukała go wszędzie, ale nie znalazła.

— Nawet jeśli był taki pospolity, lubiłam go, ponieważ to ty mi go podarowałaś — powiedziała do taty.

— Och, nie przejmuj się — odparł tata. — Na następnym jarmarku kupię ci inny, jeszcze ładniejszy.

Mama uśmiechnęła się i przestała szukać naszyjnika, gdyż jeszcze bardziej niż piękne przedmioty lubiła nowości.

— Następnym razem poszukaj kryształu, który w promieniach słońca iskrzy się i mieni wszystkimi kolorami tęczy — dodała.

Kiedy Ptaszynka znalazła naszyjnik znacznie później, pod drzewem laurowym, gdzie mama często spacerowała, nigdy nie przyszło jej do głowy, by oddać go mamie. Srebrny łańcuszek pękł i dlatego naszyjnik spadł mamie z szyi. Ponieważ lubiła go najbardziej ze wszystkim maminych ozdób, pomyślała, że teraz mama pozwoli jej go zatrzymać i że może tata kupi nowy łańcuszek, by Ptaszynka mogła go nosić.

Oczywiście po tym, jak mama otrzyma swój nowy naszyjnik.

Chciała włożyć go do kieszeni, ale kierowana niezrozumiałym impulsem spojrzała na niego w inny niż dotąd sposób. Tym razem naprawdę na niego patrzyła, aż zaczęła widzieć. Im więcej widziała, tym bardziej wydawało się jej, że pływa w kryształach jak w wodzie. Ku swemu zaskoczeniu odkryła w jego głębi obrazy, ruchome obrazy tego, co działo się bardzo daleko. Zobaczyła mamę w ich chacie czeszącą włosy i nucącą półgłosem. Zafascynowana dziewczynka spróbowała się zagłębić w kryształ, żeby zobaczyć jeszcze więcej. Obraz w kryształach zbladł, zamigotał i ujrzała tatę, który wyruszył do sąsiedniej wioski, żeby kupić nowego konia pod wierzch. Ptaszynka widziała go bardzo wyraźnie i konia również. Był rudy tak jak włosy mamy.

Później Ptaszynka zaczęła nosić kryształ na sznurku na szyi, starannie go ukrywając. Zagłębiała się weń i patrzyła, kiedy tylko nadarzała się sposobność. To było fascynujące. Przekonała się, że prawie zawsze widziała ludzi, których znała.

Jednak od czasu do czasu dostrzegała także coś przypominającego zamknięte drzwi. Stopniowo zrozumiała, że wówczas ta osoba jest zajęta swoimi sprawami i że gdyby spróbowała wszystko zobaczyć, wtrąciłaby się brutalnie w cudze życie. Wydało się to jej słuszne. Odkryła również, że nie mogła zobaczyć ludzi i rzeczy, których nie znała albo o których tylko słyszała, bez względu na to, jak bardzo się „zagłębiła”. Przybycie Pszczoły wcale jej nie zaskoczyło. Wprawdzie nie zobaczyła jej wyraźnie, ale wpatrując się w kryształ ujrzała siebie wyjeżdżającą z rodzinnej wioski w towarzystwie pięciu małych cieni i jednego dużego. Bardzo się ucieszyła, kiedy zobaczyła naszyjnik Pszczoły. Pomyślała, że czarownica posługuje się nim w podobny sposób. Wydało się jej zupełnie słuszne i naturalne, że odjeżdżając do Es zostawiła kryształ w domu.

Pozostałe dziewczynki ochały i achwały, gdy Ptaszynka skończyła swoją opowieść.

— To cudowne, Ptafynko. Czy mogłabyś zobaczyć, co fię dzieje z moją mamą i tatą? To znaczy, gdybym ci pomogła? Pozwoliłabym ci pośluchać w mojej głowie, żebyś mogła to zrobić.

— Być może. Ale nie mam niczego, w co mogłabym patrzeć.

— Czy to wystarczy? — Płomyk nalała trochę wody i cynowego kubka i podała go Ptaszynie.

— Nie wiem — odparła Ptaszynka z powątpiewaniem ale mogę spróbować.

Zajrzała do kubka, przechylając go tak, żeby światło odbiło się w wodzie. Myszka obserwowała ją uważnie Pragneła, żeby Ptaszynka spróbowała zobaczyć jej mamę. Wyraz twarzy Ptaszynki zmienił się i Myszka od razu zorientowała się, kiedy mała czarownica „zagłębiła się” w wodzie.

— Widzę coś! — zawołała Ptaszynka. — Czy twoja mama nosi spodnie i miecz tak jak mężczyzna?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Bo to jest moja mama! — zawołała Myszka. Nie zważając na rozdzierający ból głowy potelepała się czworakach po słomie do Ptaszynki i zajrzała do kubka. Wiem to! Po prostu wiem! Pokaż mi, jak to się robi, Ptaszynko. Proszę!

— Och, to zniknęło! — zawołała Ptaszynka. Spojrzała ze złością na Myszkę. — Zniszczyłaś to.

— Ale ja po prostu wiem, że to była moja mama. Usłyszałam ją, a teraz ty ją zobaczyłaś! Ona jest w Alizonie. Po prostu wiem, że jest.

— Jesteś szalona.

— Nie jestem.

— Tak, jesteś.

— Przestańcie obie — wtrąciła się Gwiazdka. — Myszko, ty mówisz o swojej mamie od chwili, gdy zaczęłaś nam opowiadać o tym dziwnym głosie, który słyszałaś, kiedy; Kolderczycy cię torturowali. Ona nie może być tutaj. To niemożliwe.

— Ja usłyszałam jakiś głos. Przypominał mi głos mamy, ale był też podobny do głosu Najwyższej Strażniczki. Ja tylko wiem, że mama jest w pobliżu i że przybyła tu po mnie. A jeśli nawet się mylę, jeśli jestem szalona, tak jak powiedziała Ptaszynka, żadna z was nie wiedziałaby, co potrafi druga, i niczego byście się nie nauczyły, gdybym nie wyjawiała wam, że ją słyszę. Może robiąc to, co umiemy, zdołamy sobie pomóc. Jak daleko musisz się znajdować, żeby użyzyć komuś sił, Gwiazdko? — zapytała Myszka.

Gwiazdka spojrzała na nią, marszcząc lekko brwi. Później wyraz jej twarzy zmienił się i Myszka zrozumiała — nie słuchając ani nie dotykając jej umysłu — że Gwiazdka wie, o co tu chodzi.

— Niezbyt blisko. Czy chcesz powiedzieć, że powinnam dodać sił tej z nas, którą następną zabiorą do pokoju Kolderczyków?

— Myślę, że tylko w ten sposób im nie ulegniemy.

— No cóż, sądzę, że warto to wypróbować — odparła Gwiazdka. — Nie wiem jednak, czy będę mogła dokonać tego sama. A jeśli to mnie wybiorą? — I zaraz potem sama sobie odpowiedziała: — Oczywiście. Nauczę wszystkie, jak to się robi, tak jak ty nauczyłaś nas słyszeć. Wszystkie powinnyśmy nauczyć się tego, co umie każda z nas.

Myszka z ulgą zamknęła oczy. To właśnie ta myśl kiełkowała w jej umyśle, chociaż nie ona ją sformułowała. Nadal jednak coś się nie zgadzało. Nie mogła wszakże dalej o tym myśleć, gdyż głowa wciąż ją bardzo bolała.

— Na co może się przydać robienie kotka ze słomy? Poza spędzaniem czasu? — Ptaszynka roześmiała się.

— Nie wiem — odrzekła z uporem Myszka. — Ale Świerszczyk może sprawić, że ludzie uważają ją za kogoś innego, a Seplenisia, że myślą, iż nikogo tu nie ma.

Ptaszynka spojrzała na Seplenisię i Myszka usłyszała ją tak wyraźnie, jakby powiedziała to głośno: Na nic się to nam nie przyda.

— Na pewno się przyda — odezwała się Gwiazdka i Myszka zdała sobie sprawę, że i ona usłyszała myśli Ptaszynki. — Seplenisia może nauczyć nas, jak się to robi, tak jak Myszka nauczyła nas słyszeć.

— No dobrze, przypuśćmy, że zamienimy się w cienie i zwyczajnie wyjdziemy przez te drzwi, kiedy następnym i Psy przyjdą po nas — podsumowała Świerszczyk.

— Ale co z Myszką i Płomykiem? Co z nimi zrobimy? One nie mogą iść.

— Ja mogę — oświadczyła stanowczo Płomyk. Gwiazdka zignorowała ją.

— Zaczekamy, aż poczują się lepiej.

— Do tego czasu następna będzie chora — zauważyła! Świerszczyk. — Nawet bardziej chora, jeżeli Kolderczycy zrobią to, co wedle słów Myszkki zamierzają zrobić.

— Och!

Myśl, która nie dawała Myszcze spokoju, nagle skryształizowała się w jej umyśle, tak że mogła powiedzieć:

— Kiedy Kolderczycy pracowali nade mną, słyszałam głosy. Słyszałam je za pomocą mojego mózgu. Myślę, że to coś znaczy.

— Być może. Ale co z Płomykiem? — pytała dalej! Świerszczyk.

— Może to ta kolderska maszyna zwraca nasze zdolności przeciwko nam. W takim wypadku nie mogła dotrzeć do talentu Płomyka i to wszystko. — Gwiazdka zmrużyła oczy.

— Wobec tego wyrzuciłyśmy sobie krzywdę, a niej pomogłyśmy, dzieląc się z innymi tym, co możemy zrobić! — zawołała z przerażeniem Ptaszynka.

Wszystkie dziewczynki zwróciły na nią wzrok. Jakie! okropności zobaczy, kiedy zostanie połączona z kolderską maszyną?

— Nie, myślę, że się mylisz — powiedziała powoli j Gwiazdka. — Myślę, że razem będziemy silniejsze niż pojedynczo.

— Moja mama przyjdzie po nas. Ona nas uratuje — zapewniła gorąco Myszka.

— Och, zamilcz — uciszyła ją Gwiazdka. Sprawiała wrażenie bardziej zmęczonej niż poirytowanej. — Nie łudź się nadzieją tam, gdzie jej nie ma. Jedyne, co teraz możemy zrobić, to uczyć się i ćwiczyć nasze zdolności i próbować ze sobą współdziałać, żebyśmy nie uległy, gdy znajdziemy się w kolderskiej maszynie. — Zadrżała i Myszka dostrzegła przelotnie jej myśli; oto Gwiazdka widzi siebie, jak leży bezsilnie na stole w kolderskim laboratorium i krzyczy, podczas gdy Kolderczycy wbijają w nią ostre druty.

Myszka zrozumiała, że Gwiazdka ma rację. Jeśliby uciekły, to muszą być wszystkie razem, żadna nie mogła zostać, i choć Płomyk starała się być dzielna, znajdowała się w niewiele lepszej sytuacji niż Myszka.

— Tak, Gwiazdko — powiedziała Myszka. — Powinnyśmy się skoncentrować na słyszeniu i dzieleniu się siłą z innymi. Tego właśnie potrzebować będziemy najbardziej, zanim Kolderczycy z nami skończą.

Pozostałe dziewczynki wzdrygnęły się. Dobrze bowiem wiedziały, że Kolderczycy skończą z nimi tylko wtedy, gdy albo ulegną ich woli, albo umrą.

Rozdział jedenasty

I

Yareth i Weldyn skradali się korytarzami z sokołami na pięściach, gotowi do boju. Eirran jeszcze nigdy nie widziała Yaretha takim, nawet wtedy, gdy walczyli z tamtym potworem w Górach Granicznych. Wtedy pokonali go razem. Teraz Yareth był w swoim żywiole, robił to, do czego się urodził — stał się pewnym siebie wojownikiem, nieulekłym, spragnionym walki, idącym bok w bok z drugim, równym sobie Sokolnikiem. Ten widok mógł zniechęcić całą kompanię Psów, dodać otuchy walczącemu obok niego. Eirran szła tuż za nimi, zerkając często przez ramię, w każdej chwili oczekując pościgu setki Psów. Nawet dzielni Sokolnicy nie pokonaliby tak wielu wrogów, ale, jak dotąd, dopisywało im szczęście. Zeszli w dół, przeszli przez drzwi, ruszyli w górę krótkiej klatki schodowej, zgodnie ze wskazówkami danymi im przez Płomyka i Jenys. Znajdowali się teraz w innej części twierdzy, na najwyższym piętrze dużego kamiennego budynku przylegającego do murów zamku. Eirran przypomniała sobie, że minęli ten budynek, gdy biegli ku wieży zwróconej na północny wschód, do miejsca, z którego wołała ją córka. To było takie dziwne. Eirran nie miała wątpliwości, że naprawdę usłyszała Jenys, chociaż uważała to za niemożliwe. Pomyśli o tym później, kiedy będzie miała czas.

Sokolnicy skręcili za róg i zatrzymali się. Eirran o mało nie wpadła na Weldyna, który spojrzał na nią przez ramię z pogardą.

— To jest to — powiedział spokojnie Yareth. — Szare drzwi są tam.

— Ta kobieta zostanie tutaj. Będzie nam tylko zawadzać.

— Nie, nie zostanę.

— Trzymasz swój miecz tak, jakby to był kij.

— Więc użyję go jako maczugi na Kolderczyku, który skrzywdził moją córkę.

— Spokój — przerwał im Yareth. — Ona zostanie z nami. Szczęście nie będzie nam sprzyjać wiecznie. Natkniemy się w końcu na jakichś Alizończyków i ona zginie, jeżeli pozostawiona na zewnątrz sama będzie musiała stawić im czoło. Weldyn spochmurniał, a potem niechętnie skinął głową.

— Dobrze. Ale niech schodzi mi z drogi albo nie odpowiadam za to, co się z nią stanie.

— Uczciwie powiedziane — odrzekła ponuro Eirran. — A jak się tam dostaniemy?

Zamiast odpowiedzi Yareth jął skradać się do przodu, uważając, by nie zdradzić swojej obecności zgrzytnięciem obcasa na żwirze czy szczękiem kolczugi. Eirran i Weldyn ruszyli za nim równie ostrożnie. Eirran wyczuła w powietrzu dziwną martwość, nieobecność dźwięku. Żaden odgłos nie odbijał się echem i rezonansem, który aż do takiego stopnia był częścią naturalnego otoczenia, że Eirran nawet go nie zauważała. Sokolnicy zapewne doświadczyli tego samego, gdyż spojrzeli po sobie unosząc brwi.

— Te drzwi muszą być czymś pokryte, może kolderskim metalem? — powiedział Weldyn.

Yareth spojrzał na szarą powierzchnię.

— Albo tak działa ich maszyna.

Eirran ostrożnie dotknęła drzwi czubkiem palca. Dziwna substancja — nie było to ani drewno, ani żaden znany jej metal — ugięła się lekko pod jej naciskiem. Była tak

samo zimna i martwa jak aura, która od niej emanowała. Sprawiała też wrażenie głodnej, jakby chciała wyssać z Eirran wszystkie siły życiowe, gdyby tylko ta dotykała drzwi dostatecznie długo. Cofnęła rękę, jakby się sparzyła.

— Założyłbym się, że można by rozwalić ten zamek wrzaskiem i tam w środku nikt niczego by nie usłyszał — zauważył Weldyn. — Może nawet nie zauważyliby zwyczajnego pukania. Powinni zawiesić sobie dzwonek. Cokolwiek, żeby nikt tego nie musiał dotykać.

— Ich to nie obchodzi. Skoro nie ma tu dzwonka i Kolderczycy nie zwrócą uwagi na grzeczne pukanie, sami otworzymy te drzwi. Mam nadzieję, że wewnątrz jest ktoś, kto powita gości.

Obaj Sokomiccy cofnęli się o krok. Sokoły zacisnęły szpony na ich rękawicach, zachowując równowagę, kiedy wojownicy kopnęli w sam środek drzwi. Zamek pękł. Drzwi otworzyły się — nie z trzaskiem, ale z przytłumionym odgłosem — i wszyscy wpadli do szarego pokoju. Ptaki znalazły się pod sufitem, gotowe w każdej chwili runąć na nieprzyjaciół, jeszcze zanim dwaj mężczyźni i kobieta przebiegli przez drzwi.

Eirran dostrzegła przelotnie szare i zielononiebieskie postacie — trzech odzianych w szarość, udających ludzi potworów i w zielononiebieskich mundurach czterech jasnowłosych Alizończyków. Jeden z Psów podniósł alarm i wyciągnął z kabury pistolet strzałkowy.

Śmiały Wojownik zaskwirzył wyzywająco z góry. Zaatakował głowę siedzącego przy stole Kolderczyka. Szybki jak myśl sokół rozerwał płataninę rur i przewodów, i uniósł je w szponach. W pokoju nagle zamilkł monotony jęk. Świeatka na ogromnej mapie zgasły, rozjarzone tarcze zamigotały i pociemniały, a Kolderczyk osunął się bezwładnie, Metalowy czepek spadł mu z głowy i zawisł na kilku drutach, które jeszcze łączyły go z maszyną. Okazało się, że był częścią czaszki Kolderczyka. Zaczął się z niej wylewać mózg. Śmiały Wojownik ponownie wzniósł się w powietrze, a następnie zanurkował szykując się do ataku.

Pistolet w rękach Alizończyka wydał przeciągły syk i Eirran uchyliła się instynktownie. Lecz Pies nie celował w ludzi. Śmiały Wojownik zaskwirzył w sposób, jakiego Eirran nigdy dotąd nie słyszała — krzyknął tak, jak nigdy nie mógłby krzyknąć żaden ptak. Załopotał słabo skrzydłami, próbując utrzymać się w górze. Czas zwolnił bieg i Eirran widziała z najdrobniejszymi szczegółami, jak czarnopióry ptak ukosem runął na szarą podłogę. Wydawało się jej, że spadał przez całą wieczność, szybując bezsilnie jak unoszone wiatrem pióro. Plama krwi zabarwiła białe znamię w kształcie litery V na piersi sokoła.

Własny krzyk brutalnie przywrócił jej poczucie rzeczywistości.

— Nie! — wrzasnęła.

Weldyn odepchnął ją na bok, gdyż stała mu na drodze, i rzucił się na jednego z Kolderczyków. Eirran minęła Yaretha, który zaatakował mieczem dwóch z czwórki Alizończyków. Uzbrojony w pistolet Pies zwrócił lufę w jej stronę.

Strzałka ze świstem przeleciała obok i Eirran zaboląła skóra nad uchem. Skoczyła na Alizończyka, ale poruszała się wolniej niż Ostry Szpon. Poleciał prosto w twarz mężczyzny, który odruchowo zasłonił oczy, zanim Ostry Szpon zdołał go oślepić. Eirran rzuciła się na niego z mieczem. Alizończyk odsłonił oczy, oburącz chwycił brzeszczot. Spojrzał na nią z niedowierzaniem, zanim osunął się na podłogę. Wyciągnęła miecz i odwróciła się, szukając następnego przeciwnika.

Kolderczyk, z którym bił się Weldyn, wydawał się obiecującym celem, ale nie odważyła się wtrącić, żeby się nie pomylić i nie ranić — a może nawet zabić — Sokolnika. Trzeci Kolderczyk grzebał w aparacie, który Śmiały Wojownik zdarł z kontrolera maszyny. Wydawało się, jakby próbował dopasować go do swojej czaszki.

Eirran podbiegła i z całej siły cięła mieczem w miejsce, gdzie szyja łączy się z ramionami. Kolderczyk upadł. Wtedy sama upadła, szamocząc się z Alizończykiem, który ją zaatakował. Wypuściła z ręki miecz. Alizończyk podniósł sztylet. Żona Yaretha rozpaczliwie chwyciła go oburącz za przegub, zanim zagłębił ostrze w jej ciele. Nie mogła nawet się bronić. Zatknięte za pasem dwa sztylety były bezużyteczne. Czubek brzeszczotu obniżał się nieubłaganie, aż zaskrobał o jej kolczugę.

Weldyn pojawił się ponad ramieniem Alizończyka. Szybko, wprawnie złapał go za włosy, podniósł, zabił i skoczył na pomoc Yarethowi. Kiedy Eirran wygramoliła się spod ciała zabitego, dwaj ostatni wrogowie leżeli martwi.

Weldyn pośpiesznie sprawdził dystynkcje Alizończyków.

— Podwładni — mruknął z niesmakiem. — W najlepszym razie to drobni baronowie, którzy gawędzili ze swoimi kolderskimi panami. No cóż, chyba żądałbym za wiele od losu, gdybyśmy złapali tu Mallandora.

— Jesteś ranna! — Yareth podbiegł do Eirran i dotknął jej głowy tuż ponad uchem.

— To nic — odrzekła. — Wszyscy mamy rany i zdraśnięcia. Śmiały Wojownik...

Yareth dopiero teraz zauważył, co się stało z jego partnerem. Z okrzykiem osunął się na podłogę obok sokoła i podniósł go tak delikatnie, jak brał na ręce Jenys, kiedy była niemowlęciem.

— On jeszcze żyje, jeszcze oddycha — powiedział załamany.

— Bez niczyjej pomocy zabił jednego Kolderczyka — wtrącił Weldyn. — Dobrze się spisał.

Eirran dotknęła ptaka ostrożnie, próbując go zbadać. Zakrwawiona strzałka wystawała z piersi sokoła.

— Jest ciężko ranny. Wezmę go.

Weldyn położył jej rękę na ramieniu.

— Nie — powiedział.

Patrzyła na niego przez chwilę, a potem skinęła głową. Tak, to Yareth powinien zabrać swojego upierzonego brata z pola walki. Nieważne, że Yareth nie mógł nieść Śmiałego Wojownika i jednocześnie walczyć. Szansa, że żywi dotrą do miejsca, gdzie będzie mogła opatrzeć ranę sokoła, malała z każdą chwilą.

— Chodźmy więc — oświadczyła. — To jest ostatnie miejsce, w którym chciałabym być schwytana. — Tak, dodała w duchu, skończmy z tym. Pobiegnijmy w objęcia śmierci...

Weldyn gwizdem przywołał Ostrego Szpona, który usiadł mu na pięści. Yareth, trzymając delikatnie Śmiałego Wojownika w zgięciu ramienia, podniósł miecz. Eirran zaś wydobyła swój brzeszczot z ciała Kolderczyka i wszyscy opuścili szary pokój.

— Dokąd teraz? — zapytała.

— Tędy. — Weldyn wskazał na koniec korytarza. — Tam powinny być prowadzące w dół schody i tunel wewnątrz muru. Potem będziemy musieli jeszcze przebyć główną bramę i wtedy zostanie nam tylko odnaleźć naszych towarzyszy i dzieci.

— To wszystko? — Eirran roześmiała się mimo woli. Oczami wyobraźni widziała teraz kuszników czekających na szczycie muru, żeby zasypać ich krzyżowym ogniem strzał. — No dobrze, zróbmy to.

Jeszcze raz informacje udzielone Weldynowi przez Yshera okazały się nader dokładne. Dali nurka w wąski tunel ukryty w wielkim zamkowym murze. Panujący w nim mrok rozjaśniało od czasu do czasu światło wpadające przez otwory strzelnicze i blask małych lampek oliwnych osadzonych na ścianach w równej odległości od siebie. Z płynącej w dół rzeki ciągnęło wilgocią. Jedna z lampek zamigotała i zgasła w chwili, gdy mijali ją pośpiesznie.

— Alizończycy nie mają czarodziejskich maszyn ogrzewających i oświetlających twierdze tak jak Estcarpianie — skomentował Weldyn. — Chyba że te maszyny się zepsuły. Może to jeden z powodów, dla których próbują nas podbić.

Yareth nic nie odpowiedział, szedł wielkimi krokami, które Eirran tak dobrze znała. Pośpieszyła za nim i to Weldyn tym razem musiał iść na końcu.

— Yarcie! — Eirran złapała go za rękaw. Skupił całą uwagę na Śmiałym Wojowniku i nie spoglądał przed siebie. Nie widział więc nic przed sobą.

Pięciu Alizończyków w towarzystwie wężogłowych białych psów bojowych biegło w ich stronę.

II

Yareth bez słowa podał sokoła Eirran i rzucił się na wrogów. Krótki sztylet zabłysł nagle jak zaczarowany w jego ręku.

— Zaczekaj! — krzyknął piskliwym dziecięcym głosem jeden z Alizończyków. — To my!

Yareth stanął jak wryty.

— Co?! — wyjąkał, ściskając mocniej sztylet.

— To my! To ja! Świerszczyk! Jesteśmy przebrane! Dwaj Alizończycy nieśli w ramionach białe psy. Eirran znowu pociągnęła Yaretha za rękaw, ale stracił jej rękę wzruszeniem ramion. Jeden z Psów, który miał wolne ręce, bardzo ostrożnie położył miecz na podłodze i zrobił krok do przodu, pokazując Sokolnikowi, że jest bez broni.

— Posłuchaj, proszę — powiedział. — Albo zabij mnie, jeśli chcesz. Jestem Alizończykiem. Pozostali są w przebraniu, tak jak to powiedziała ta dziewczynka.

— Alizończykiem? Co robisz tu z naszymi towarzyszami?

— Nazywam się Talgar. Zaprzyjaźniłem się z jednym z wiedźmiątek, to znaczy małych czarownic, w drodze do Alizonu.

— To ty porwałś moje dziecko... — Yareth ścisnął sztylet w garści.

— Wykonywałem rozkazy barona Esguira, Władcy Psów Alizonu.

Nieposłuszeństwo karane jest śmiercią. Wiele ryzykowałem nawet robiąc tak niewiele. Czy ty byłbyś w stanie zrobić to co ja, przeciwstawić się swojemu dowódcy?

Nagle chudy biały pies, którego trzymał w ramionach inny Alizończyk, przemówił:

— To prawda, tato. On był dla nas bardzo dobry w drodze do Alizonu. Teraz próbuje nam pomóc!

Widok zwierzęcia przemawiającego głosem córki wstrząsnął Sokolnikiem. Yareth przetarł oczy grzbietem dłoni ze sztyletem. Zaczął dygotać. Eirran łatwiej to przyjęła, może dlatego że niedawno sama zmieniła postać.

— To sztuczka, która ma nas zmusić do poddania się! Psy posługują się czarami!

— Weldyn wydał stłumiony okrzyk oburzenia i spróbował ich wyminąć.

— Nie, zaczekaj! — zawołała Eirran. — Weldynie, Yarecie, spójrzcie! Czy ten pies, to znaczy dziecko, czy to naprawdę jest Jenys? Tak! Ona ma na szyi Klejnot Czarownicy! Weldyn zatrzymał się nagle.

— Na Wielkiego Sokoła! Ta kobieta ma rację! Ale to może być jakiś podstęp. Mogli zabrać jej Klejnot. Skąd masz to świcidełko, psie?

— Ponieważ jej to dałyfiny — odpowiedział inny pies. — Wfyftkie próbowałyfmy go uruchomić, ale działał tylko dla Myfki. — Głosik zachichotał.

Mimo woli Eirran także wybuchnęła śmiechem. Poczula tak wielką ulgę, że zakręciło jej się w głowie. Sytuacja była absurdalna.

— Nikomu, nawet najlepszemu czarownikowi w Alizonie nie przysłoby do głowy, żeby zamienić dzieci w psy i żeby w dodatku jeden z nich seplenił. Och, to cudowne — hik! — wspaniałe! Przybyliśmy, żeby je uratować, a one nas ratują!

— Przestań, Eirran — powiedział Yareth. — Uspokój się! Obaj Sokolnicy spojrzeli na nieprawdopodobną grupę stojącą przed nimi: Alizończyk, estcarpiańscy gwardziści pod postacią Alizończyków i małe czarownice zamienione w chude białe psy.

— No więc jak to będzie? — rzekł w końcu Weldyn. — Czy wszyscy mamy zamienić się w Alizończyków?

— Jeżeli ta mała ma dość sił, by tego dokonać. — Talgar położył rękę na głowie

Świerszczyka. Biały pies zadreptał w miejscu, wysuwając język. Jego pazury zgrzytnęły na kamiennej posadzce. Klejnot na szyi psa—Jenys sypnął ledwie widocznymi w półmroku niebieskimi iskierkami.

— Jeżeli te małe czarownice nie zdołają włączyć was do stworzonej przez siebie iluzji, po prostu wyprowadzimy was z zamku udając, że wzięliśmy was do niewoli. Na zewnątrz, by psy mogły was ścigać. Często tak postępujemy z jeńcami — powiedział Talgar.

Yareth odzyskał głos.

— Wy... pomyśleliście chyba o wszystkim.

— Nie mogliśmy tego zrobić, gdyby dziewczynki nie uczyniły nas niewidzialnymi i nie wyprowadziły aż na zewnętrzny dziedziniec — oświadczył rzekomy Alizończyk, trzymający na rękach Jenys w postaci psa. Eirran rozpoznała po głosie Dunnisa.

— Ja to zrobiłam.

— Och, przestań się chwalić, Seplenisiu — powiedziała Świerszczyk.

— Kiedy tak było.

— Zrobiłaś to przy pomocy Myszki i Klejnotu, i dobrze o tym wiesz!

— Będziecie się sprzeczać później — przerwał im Talgar. — Chodźmy! Bez względu na to, czy pójdziecie jako Alizończycy, czy w swojej własnej postaci, musicie iść szybko. Wiedź... małe czarownice nie zdołają długo utrzymać stworzonej przez siebie iluzji.

Obaj Sokolnicy i Eirran podeszli do „Alizończyków”. Jenys spróbowała usiąść w ramionach Dunnisa.

— Śmiały Wojownik! — zawołała. — On jest ranny!

— Nie możemy nic zrobić, dopóki nie opuścimy tego miasta — powiedział ochryple Weldyn. — Ostry Szpon może latać, ale w co proponujesz zamienić drugiego sokoła?

— Nie pozwól Ostremu Szponowi odlecieć — oświadczyła Gwiazdka. Ten pies — nie, dziecko — było tak opanowane, że Eirran z trudem powstrzymała się od śmiechu. — Ktoś nas zobaczy. Mogą się domyślić, że uciekliśmy.

— A co wtedy? — Na zmizerowanej twarzy Yaretha malowała się rozpacz. Odebrał od Eirran Śmiałego Wojownika i pogłaskał go tak czule, że jego żonie serce omal nie pękło.

— Przekazujemy wszystkie nasze siły i naszą moc Myszcze, a ona steruje nimi za pośrednictwem Klejnotu — ciągnęła Gwiazdka. — Co o tym myślisz, Myszko? Czy mogłabyś i ich zaczarować? Mogłybyśmy zamienić ptaki w szczenięta.

— Myślę, że tak. Spróbujemy!

Widok był tak niesamowity, że Eirran przestała czkać. Cała szóstka „psów” znieruchomiała i skierowała spojrzenia na dwójkę Sokolników i Eirran. Kiedy tak patrzyły, koncentrując się, Eirran zauważyła, że między nimi pojawiły się cienkie nitki bładniebieskiego światła i zaczęły się łączyć ze sobą jak czarodziejska pajęczyna. Potrząsnęła głową, przekonana, że ma halucynacje. Świetne nici pojaśniały, aczkolwiek wcale nie rozproszyły półmroku panującego w tunelu. Później sieć mocy — a wraz z nią i Klejnot — rozjarzyła się i wystrzeliła blaskiem, obejmując trójkę ludzi i dwa ptaki. Eirran i Yareth zachwiali się na nogach, Weldyn zaś cofnął się o krok. W korytarzu rozszedł się lekki śwąd.

— Czy się udało? — Weldyn przyjrzał się swojej ręce. — Wcale się nie zmieniłem.

— Tego się samemu nie widzi — wyjaśniła Eirran.

Yareth odwrócił się i spojrzął na nich.

— Oboje wyglądacie inaczej — powiedział.

— A ty trzymasz szczenię w ramionach. — Eirran delikatnie dotknęła głowy Śmiałego Wojownika.

Weldyn opuścił wzrok na szczenię, które siedziało na jego urękawiczonej dłoni.

— Teraz wierzę — odrzekł i przemówił do Ostrego Szpona w sokolim języku. Po wielu namowach sokół pozwolił ułożyć się tak, jak Yareth trzymał rannego Śmiałego Wojownika. Ku uldze Eirran zamieniony w szczenię Śmiały Wojownik nie wyglądał na rannego i pozwalał się nieść. Nie zobaczyła krwi: szczenię sprawiało wrażenie, że śpi.

— No, chodźmy — rzekł Weldyn. — Ostry Szpon nie wytrzyma tego długo.

— Nie będzie musiał — odrzekł Hirl. — Wystarczy, że wyjdziemy za mury miasta i znikniemy z oczu alizońskim wartownikom.

— Im szybciej wrócimy do naszych własnych postaci, tym lepiej, mówię wam. A ty, kobieto, trzymaj buzię na kłódkę. Tym razem twój głos pozostał nie zmieniony i jeżeli zaczniesz paplać, tak jak robią to kobiety, zdradzisz nas wszystkich.

III

Starając się ukryć wewnętrzne napięcie, które odczuwali, Estcarpianie i jeden prawdziwy Alizończyk przeszli spacerkiem przez zewnętrzny dziedziniec i skierowali się do głównej bramy zamku. Eirran aż wbiła sobie paznokcie w dłonie, żeby nie krzyknąć. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, zamienione w psy Jenys i Płomyk zaczęły iść same, chociaż ta pierwsza drżała i kuląła, opierając się o Dunnisa tak często, jak to było możliwe.

— Talgarze!

Estcarpianie zeszywnieli i sięgnęli po miecze, lecz głos Psa, który zawołał ich towarzysza, nie brzmiał wyzywająco.

— Po służbie? — zapytał nowo przybyły. Podeszedł do grupy uciekinierów i spojrzał na nich obojętnie.

— Tak, i zamierzam dać się wybiegać psom — oświadczył Talgar.

— Niektóre niezbyt dobrze wyglądają.

— Nie miały apetytu.

Przybysz uśmiechnął się szeroko.

— Zawsze byłeś za miękki dla swoich psów. Powinieneś pozwolić im walczyć o pożywienie, tak jak robią to wszyscy poza tobą. Czyni je to wytrzymałymi i eliminuje słabeuszy.

— Pomyśleliśmy, że ćwiczenie dobrze im zrobi.

— Tak. To możliwe. Widzę, że masz też szczenięta. Nie wiedziałem, że o tej porze roku są w psiarni jakieś szczeniaki. Za wcześnie na to.

— Och, sam wiesz, jak to jest. Jeżeli masz sukę, która jest dostatecznie chętna...

— Talgar wzruszył wymownie ramionami, a jego rozmówca roześmiał się głośno.

— Tak, myślę, że lepiej zacząć tresować je jak najwcześniej. Życzę ci powodzenia.

— Znajomy Talgara dwornie skinął głową do jego towarzyszy i się oddalił.

Eirran znów zaczęła oddychać spokojniej, Talgar zaś zwrócił się do pozostałych „Alizończyków”:

— Czy pojedziemy konno? — zapytał bardzo głośno, chcąc by pytanie dotarło do każdego, kto mógłby podsłuchiwać.

Teraz Yareth wzruszył ramionami.

— Wolałbym nie biec razem z psami, ale jeszcze trochę poniosę tego szczeniaka.

— I ja. — Usta Weldyna drgnęły i wydawało się przez chwilę, że to cień uśmiechu.

— Możemy dalej ponieść te chorowite psy, skoro już to robimy, a przynajmniej do chwili, aż będzie je można spuścić na trawę. — Podniósł Jenys, a Ranal — Płomyka.

— Tylko bez zbędnych pieszczot — oświadczył Ranal i nieznacznie pogłaskał Płomyka po główce.

— Najpierw poprowadzimy konie, aż oddalimy się od miasta na dużą odległość — powiedział Talgar. — Psy mogą zbyt łatwo się podniecić i wpaść do czyjegoś ogrodu, a wtedy będziemy mieli nieprzyjemności ze strony barona Esguira.

— Och, wiemy wszystko o baronie Esguirze — odrzekł Loric. — Nie obawiaj się, będziemy bardzo ostrożni.

Bez dalszych incydentów przeszli przez bramę zamku i tylko kilka ciekawych spojrzeń odprowadziło ich, kiedy szli szybko przez miasto. Ranal i Dunnis postawili na ziemi swoje podopieczne, kiedy zbliżyli się do stajni, w których zostały konie. Wszystkie „psy” zbiły się w stadko.

Początkowo stajenny nie chciał oddać wierzchowców.

— One należą do kogoś innego — wyjaśnił. — Nowych rekrutów do Psów

Alizonu. Girvan powiedział mi to, kiedy płacił.

— Ci rekruci okazali się estcarpiańskimi szpiegami, a Girvan wydał ich. — Talgar splunął na pokrytą brudną słomą podłogę stajni. — Wszystko, co posiadali, zostało skonfiskowane. Baron Esguir dał ich konie tym gwardzistom w nagrodę za oddaną wcześniej usługę.

Stajenny przyjrzał się uważniej przebranyemu uciekinierowi, omiatając ich spojrzeniem od stóp do głów. Eirran z trudem przełknęła ślinę, starając się stłumić czkawkę.

— Przypuszczam, że chcecie je wypróbować, co? — powiedział. — Weźcie je na przejażdżkę. W porządku. — Spojrzał na nich podejrzliwie. — Ale nie starajcie się odzyskać tego, co już zapłacili.

— Zatrzymaj to, zatrzymaj — powiedział Yareth. — To będzie twoja część nagrody.

Stajenny wyraźnie się odprężył.

— Jeśli tak, to wszystko w porządku. Przyjdźcie znów, panowie, o każdej porze.

Estcarpianie szybko odebrali swoje wierzchowce, by Alizończyk nie zdążył zmienić zdania. Talgar im towarzyszył, kiedy szli pieszo jeszcze pół mili za miastem, prowadząc konie. Zatrzymali się na drodze, z dala od jakiegokolwiek domu czy wartownika, ale nadal widoczni z murów miejskich.

— Tutaj muszę was zostawić — powiedział Talgar. — Teraz sami musicie zadbać o to, żeby wydostać się z Alizonu cali i zdrowi. Jeśli zdołacie. Wiem, że nie będzie to łatwe.

Yareth skinął głową.

— Zrobiłeś już więcej niż... niż...

— Moglibyście się spodziewać po Psie z Alizonu... — Talgar uśmiechnął się gorzko. — Nie wszyscy z nas są potworami. Ja nie wojuję z dziećmi. A kiedy usłyszałem, co Kolderczycy wyrabiali z nimi w tamtym pokoju, do którego nikt bez ważnej sprawy nie wchodzi... No cóż, właśnie szedłem tam, żeby zobaczyć, co mogę zrobić, by im pomóc, kiedy spotkałem twoich towarzyszy, którzy właśnie stamtąd wychodzili. Zamieniona w psa Seplenisia zachichotała.

— On chciał powiedzieć, że frafnie go przefrafiłny — wyjaśniła. — Odkryłyśmy sposób, w jaki mogłam nafręfkić zrobić niewidzialnymi bez rozbierania frę, więc to zrobiłam, a kiedy zobaczyłyśmy Talgara, Myfka powiedziała, iż powinnyśmy pozwolić mu przebieć wzrokiem iluzję. Podfkooczył, jak nie wiem co.

— Zastanawialiśmy się, co zrobić z wami — dodał Loric. — Utrzymanie zasłony niewidzialności dla sześciorga dzieci i czwórki mężczyzn bardzo męczyło tę małą, chociaż reszta jej pomagała. — Czule pociągnął psa-Seplenisę za ucho. — A gdy spotkaliśmy Talgara, wiedzieliśmy, co trzeba zrobić. Świerszczyk powiedziała, że znacznie łatwiej jest im utrzymać taką iluzję. Resztę już wiecie.

Pod wpływem nagłego impulsu Eirran wzięła Talgara za rękę.

— Chodź z nami — zaproponowała.

Pozostali Estcarpianie spojrzeli na nią, jakby postradała zmysły.

— Nie, pani. — Talgar potrząsnął przecząco głową i roześmiał się. — Mogę nie zgadzać się z Mallandorem i jego baronami w pewnych sprawach, ale pomyliłaś się co do reszty. Jestem Alizończykiem i wrogiem Estcarpu.

— Myślę, że wiem, o co jej chodziło, kiedy tak nieroztropnie cię zaprosiła — odezwał się Yareth. — Jest tylko kwestią czasu, kiedy odkryją naszą ucieczkę. Gdy przekonają się, że nasze konie również zniknęły, zostanie przeprowadzone śledztwo, a wszystkie ślady będą prowadziły do ciebie. Chciała cię oszczędzić, gdyż byłeś dobry dla naszego dziecka.

— Posuwasz się za daleko, sługo wiedźm. — Talgar skrzywił się. — Ty i ja

jesteśmy wrogami. Myślę, że użylibyście terminu „nieprzyjaciółmi”. Gdybyście, ty i ta twoja kompania, nie byli potrzebni do uwolnienia tych dzieci z łap Kolderczyków, pozwoliłbym baronowi Esguirowi spuścić na was Psy Alizonu i nie ruszyłbym nawet palcem, żeby wam pomóc. Zaryzykuję i wrócę do koszar.

— Ci Kolderczycy już nigdy nikogo nie skrzywdzą — odrzekł Yareth. — Idź swoją drogą i wracaj do psiarni, jeśli chcesz.

Talgar odwrócił się gwałtownie i ruszył w stronę miasta. Coś zimnego szturchnęło rękę Eirran, że aż podskoczyła. To była Jenys pod postacią psa. Przyłożyła swój zimny nos do dłoni matki, jakby szukała ciepła czy pociechy.

— Dlaczego odszedł? Myślałam, że mnie lubi.

— Lubił. To znaczy... to jest skomplikowana sprawa. Później spróbuję ci to wytłumaczyć.

— Siadajcie na konie — rozkazał Yareth — i niech każdy z was posadzi przed sobą dziecko. Niebawem Psy odkryją, co się stało, i ruszą za nami w pościg. Musimy odjechać jak najdalej od miasta.

Spojrzał na psiaka, którego wciąż trzymał w zgięciu ramienia, i Eirran odczytała jego myśli tak wyraźnie, jakby wypowiedział je głośno.

— Zatrzymamy się przy pierwszej okazji. Opatrzę go — powiedziała. — Chodź, Jenys...

— Myszko — poprawił ją biały pies.

— Myszko. Pojedziesz ze mną. — Wzięła psa w ramiona i wdrapała się na konia. Odruchowo pogłaskała chude boki zwierzęcia. Mogła policzyć wszystkie żebra. Alizończycy musieli głodzić porwane dzieci...

Yareth posadził przed sobą Seplenisę. W jakiś sposób trzymał jednocześnie i ją, i Śmiałego Wojownika, i nie stracił kontroli nad Ranginem. Pozostali mężczyźni zrobili to samo, z wyjątkiem Weldyna. Tylko on jechał sam.

IV

Uciekinierzy popuścili wodze koniom, gdy tylko to za możliwe, i cwałowali na przelaj. Po raz pierwszy Eirran cieszyła się z osłony, jaką dawały im kolczaste żywopłoty. Wprawdzie trudno je było przebyć, ale zasłaniały uciekinierów przed wzrokiem prześladowców.

Zatrzymali się dopiero w małym zagajniku nad zakolem niewielkiego strumienia. Weldyn sprawdził pośpiesznie otoczenie.

— Możemy się tu ukryć i bronić w razie potrzeby — osądził. — Rób to, co możesz zrobić, kobieto, a ja będę stał na straży.

— Poszukam leczniczych ziół. Ty i Yareth również odnieśliście rany, które trzeba opatrzyć.

— Nic wartego zachodu — oświadczył Sokolnik. — Zachowaj swoje okłady i leki na wtedy, kiedy będą rzeczywiście potrzebne. — Oddalił się dostojnym krokiem, wyprostowany dumnie.

Nie wiadomo kiedy podczas tej szalonej jazdy Jenys puściła czarodziejskie nici, które utrzymywały iluzję. Eirran znów stała się kobietą trzymającą dziecko, a nie brzydkiego białego psa. Gdy tylko Weldyn mu na to pozwolił, Ostry Szpon z gniewnym szumem skrzydeł wzniósł się wysoko w niebo i stał się ledwie widocznym punkcikiem.

Jenys i Yareth klęczeli obok Śmiałego Wojownika, kiedy Eirran wróciła z garstką mchu i pokrzyw. Mech niewiele mógł pomóc, ale ugotowane liście pokrzywy zatrzymują krwawienie. Łudząc się nadzieją, że może znajdzie choćby strzępek ilbany, Eirran natknęła się na czarny bez, dziewannę, fałszywą szałwię i pierwiosnki. Gdyby szukała składników potrzebnych do wyrobu kremu, nie mogłaby znaleźć nic lepszego. Nie napotkała jednak żadnego potrzebnego zioła. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to wyciągnąć strzałkę z piersi sokoła, przyłożyć do rany ugotowane liście pokrzywy, przykryć je mchem, obandażować i mieć nadzieję, że sokół przeżyje.

Małe czarownice stały w pobliżu, przyglądając się z zaciekawieniem. Poleciała im rozpalić ognisko, a Jenys — nie, Mysze — zagotować trochę wody. Później skupiła uwagę na Śmiałym Wojowniku. Jakimś cudem sokół nadal żył, leżał jednak bezwładnie i dyszał ciężko.

— Nie wiem, czy w ogóle zdołam mu pomóc — uprzedziła Yaretha.

— Zrób, co możesz.

Eirran delikatnie ujęła koniec strzałki i zaczęła ciągnąć. Śmiały Wojownik był taki osłabiony, że nawet się nie poruszył. Może to dobrze, bo gdyby się szamotał, mogłaby mu zaszkodzić. Powoli, ostrożnie wyciągnęła strzałkę z ciała ptaka, wytarła ciemną krew i przyłożyła do rany kępkę zwilżonego mchu.

— Żyj! — mruknęła. Zaczęła masować skrzydła i nogi sokoła sprawdzając, czy szpony są napięte. — Żyj! Jenys, przygotuj pokrzywę.

Śmiały Wojownik zeszytniał i serce Eirran zabiło mocniej. Przez chwilę myślała, że odzyskuje przytomność, teraz, gdy usunęła to straszne narzędzie śmierci. Spojrzała z uśmiechem na Yaretha. Ten jednak patrzył na sokoła z rosnącym niedowierzaniem.

Śmiały Wojownik drgnął konwulsyjnie w jej rękach. Przeniosła znów na niego spojrzenie i zapało jej dech w piersiach. Głowa ptaka opadła i strużka krwi wyciekła z dzioba. Odetchnął głęboko, drgnął ponownie i znieruchomiał.

— Och, nie — powiedziała cicho. — Nie!

Bolesny krzyk Yaretha zagłuszył jej słowa, odbijając się echem na łączce, na której klęczeli. Zaraz potem zabrzmiał głośny jęk przerażonej Myszki.

Rozdział dwunasty

I

Klejnot sparzył pierś Myszkę. Dotknęła go i po raz pierwszy w życiu usłyszała tatę tak wyraźnie, jak zawsze słyszała mamę. Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że nie tylko go słyszy, ale że sięgnęła głębiej i dalej, poza to, co Gwiazdka nazywała kontaktem umysłu z umysłem. Przekonała się, iż złączyła się w nim w jedną istotę. Nie była już Myszką, a on nie był już tatą. Oni byli Yarethem. Sokolnikiem Yarethem. Obrazy z jego życia przemknęły przed jej oczami, a każde wspomnienie było takie żywe, czyste i wyraźne, jakby sama to wszystko przeżyła.

Razem z nim przypomniawszy sobie dzieciństwo i silną, surową matkę—Sokolniczkę, która dotykała go tylko wtedy, gdy było to konieczne, i nigdy nie okazała cienia uczucia, bo tak należało czynić. Razem z nim wspomniawszy jego tęsknotę za Gniazdem, którego nigdy nie widział, gdzie miał odnaleźć wreszcie swoje miejsce. Razem z nim służyła na sulkarskim statku i tak jak on wymiotowała przy najłżejszym kołysaniu. Przeżyła dreszcz radości, gdy po raz pierwszy zobaczył jej mamę — Eirran — w podróży do tego, co pozostało z Gniazda. Razem z nim zrozumiała, że marzenie o odbudowie siedziby plemienia było w rzeczywistości początkiem miłości, jaką ją darzył. Razem z nim kłóciła się z Eirran. Z czasem — choć niechętnie — nabrała do niej szacunku za to, że nie chciała ustąpić od tego, co uważała za słuszne, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Tak jak ona walczyła z nieznanym potworem w górach, potem je opuściła, wędrowała z Eirran w poszukiwaniu domu dla nich obojga i z wahaniem dotknęła kopiającej grudki w brzuchu Eirran, która kiedyś miała stać się Myszką. Jego oczami spojrzała po raz pierwszy na swoją dziecienną twarzyczkę i włożyła samą siebie do kołyski, którą własnoręcznie dla niej sporządził. Razem z nim prowadziła za rączkę dziewczynkę stawiającą pierwsze niepewne kroki, włożyła jej do buzi pierwszą łyżeczkę prawdziwego jedzenia. Później zaś posadziła dziecko, które było nią samą, na łęku siodła, przysłuchując się jego piskom i przytrzymując je, gdy wierciło się z zachwytu, a potem pogalopowała w jego ukochane góry.

Jego sokół, jego koń i góry... Każdy Sokolnik mógł je kochać otwarcie i nie musiał się tego wstydić. Lecz Yareth, ku swemu zakłopotaniu, a nawet wstydowni, krył w sercu znacznie więcej. Myszkę przeżyła razem z nim gniew, jaki go ogarnął, gdy dowiedział się, że wiedźmy z Estcarpu porwały jego córkę, konsternację i wdzięczność, iż Eirran znalazła sposób, by mu towarzyszyć, choć jej tego zabronił, oraz radość, że odnalazł swoje dziecko.

Eirran była dla niego wszystkim. Tym, co utracił, tym, czego nigdy nie miał i czego zawsze będzie szukał. A ponieważ Myszkę była owocem ich miłości, darzył ją równie głębokim uczuciem. Bez niej i bez Eirran byłby najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

I teraz, gdy wiedziała to, co wiedział ojciec, poznała jego uczucia, rozkoszowała się miłością, jaką żywił do niej, do Eirran i do Śmiałego Wojownika. Zrozumiała wreszcie, dlaczego tak rzadko mówił o tym, co czuje, pojęła, czemu Sokolnicy unikali rozmów o uczuciach, jak odmawiali sobie wszystkiego, co miało związek z pięknem i miłością, żeby nie uznano ich za słabeuszy. Myszkę wiedziała jednak, że Sokolnik Yareth wcale nie był słaby. Miłość, której tak bardzo się wstydił, uczyniła z niego prawdziwego mężczyznę, o całe niebo lepszego niż jego współplemieniec Weldyn...

Śmiały Wojownik wydał ostatnie tchnienie i w tej samej chwili ostry brzeszczot

żału przeszył mężczyznę, którego umysł dzieliła. Tak bardzo zaplątała się w tym nowym dla niej uczuciu jedności z Sokolnikiem Yarethem, że o mało nie zatraciła się w tym bólu. Wydało się jej, że ktoś chwycił wiszący u boku Yaretha alizoński miecz i rozrąbał jego ciało i duszę na pół. A ponieważ była tak blisko — nie tylko dotykała jego umysłu, ale przenikała go — niewidzialny brzeszczot przeszył i ją. Krzyknęła głośno wirując i mknąc w stronę nieprzeniknionych ciemności. Coś — cień ze skrzydłami — wirowało razem z nią. Śmiały Wojownik! Podleciał do niej bliżej. Zrozumiała, że wędrują razem, i ucieszyła się, iż będzie jej towarzyszył w tej podróży. Podróży... czy to mogła być śmierć? Jeśli tak, to w niczym nie przypominała tego, co zawsze sobie wyobrażała. Nie bała się ciemności, skoro Śmiały Wojownik dotrzymywał jej towarzystwa. Ciemność była spokojna i przyjazna.

— Myszko, wróć! — zawołały jej siostry. Te słowa odbiły się echem w jej umyśle, przeniknęły przez spowijającą go ciemną mgłę. — Wracaj! — dodała w myśli Gwiazdka. — To nie jest śmierć, jeszcze nie. Nie umrzesz, jeśli teraz wrócisz. Potrzebujemy cię! Wszyscy cię potrzebujemy! Pamiętaj, że tylko ciebie słucha Klejnot!

Miały rację. Żegnaj, Śmiały Wojowniku, powiedziała. Duch sokoła zawahał się na chwilę, a potem poleciał dalej.

Myszka wpadła w panikę. Z całej siły ściskając Klejnot i korzystając ze wsparcia swoich towarzyszek, wygramoliła się z umysłu taty. Naraziła się na niebezpieczeństwo, gdy pozwoliła, żeby Klejnot zaniósł ją głębiej do umysłu ii osoby, niż mogła to kontrolować. Papa zgiął się we dwoje prawie dotykając ziemi, zasłaniając oczy rękami.

— Och, nie. Nie — powiedziała mama. Położyła ziemi ciało Śmiałego Wojownika, odwróciła się i objęła swego małżonka.

Myszka zamrugła, wracając do siebie. Odzyskania poczucia odrębności własnego umysłu po tym, jak się było częścią drugiej osoby, okazało się niemal równie trudne jak powtórne narodziny. Zawsze wiedziała, że tata kochał Śmiałego Wojownika, chociaż dopiero teraz zrozumiała to w całej pełni. I sokoł również miłował swojego ludzkiego partnera. Czasami, gdy obaj rozmawiali ze sobą w sokolim języku, dźwięki wydobywające się z ich gardeł po prostu wypełniały powietrze wokół nich. A kiedy usilnie się starała, słyszała, że iskrzą się i wibrują miłością. Przypominało to uczucie łączące tatę i mamę, ale jednak trochę inne. Było bowiem bardzo proste i bezpośrednie, żeby ptak mógł jej zrozumieć. Z mamą i tatą wszystko było bowiem bardziej skomplikowane. Kiedy jej rodzice byli ze sobą, słyszała ciche dzwonięcie, które rozchodziło się i unosiło nad ich głowami zamykając ich w rozśpiewanej kuli. Myszka myślała, że musi ona być równie bezpieczna i niedostępna dla innych jak osobiste niebo. Czasami zastanawiała się, czy mama kiedykolwiek to usłyszała, a potem uznała, że to zbędne. Wystarczało, że żyła w kokonie pieśni miłosnej.

Teraz, po raz pierwszy w życiu, Myszka zobaczyła to, co dotąd tylko słyszała. Niebieskie isierki jak dźwięki srebrnego dzwoneczka wyływały z mamy, gdy mocno obejmowała tatę i wyglądało to tak, jak to sobie zawsze wyobrażała.

— Och, jest mi tak przykro, Yarecie — powiedziała mama. — Naprawdę nic nie mogłam zrobić...

— Wiem. — Tata zgarbił się lekko. Jakiś mięsień zadrżał w jego policzku, działało się tak zawsze, gdy starał się ukryć swoje uczucia. Przez chwilę mocno ścisnął mamy rękę, po czym rzekł: — Zrobiłaś, co mogłaś. On nie powinien być zostać ranny. Mógł ominąć tę strzałkę.

— On się starzał, kochanie. Nie był już taki szybki jak niegdyś. I sam zabił Kolderczyka i maszynę, której tamten był częścią. To my powinniśmy teraz spisać się tak dobrze jak on, który zabrał ze sobą potężnego wroga w odwieczną pustkę.

— Tak. To była śmierć godna pieśni. Ale on nie żyje, Eirran. A Sokolnik bez sokoła tylko w połowie jest mężczyzną.

— Dla mnie zawsze będziesz najwspanialszym mężczyzną na świecie. — I pocałowała go na oczach wszystkich.

Wydawało się, że klęcząc przy ciele Śmiałego Wojownika zapomnieli o całym świecie. Otaczała ich kula iskrzącego się niebieskiego światła tak jaskrawego, że prawie oślepiało, odcinając ich od wszystkiego. Myszka czuła jednak, że w sercu taty pozostało duże puste miejsce tam, gdzie żył jego sokół, i że mama o mało sama nie opróżniła własnego serca starając się mu dopomóc. Małe czarownice, siostry Myszki, stały w pobliżu, trzymając się za ręce i patrząc. Na ich twarzyczkach malował się smutek i współczucie dla zastygłego w bólu Sokolnika i jego żony. Gwiazdka spojrzała na Myszkę i skinęła głową. Wszystkie razem użyczyły mu swojej siły. Yareth znów się wyprostował.

— Musimy pogrzebać Śmiałego Wojownika — powiedział stanowczo.

— Tak.

— Odszedł i pozostała po nim tylko powłoka, ale nie pozwolę, żeby zjadły ją ścierwojady.

Weldyn wszedł na polankę i od razu ogarnął okiem sytuację.

— Psy już nas ścigają — powiedział szorstko. — Wkrótce znajdą nasze ślady. Nie możemy zwlekać.

Tata spjrzał na niego w sposób, który mama nazywała „sokolim spojrzeniem”. Patrzył tak wtedy, gdy rozmawiali! o Rofanie, który był tak okrutny dla Beldy tam, w Blagden. Miał taką minę jak w dniu, w którym ukarał Rofana.

— A gdyby to zginał Ostry Szpon, czy porzuciłbyś jego ciało na poboczu drogi i uciekł, żeby ratować swoją skórę?

Weldyn zaczerwienił się i zmarszczył brwi.

— Pogrzeb go wiec, ale pośpiesz się z tym. — Oddalił się wielkimi krokami. Kilka czerwonych iskerek zamigotało w powietrzu za nim i Myszka zrozumiała, że jest bardzo rozgniewany.

— Pomogę ci, tato — zaproponowała.

— Czy poszukamy odpowiedniego miejsca? — zapytała mama. — Jakiejś kryjówki?

— Nie. Tutaj — odparł tata. Wskazał na miejsce, gdzie leżało ciało sokoła. — Właśnie tutaj.

— Ale jeśli Alizończycy nas szukają i jeżeli znajdą ten zagajnik...

— Tutaj — powtórzył uparcie tata. — W miejscu, w którym umarł.

II

Wystawili wartę i na środku polanki, tam gdzie Eirran próbowała ratować rannego sokoła, wykopali dół. Estcarpiańscy gwardziści, nawet ci, którzy stanęli na straży, znaleźli wolną chwilę, żeby podejść do Yaretha i wyrazić mu współczucie i żal z powodu straty, jaką poniósł. Weldyn zaś, powiedziawszy to, co miał do powiedzenia, opuścił zagajnik razem z Oстрыm Szponem, żeby dowiedzieć się, gdzie znajdują się Alizończycy.

Odczuwając niejasną potrzebę dopełnienia obrzędu, małe czarownice chciały zaśpiewać jakąś piosenkę nad grobem Śmiałego Wojownika. Myszka wiedziała, że ciężkie przeżycia ostatnich dni wycisnęły na nich piętno. Gdyby nadal były takie dziecinne jak wtedy, gdy opuszczały swoje rodziny, nigdy by o tym nie pomyślały.

Ustawiły się kręgiem wokół grobu, wzięły za ręce i zaczęły śpiewać. Jedyną pieśnią, jaką znały, była ta, którą śpiewały wjeżdżając do miasta Es tak dawno temu, kiedy jeszcze były dziećmi. Nie bardzo pasowała do tej okazji, ponieważ mówiła o tym, jak są szczęśliwe podróżując, ale gdy śpiewały ją słodkimi głosikami, wszystkim wydała się piękna i nikt nie zwracał uwagi na słowa. Tata i mama Myszkki mocno trzymali się za ręce i wyglądali trochę lepiej, kiedy dziewczynki skończyły śpiewać.

— Jeszcze nie skończyliście? — odezwał się Weldyn, mącąc uroczysty nastrój. — Psy idą naszym tropem i są już blisko. Musimy uciekać.

Tata spojrział na niego ze złością, a potem z trudem przełknął ślinę. Myszka wiedziała, że ukrył wspomnienie o Śmiałym Wojowniku w bezpiecznym miejscu, skąd będzie mógł je wyjąć i obejrzeć później, kiedy ból i gorycz utraty zmaleją. Ale w jego oczach znowu pojawił się ów „sokoli” błysk.

— Dobrze — powiedział. — Dobrze się stało, że wszyscy dosiadamy torgiańczyków i że stworzone dla nich iluzje nie zniknęły. Miejmy nadzieję, że Alizończycy nie zabrali swoich najlepszych wierzchowców, by nas ścigać. Na koń! Wracamy do domu.

Dom! Cóż to za cudowne słowo! Lecz Myszka z bólem serca uświadomiła sobie, że tak naprawdę to nie wie, do którego domu chce wrócić — do czarownic z Estcarpu czy do Blagden z mamą i tatą — zupełnie jak wtedy, gdy porwali ją Alizończycy. Wówczas wszystkie tęskniły za domem, bezpiecznym miejscem, które tak nazwały z braku innego określenia. Teraz Myszkce wydawało się, że nie tylko ona się waha.

— Nie martw się tak bardzo — odezwała się Gwia Myszka zdała sobie sprawę, iż myślała tak intensywnie, że jej siostra musiała ją usłyszeć. — Podejmiesz odpowie decyzję we właściwym czasie.

— Mam nadzieję — odparła Myszka. Czowała się ba źle. Najpierw czarownice przybyły po nią i poszła, z bez namysłu. Potem to porwanie. Wreszcie rodzice byli po nią — a z ich rozmowy zorientowała że przeżyli wiele niebezpieczeństw — i biedny Śmiały Wojownik zginął w walce z Kolderczykiem, a teraz nawet nie może się zdecydować, gdzie chce mieszkać, kiedy wrócą do Estcarpu. Czy kiedykolwiek zdoła im to wytłumaczyć? Albo tata i mama, alt Strażniczka? Zgarbiła się siedząc na łęku maminego siodła. Nagle uświadomiła sobie, że wspaniały torgiańczyk taty, Rangin, również się starzeje, i że on też umrze pewnego dnia.

I, co gorsza, Weldyn, który nadal nie chciał wieć żadnej z małych czarownic, zaczął dokuczać tacie. Wydawało się, że nie zdaje sobie sprawy — albo jest mu to obojętne — jakie to niebezpieczne.

— Gdybyś był znów w Gnieździe, bez trudu zastąpiłbyś swojego sokoła nowym pisklciem. — Podniósł Ostrego Szpona na pięści i ponownie wysłał go w powietrze.

— To mój trzeci.

— Jak rozumiem, przed Wielkim Poruszeniem wychowywaliście wasze ptaki od chwili wyklucia się z jajka — powiedział Dunnis. To on wyniósł Myszkę z zamku. Był bardzo miły i czasami bardzo zabawny. Teraz wioził przed sobą Seplenisę, która trzymała kciuk w ustach, przenosząc wzrok z taty na Weldyna i z powrotem. Myszka zrozumiała, że Dunnis stara się nie dopuścić do kłótni i zmienić temat rozmowy. Obserwowała go tak uważnie jak Seplenisia.

— Tak było, ale Sokolarnia uległa zniszczeniu razem z Gniazdem.

— Niewielu wie o tym tak dobrze jak ja — powiedział tata. W jego głosie zabrzmiała groźna nutka, którą Myszka znała bardzo dobrze, ale Weldyn zdawał się jej nie słyszeć, tak jak nie zauważył „sokolego spojrzenia” taty. A jeśli zauważył, nie obchodziło go to.

— Rzeczywiście? — zapytał z niedowierzaniem.

— Tak, rzeczywiście. Próbowałem odnaleźć Gniazdo. Zamierzałem odbudować je tak samo jak kobiecą wioskę...

Weldyn popatrzył na tatę, a potem na mamę. Wyraz jego twarzy świadczył, że wszystko rozumiał.

— Ach! Więc to wówczas po raz pierwszy spotkałeś tę... tę kobietę i dlatego zabrałeś ją ze sobą — powiedział kpiącym tonem. — Wielka szkoda, że masz za słabą wolę, żeby wprowadzić w życie swoje zamiary.

Wtedy mama zabrała głos i Myszka nigdy nie słyszała jej przemawiającej do kogoś tak ostrym tonem:

— Za słabą wolę? Chciałabym, żebyś to ty walczył z potworem, którego pokonał mój małżonek! Śpiewałbyś teraz na inną nutę, Sokolniku!

Weldyn w odpowiedzi wydał bardzo dziwny dźwięk, rodzaj zduszonego prychnięcia przez nos. Ścisnął konia kolanami i pocwałował do przodu.

Tata, mama i pozostali Estcarpianie zaraz go dogonili. Wszyscy jechali szybko, gdyż jadący ich tropem Alizończycy byli już bardzo blisko.

— Czy nie powinniśmy jechać na przełaj? — zapytał Loric. Posadził wygodniej Ptaszynkę.

— Jeszcze za wcześnie — odparł Weldyn. — Teraz lepiej wykorzystamy czas jadąc drogami. Tak długo, jak Ostry Szpon będzie nas informował, gdzie są prześladowcy, nie musimy szczególnie się niepokoić. Martwi mnie co innego, że mogą nas wyminąć i wziąć w dwa ognie.

— Kiedyś będziemy musieli się zatrzymać — wtrącił Ranal. Błada jak płótno Płomyk tuliła się do niego. Oczy miała zamknięte. — Dzieci długo nie wytrzymają takiej jazdy.

Myszka dobrze wiedziała, jak czuje się jej siostra, gdyż sama opierała się tak o mamę, zmuszała się jednak do obserwowania tego, co się wokół niej działo.

— Będą musiały jechać tak długo jak my — rzucił Weldyn. — Nie mają wyboru.

— Głodzono je, znęcano się nad nimi i torturowali je Kolderczycy, jeśli nie odpoczną i nie dostaną porządnego pożywienia, umrą. — Mama szturchnięciem zmusiła konia, żeby zrównał się z wierzchowcem Weldyna. — Mówisz ciągle o tym, jacy to jesteście wspaniali, jak wielcy są Sokolnicy w porównaniu z Alizończykami. Znam możliwości mojego małżonka. Teraz ty nam pokaż, na co cię stać.

Spojrzał na nią prawie bezbarwnymi oczami.

— Myślałem, że nie potrzebujesz pytać po walce w kolderskim pokoju Alizonu — powiedział. — Jednak wykonam to, co twój... twój, hm, małżonek sobie życzy. To jego wyprawa, a nie moja. I to jemu, a nie mnie Strażniczka przekazała dowództwo.

Ton jego dowodził, że sadył, iż wybrano na dowódcę niewłaściwego Sokolnika. Papa wszakże tylko skinął głową i mocniej przytulił do siebie Seplenisę. Spojrzał na

niebo. Słońce już prawie schowało się za żywopłotami.

— Poślij Ostrego Szpona, żeby znalazł dla nas miejsce na odpoczynek. Kiedy rozbijemy obóz, poszukam czegoś do jedzenia.

— Nie możemy sobie pozwolić na taki luksus jak ognisko.

— Mamy jeszcze podróżne suchary w sakwach — wtrąciła Eirran. — A jeśli dopisze nam szczęście, znajdziemy jadalne korzenie i bulwy. Niestety, jeszcze za wcześnie na jagody. Weldyn odwrócił się do niej. Na jego twarzy malowało się obrzydzenie.

— Wiec to ty jesteś tą kobietą, która nauczyła pewnego Sokolnika żywić się roślinami jak zwierzę.

— A ja przypuszczam, że myślisz...

Tata włożył palec do ust i gwizdnął przeciągle, tak że wszystkie konie drgnęły, a Ostry Szpon zaskwirzył i załopotał skrzydłami. Weldyn nie bez trudu uspokoił zarówno swego wierzchowca, jak i ptaka.

— Rób, co ci każą — oświadczył tata. — Nie mamy czasu na spory.

III

Tej nocy schronili się w jakimś opuszczonym kamiennym budynku. Niegdyś była to pewnie stodoła, albo nawet dom mieszkalny. Najprawdopodobniej jednak praktyczne połączenie obydwu. Słomiany dach był dziurawy, ale dla wszystkich starczyło miejsca, nawet dla koni. Za domem Eirran odkryła pozostałości ogrodu. Dawno już zarósł zielskiem, ale nadal rosły w nim nieliczne jadalne rośliny przebijając się przez duszący je gąszcz. Zadowolony z tego tata uznał nawet, że po zmroku mogą sobie pozwolić na niewielkie ognisko; ścigający nie będą w stanie dostrzec dymu i ich wytropić. Loric poszedł na polowanie z Weldynem, ale w tej części Alizonu było mało zwierzyny łownej. Ukradli więc jagnię z nie strzeżonego stada, które pasło się na pobliskiej łące. Tacie powiodło się nieco lepiej. Złapał w pułapkę parę królików, podczas gdy mama w zapuszczonym ogrodzie zebrała wszystko, co nadawało się do jedzenia.

Niebawem wbite na rożen jagnię piekło się nad ogniskiem. Mama wyglądała na bardzo zadowoloną przygotowując z tatą gulasz z królików i obracając podróżne suchary. Sześć małych czarownic siedziało rzędem, przyglądając się temu i czekając. Burczało im z głodu w brzuskach i mama dała każdej łyżkę, by mogła trzymać ją w buzi, zanim kolacja będzie gotowa.

Weldyn głaskał Ostrego Szpona, rozmawiał z nim i karmił, czekając, aż jego posiłek będzie gotowy. Myszka miała nadzieję, że choć na krótko zostawi tatę w spokoju, ale on nie chciał. Przemawiał tylko na pozór do swojego sokoła i do pozostałych gwardzistów. Dziewczynka wiedziała jednak, że w tym tkwi coś jeszcze.

— Dobry Ostry Szpon — mówił. — Piękny, dzielny ptak. Nigdy nie będzie takiego jak ty, mimo że spotkaliśmy się w dzikiej okolicy. Gniazdo nie istnieje, ale czarne sokoły nadal żyją. — Zerknął z ukosa na Dunnisa. — Wiesz, tak właśnie spotkałem mojego sokoła. Kiedy góry ruszyły z posad, niektóre ptaki uciekły i teraz rozmnażają się na wolności. Ten piękny sokół odnalazł mnie po śmierci Szponiastej Stopy. I od tej pory jesteśmy razem, prawda, Ostry Szponie? Rozpoznałeś prawdziwego Sokolnika, gdy go zobaczyłeś. Nie takiego, który pozwolił się zdeprawować, stał się mięczakiem i zadaje się z ko...

— Wystarczy na dziś, Weldynie. — Tata wstał i wyprostował się na całą wysokość. Był blady i miał taki wyraz oczu, że Myszka zatrząsłaby się ze strachu, gdyby to na nią tak spojrział.

— Ty nie jesteś prawdziwym Sokolnikiem — powiedział leniwie Weldyn. — Już nie. Gdybym był tobą — a dziękuję Wielkiemu Sokolowi, że nie jestem — nie łudziłbym się nadzieją, że odnajdzie mnie jakiś dziki sokół.

Tata zrobił krok w stronę Weldyna. Migotliwy blask ogniska oświetlił jego twarz. Jego oczy połyskiwały groźnie.

— Dość mam ciebie i twoich uwag. Próbowałem panować nad sobą, starałem się pamiętać, że ta misja nic dla ciebie nie znaczy, ponieważ szukamy mojej córki, a jest to coś, czego nigdy nie zrozumiesz. Pozwalałem ci się obrażać, pozwalałem, żebyś obrażał moją żonę. Ja umiałem wznieść się ponad twoje obelgi i myślałem, że Eirran nigdy się o tym nie dowie. Teraz jednak posunąłeś się za daleko i więcej już nie zniosę. Chodź na pobocze i załatwimy tę sprawę tutaj i teraz, tak jak robią to Sokolnicy.

— Nie! — Mama zerwała się i stanęła między nimi wymachując chochlą, którą mieszała gulasz. — Weldynie! Przez całą drogę do Alizonu słuchałam twoich złośliwych insynuacji obrażających Yaretha i zastanawiałam się, dlaczego nie broni

ani siebie, ani mnie. Teraz rozumiem. Tak, pokłóciliście się. Ale... — podeszła do Weldyna i potrząsnęła mu chochlą przed nosem — poczekacie, aż wrócimy do Estcarpu, żeby rozstrzygnąć swe spory, albo obaj odpowiecie za to przede mną!

Tata uśmiechnął się, a potem roześmiał głośno. Zwrócił się do gwardzistów, którzy z trwogą obserwowali tę wymianę zdań.

— No cóż, panowie, moja żona zabrała głos i będzie tak, jak powiedziała. Jestem pewien, że wszyscy to rozumiecie, no może z wyjątkiem Weldyna. On nigdy tego nie zrozumie!

Gwardziści roześmiali się z ulgą. Mogli teraz nieco się odprężyć. Wydawało się, że niebezpieczeństwo oddaliło się na chwilę. Myszka i jej siostry wymieniły spojrzenia.

— Kto chce jeść? — Mama odwróciła się do dziewczynek.

Cała szóstka wyjęła łyżki z ust i zamachała nimi z podnieceniem.

— My wfyftkie — powiedziała Seplenisia. — Profę, jak powinnyśmy cię nazywać?

— Eirran wystarczy.

— Dziękuję ci, Eirran. — Świerszczyk wyciągnęła swój talerz. — Wiesz, że oni się nie pogodzili i nie zapomną o kłótni — dodała tak cicho, że nawet Myszka z trudem ją usłyszała.

— Tak — odpowiedziała mama. Spojrzała zmartwiona na tatę. — Wiem.

IV

Tej nocy dziewczynki znowu spały na posłaniu ze słomy — tutaj była jeszcze bardziej zleżała i gorzej pachniała niż tamta w zamku Alizon. A jednak, mimo jej zwierzęcego odoru i szelestu różnych stworzeń, których schronienia zostały zburzone, Myszka i jej siostry wtuliły się w nią z zadowoleniem. Choć bardzo zmęczone i senne: po smacznej kolacji, nie zasnęły od razu, tylko leżały szepcząc jeszcze do siebie jakiś czas.

— Jak myślicie, dotrzemy bezpiecznie do domu? — Ptaszynka poruszyła się, wzbijając ze słomy obłok kurzu.

— Musimy — odrzekła Płomyk. — Och, teraz, kiedy w końcu dostałam coś do jedzenia, czuję się znacznie lepiej. A ty, Myszko?

— Lepiej niż sądziłam. — Myszka objęła się ramionami, zadowolona, że czuje w żołądku ciepłe brzemie. — Jeszcze dzień i wszystko wróci do normy.

— Jeszcze dzień i będziemy w Estcarpie, jeśli utrzymamy takie tempo — zauważyła Świerszczyk.

— Niezupełnie — zaoponowała Gwiazdka, powstrzymując kichnięcie. — Ale może za dwa dni.

Myszka przysunęła się do Ptaszynki i dziewczynki zaczęły rozmawiać szeptem.

— Czy widziałaś dzisiaj niebieskie iskierki wokół mojego taty i mamy?

— Oczywiście. I czerwone również. Przez cały czas widzę takie rzeczy.

— Ja nigdy nic podobnego nie widziałam. Słyszałam to tylko.

— A ja nie miałam pojęcia, że inni ludzie tego nie zauważają. Myślę, że tym razem nawet to usłyszałam.

— Może teraz będziemy mogły to robić przez cały czas. Głos mamy przeciął dyskusję.

— Cicho. Przestańcie szeptać. Śpijcie.

— Tak, mamo.

— Tak, Eirran — odparły pozostałe dziewczynki z wyjątkiem Świerszczyka, która powtórzyła za Myszką „Tak, mamo”. Słyszając to wszystkie zachichotały po raz pierwszy od chwili porwania. Później jednak posłusznie zamilkły i zasnęły ożywczym snem.

Zanim świt rozjaśnił widnokrąg, uciekinierzy już byli w drodze. Tata i Weldyn przestrzegali zawieszenia broni. Trzymali się od siebie z daleka, rozmawiali tylko wtedy, gdy było to konieczne, a i wówczas wyłącznie o sprawach ważnych.

— Pojedźcie dalej tą drogą i spróbujecie zyskać na czasie — oświadczył Weldyn.

— Ostry Szpon i ja zostaniemy z tyłu i będziemy śledzić ścigających nas wrogów.

— Bądź ostrożny — odrzekł tata. — Nie czeka cię nic dobrego, jeśli cię złapią.

Weldyn uśmiechnął się niewesoło.

— Nie musisz udzielać mi lekcji sztuki wojennej Sokolników — odparł. — Wkrótce was dogonię.

Tego dnia Myszka jechała z tatą, a Gwiazdka przed mamą. Myszka zanurzyła ręce w grzywie Rangina. Torgiańczyk odwrócił głowę i spojrzął na nią, jakby mówił: Och, to ty. Później zaś potrząsnął grzywą i jał przebierać nogami tak, jak to robił w Blagden. Tak dawno temu...

Teraz, kiedy oddalili się już znacznie od miasta Alizon, utrzymywali szybkie tempo, żeby jak najprędzej dotrzeć do granicy Estcarpu, dokąd — jak oczekiwali — Psy nie zechcą się zapuścić. Myszka nie chciała nawet myśleć o tym, w jaki sposób przedostaną się ponownie przez Alizońską Przełęcz. Budziło to w dziewczynce

przerażenie. Ta czarodziejska mgła i ziemia, która sama powstała przeciwko intruzom i chciała ich zepchnąć na Moczary Toru! Myszka wiedziała, że kiedy znajdą się znów bezpieczni w Estcarpie, tata i Weldyn rozstrzygną spór raz na zawsze. O tym także nie chciała myśleć.

— Tato?

— Tak? — zapytał z roztargnieniem.

To mogło poczekać.

— Nic, kocham cię

— I ja cię kocham.

Weldyn dogonił towarzyszy.

— Mamy kłopoty — powiedział.

— Wiedzieliśmy o tym — odparł tata.

— Większe niż myślałeś. — Ostry Szpon zaskwirzył i usiadł na specjalnie dla niego przygotowanej grzędzie w kształcie widełek. — Mają dobre konie. Ale jest jeszcze coś bardziej niepokojącego. Psy, które nas ścigają, mają ze sobą kogoś, kogo przywiązały do siodła i zmuszają go do jazdy na przedzie. Wydaje mi się, że jest to nasz przyjaciel Talgar. Trudno powiedzieć, gdyż strasznie wygląda. Od czasu do czasu któryś z Psów zbliżał się do niego i smagał go batem. Myślę, że bardzo się zirytowali, kiedy odkryli, że to on ich zdradził.

Tata zacisnął szczęki.

— Istotnie to złe wieści, ale przecież się tego spodziewaliśmy. Próbowaliśmy go ostrzec. Czy to już wszystko?

— Chciałbym, żeby tak było. — Weldyn otarł czoło. — Dowiedziałem się, dlaczego nas dotąd nie dogonili. Wysłali przodem oddział Psów jakąś nie znaną nam okrężną drogą przez żywopłoty. Będą czekali na nas przy Alizońskiej Przełęczy.

— Mają zatem nadzieję wziąć nas w kleszcze. — Tata spojrzał na południe, w stronę niebieskawej smugi Gór Alizońskich. — I rozsiać ku przestrodze naszych przyjaciół nasze kości. Girvan chyba mówił szczerze, kiedy ostrzegał nas przed niebezpieczeństwami, jakie czekają próbujących przejechać przez te góry. Teraz jednak wygląda na to, że jest to jedyny sposób uniknięcia spotkania z Psami i losu, jaki nam szykują.

— Ja tam nie miałbym nic przeciwko temu — powiedział Hirl. — Przyjemnie jest walczyć z Psami.

— I naraziłbyś życie dzieci, które mieliśmy ocalić. — Tata potrząsnął przecząco głową. — Sam osobiście wolałbym skrzyżować miecz z Psami, a nie unikać ich. A to musimy zrobić. Walka w zamku tylko pobudziła mój apetyt na krew Alizończyków, którzy paktowali z Kolderem... — urwał z okrzykiem oburzenia.

— Muszę się w tym zgodzić z bratem Sokolnikiem — oświadczył Weldyn — chociaż nie z tych samych powodów. W innych okolicznościach moglibyśmy spróbować walczyć z obu oddziałami Psów naraz, nawet gdyby małe czarownice musiały biegiem szukać sobie kryjówek. Ostatecznie jest nas sześciu

— Siedmiu — mruknęła mama, ale Weldyn nawet nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Razem przewyższają nas liczebnie. Wypada czterech na jednego. I są uzbrojeni w miecze i pistolety strzałkowe. Nawet jeśli pistolety są tak zaniedbane jak ten, który zabrałem tamtemu strażnikowi, zdążą ustrzelić kilku z nas, zanim staną się bezużyteczne. Nawet dla mnie mają za dużą przewagę. Dlatego zgadzam się z tobą. Jedziemy przez góry.

— W takim razie skorzystamy z propozycji Lorica, opuścimy tę drogę i ruszymy na przełaj — odrzekł tata. — Teraz.

Weldyn skinął głową. Posłał Ostrego Szpona w górę, żeby znalazł drogę.

Rozdział trzynasty

I

Odkryli boczną drogę odgałęziającą się od głównego traktu. Zjechali na nią w nadziei, że Alizończycy spodziewają się, iż uciekinierzy opuszczą ich kraj najkrótszym i najprostszym szlakiem. Ta znacznie węższa droga najpierw lekko skrzyła we wschodnim kierunku, a potem powiodła już prosto na wschód. Ani Yareth, ani Weldyn nie zdradzali najmniejszego zaniepokojenia. Ich ostatecznym celem były góry Alizońskie. Czy to ważne, w jakim miejscu do nich dotrą, skoro tą dróżką mogli ominąć zasadzki ścigających ich Psów?

Podczas jazdy Eirran obrzucała zdziwionymi spojrzeniami Myszkę — nie, Jenys — która tego dnia podróżowała z ojcem. W świetle poranka wiszący na jej szyi Klejnot Czarownicy lśnił mlecznobiałym blaskiem. Nie chciała wierzyć własnym oczom widząc przemianę, która dokonała się w córce. Nie spowodował tego strój — chociaż brudna i podarta, jej sukienka i sukienki pozostałych dziewczynek miały ten sam krój co szaty Czarownic — ani bladeść czy osłabienie Myszki...

Nie, nie Myszki. Jenys. Przecież to imię wybrała dla niej z Yarethem. A mimo to niezwykle łatwo przychodziło Eirran nazywać córkę Myszką. To na pewno nie zaszkodzi, przynajmniej dopóty, dopóki nie wrócą do domu...

Myślała, że Yareth i Weldyn pobiją się ostatniej nocy. Bała się o Yaretha. Spodziewała się tej scysji. To Yareth rzucił wyzwanie. Zdawała sobie sprawę, że gdyby nawet Weldyn się wycofał, jej małżonek nigdy tego nie uczyni. Weldyn był starszy, jednocześnie cięższy i nieco wyższy od Yaretha. Jego upór i bezwzględność przerażały Eirran, gdy pomyślała o czekającej ich ostatecznej śmiertelnej walce. Tylko taka była możliwa, gdy w grę wchodził honor Sokolników.

— Jesteś zmartwiona, Eirran — powiedziała Gwiazdka. — Wyczuwam to po sposobie, w jaki się poruszasz i dosiadasz konia.

— Tak — odrzekła — jestem. Boję się, że nie zdołam powstrzymać ich od walki. On zabije Weldyna. Albo, co gorzej, Weldyn jego zabije. I co się wtedy ze mną stanie?

Gwiazdka nie musiała pytać, kim był ten „on”.

— Nie mogę ci poradzić, żebyś się nie martwiła, gdyż masz prawo się niepokoić — odrzekła. — Mogę ci tylko powiedzieć, że niedobrze jest się zamartwiać na zapas. Wiele może się zmienić, zanim obaj skrzyżują miecze.

Eirran odwróciła ku sobie twarz dziewczynki i spojrzała jej w oczy.

— Jeszcze jedna sześciolatka, która zbliża się do czterdziestki! Czy wy wszystkie jesteście takie?

— Tak, Eirran. No, prócz Seplenisi — dodała uczciwie Gwiazdka. — Pod pewnymi względami ona jest bardzo niedojrzała.

Eirran, słysząc te słowa z ust dziecka, nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

— O tak. Już dawno powinna wyrosnąć z ssania palca, ale przecież...

— To nie tylko to. Ssanie palca to nie wszystko. W drodze do Alizonu, gdy nas porwano, okazała się bardzo słaba. Bałyśmy się o jej los, gdyby trafiła do kolderskiej maszyny. Jednak jest jedną z nas. Naszą siostrą.

Zimny dreszcz przebiegł Eirran po plecach. Nie chciała się nad tym zastanawiać i zmieniła temat rozmowy:

— Opowiedz mi o tym Klejnocie.

— No cóż, kiedy pozostawiliśmy was w zamku, zaczęliśmy go wypróbować. Chciałyśmy sprawdzić, czy będzie działał.

Wszystkie go wypróbowały, ale tylko Myszka mogła posługiwać się nim przy wzmacnianiu i sterowaniu myślami i mocą dziewczynek. Szybko przekonały się też, że i one to potrafiły, choć tylko za jej pośrednictwem.

Po kilku daremnych próbach, wspomagana przez przyjaciółki i Klejnot Seplenisia zdołała uczynić wszystkich niewidzialnymi, chociaż nieszczególnie jej się to udało, gdyż wszyscy, a zwłaszcza gwardziści, coraz to odkrywali, że widzą swoje ramię czy nogę. Poczuli prawdziwą ulgę, spotkawszy Talgara w chwili, kiedy wychodziły z wieży na wewnętrzny dziedziniec. Na rozkaz Gwiazdki Seplenisia poluzowała kontrolę nad iluzją i wszyscy nagle stali się widoczni, a pod Seplenisia ugięły się nogi i usiadła.

Reakcja Talgara rozbudziła ich wesołość. Kiedy Alizończyk przyszedł do siebie po wstrząsie, wywołanym nagłym zjawieniem się znikąd czterech mężczyzn i sześciu dziewczynek, zgodził się pomóc im w opuszczeniu zamku i miasta.

— Później musicie sami dać sobie radę — powiedział.

— Och, proszę! — Myszka była bliska łez. — Moi rodzice i jeszcze jeden Sokolnik nadal są gdzieś tutaj. Poszli walczyć z Kolderczykami.

— Z Kolderczykami, tak? — Talgar wyglądał na zamyślnego. — To Kolderczycy są powodem wszystkich nieszczęść, jakie spadły na Alizon w minionych latach. Przynajmniej ja tak myślę. — Uśmiechnął się nagle. — A to, co ja myślę, teraz się liczy, gdyż to właśnie mnie kapryśna Pani Fortuna wybrała, żebym wam pomógł. Nie kocham Kolderczyków. Dobrze. Jeżeli twoi rodzice wyjdą cało i zdrowo z kolderskiej nory, wyprowadzę wszystkich z zamku.

Szybko, znacznie sprawniej niż zrobiła to Seplenisia, Świerszczyk zamieniła wszystkich w alizońskich gwardzistów i białe psy, i z Talgarem na czele wyruszyli poszukiwania zagubionych w twierdzy. Talgar poprowadził ich ukrytym w murze tunelem: mogli iść szybko i nie pokazywać się nikomu.

— A resztę już znacie — stwierdziła rzeczowo Gwiazdkam.

— Ależ to wszystko nie wyjaśnia, w jaki sposób mogłyśmy cię posłużyć się Klejnotem. Zawsze myślałam, że każdy Klejnot należy tylko do jednej czarownicy.

— Jesteśmy przekonane, że Liść przed śmiercią przekazała Myszcce swój Klejnot — powiedziała Gwiazdka. — Zawołała ją po imieniu i próbowała coś powiedzieć. Baron Esguir rzucił gdzieś jej Klejnot. Uważamy, że Liść chciała, żeby Myszka go znalazła i posłużyła się nim, by sprowadzić nas z powrotem do Estcarpu. Nie pozwolono go nam poszukać. Zapomniałyśmy o nim, aż dałaś go Myszcce.

— Rozumiem. — Jechały jakiś czas w milczeniu. Eirran pomyślała o impulsie, który kazał jej schować czarodziejski kamień za pazuchę. Pozostał tam, zapomniany także i przez nią, dopóki nie przypomniał o sobie i nie trafił do rąk tej, która mogła się nim posługiwać, nawet jeśli nie bardzo wiedziała jak.

Z przodu dobiegł stłumiony okrzyk jeźdźca, który prowadził grupkę uciekinierów.

— Tutaj! Przejście przez żywopłoty!

Eirran szturchnięciem ponagliła swego konia. Przed nimi, tuż za zakrętem wąskiej dróżki Ranal znalazł miejsce, w którym dwa żywopłoty rozgałęziały się, pozostawiając przesiekę, przez którą mogła przejść jedna osoba albo jeden koń, pod warunkiem że nie niósł żadnego ciężaru — jeźdźca czy juków — i nie był za grubej budowy. Było to bardzo sprytnie skonstruowane. Jedna połowa żywej przegrody dzieliła się na ramiona, które otaczały drugą część, tworząc przejście w kształcie litery U. U podstawy U drogę zagradała zawieszona na zawiasach brama. Brama zgniła, gdyż nikt jej od dawna nie używał i nie konserwował. Jakiegokolwiek zwierzę — krowa, owca, a nawet koń — mogło tam zabłądzić, uznać, że poszło w niewłaściwą

stronę i wycofać się, nie wiedząc, iż tylko kilka kroków dzieliło je od wolności. Gąszcz ostów okalał kamienne fundamenty. Splątane gałęzie, jakieś pnącza czy wici tworzyły baldachim ponad kamiennymi blokami, a wejście było prawie całkowicie zarośnięte. Ranal i Yareth już odrabowali najbardziej przeszkadzające odnogi. Myszka i Ptaszynka, która jechała z Ranalem, starały się im pomagać, ale tylko im przeszkadzały.

— Krzaki porastające szczyt muru wszystko zasłaniają i nie widać z góry przejścia — powiedział Ranal. — Dlatego twój sokół widział tylko miejsce, w którym żywopłot był nieco szerszy.

Weldyn przyjął to wyjaśnienie i coś rzekł do Ostrego Szpona.

— Teraz wie, czego ma wypatrywać — rzekł. Ptak wzleciał wysoko w górę, szukając następnej wyrwy w nieprzebytych żywych murach zagradzających Estcarpianom drogę do gór, jedynego schronienia przed Psami z Alizonu.

Torgiańskie wierzchowce zapłaciły już wysoką cenę za tę długą podróż, a teraz czekała je przeprawa przez kłujący i raniący końskie boki tunel. Przejście, nie dość, że wąskie, to było tak niskie, że gdyby niosty jeźdźców, ci musieliby prawie leżeć na grzbietach koni.

— To nas opóźni — mruknął do siebie Loric. Obluzował miecz w pochwie. — Zgadzam się z Hirlem. Wolałbym zawrócić i walczyć z Psami.

— Jeszcze może do tego dojść — odrzekł Hirl uśmiechając się szeroko. — Mogą nas dostrzec, gdy będziemy przemierzali otwartą przestrzeń.

Eirran spojrzała na łąkę, przez którą będą musieli przejechać. Była rozległa i sięgała po szczyt wzgórza. Nie dostrzegła żadnych zagłębień terenu pozwalających się ukryć przed niepowołanym wzrokiem. Po przebyciu jej znajdą się jeszcze bliżej Gór Alizońskich majaczących na horyzoncie. Ale co z następnym przejściem?

Kiedy wszyscy przejechali przez wyrwę w żywopłocie, Yareth i Weldyn zatarli ślady i zamaskowali przejście odciętymi gałęziami.

Ostry Szpon zawisł nad głową Weldyna popiskując szybko. Sokolnik uśmiechnął się z zadowoleniem. ..

— Te żywopłoty są podziurawione przejściami jak rzeszoto! — oświadczył. — Gdybyśmy wiedzieli, czego szukać, byśmy oszczędzili wiele czasu podczas podróży w obie strony. Możemy przyjąć, że większość jest od lat nie używana. Alizończycy, przynajmniej tutaj, wolą budować ponad żywopłotami przełazy. Możemy przebyć je tylko pieszo. Jeśli będziemy wyrąbywać sobie drogę przez każde takie przejście, zostawimy tak wyraźne ślady, że trudno o lepsze.

— Nie ma na to rady. Musimy jak najszybciej dotrzeć do gór — oświadczył Yareth, — W porządku. Albo znajdziemy osłonę przed oczami ścigających, albo alizońscy gwardziści zajęci torturowaniem nieszczęśnika, który nam pomógł, nie zauważą w porę, że opuściliśmy główny trakt.

II

Po przebyciu rozległej łąki i następnego, podobnego tym razem do labiryntu przejścia, w sercu Eirran pojawiła się słaba nadzieja, że podstęp się udał i że prześladowcy zgubili ślad. Wiatr przyniósł z oddali ciche granie rogu.

— A więc stało się — powiedział ponuro Weldyn. — Ruszamy w Góry Alizońskie licząc, że Girvan mówił prawdę, iż Psy boją się tam zapuszczać, albo pościg dogoni nas na otwartej przestrzeni, a wtedy przyjdzie nam walczyć.

W tej części Alizonu prawie nie było zabudowań. Trafiali czasem na jakieś ruiny, kupy gruzu przylegające do żywopłotu jak jego część. Zazwyczaj w pobliżu znajdował się przełaz. Nie wiadomo, czy te budynki były niegdyś domami mieszkalnymi, czy też tylko schronieniami dla pasterzy i ich trzód.

Jeźdźcy spięli ostrogami torgiańczyki, by ponaglić je do biegu. Stracili wiele cennego czasu w poszukiwaniu kolejnego przejścia w żywopłocie. To, co odkrył Ostry Szpon, okazało się tylko niezwykle wybujałą kępą ciernistych krzewów. Bardzo rzadko trafiali na prowadzące na południe przejścia. Nawet przełazów było niewiele. Uciekinierzy nie odważyli się skierować na zachód, gdyż wtedy zbliżyliby się do ścigających. Dlatego znów musieli skręcić na wschód i wreszcie znaleźli ukryte przejście. Kiedy oczyścili je z zielska i kolczastych gałęzi i znaleźli się z drugiej strony tunelu, Weldyn podpalił zrąbane kłębrowisko. W ciągu kilku chwil szczyt żywopłotu stanął w płomieniach. Słup dymu był tak duży, że na pewno dał się zauważyć z Alizońskiej Przełęczy, jednakże prześladowcy powinni zatrzymać się na jakiś czas, póki nie ostygną żarzące się węgle.

Nie mogli jechać na południe, ale na wschodzie szczęście w końcu się do nich uśmiechnęło. Znaleźli przejście w żywopłocie, gdzie kopyta zwierząt zostawiły wyraźne ślady w grząskim błocie. Uciekinierzy błyskawicznie przemknęli przez bramę, mijając stado pasące się na łące. Ruszyli dopiero wtedy, kiedy Yareth zamknął wrota i przewiązał skobel sznurem, który związał w misterne węzły.

— No dobrze — powiedział. — Zdaje się, że rozpalając ogień zyskaliśmy kilka minut. Może to też nam coś da.

Następna brama prowadziła na otwartą przestrzeń. Stała tam chata i stodoła — zapewne dom wieśniaka dogładającego majątku alizońskiego barona, który mieszkał w mieście i interesował się swoją ziemią tylko ze względu na dochody, jakie mu przynosiła. Wieśniak, zwabiony tętentem końskich kopyt na twardej ziemi, wyszedł z chaty. Przezornie wziął widły, ale trzymał je niezdarnie. Najwyraźniej nie był wojownikiem.

— Kim jesteście i co robicie na mojej ziemi? — zapytał. Nie był zachwycony perspektywą, że ktokolwiek — gwardziści z psami o wężowych głowach czy ścigani przez nich uciekinierzy — mógłby przejechać przez jego pola, stratować plony i niepokoić zwierzęta.

— Przepraszamy za wtargnięcie — odpowiedział Yareth. — Jeśli zechcesz, możesz nam pomóc — jak najszybciej musimy się stąd oddalić.

— Hmm — powiedział w zamyśleniu rolnik. — Czy to wy wznieciliście ogień?

— Tak. Mamy nadzieję, że nie przerzuci się na inne żywopłoty. Zrobiliśmy to, żeby opóźnić pościg.

— Widziałem dym. — Mężczyzna spojrział na Eirran i na uczeplone łęków siodeł dziewczynki. — No cóż, nie kocham Psów. Jeżeli uciekacie przed nimi, na pewno macie ważny powód, a nie trzeba wiele, by stać się ich ofiarą. Nie wiedziałem jednak, że zaczęli prześladować kobiety i dzieci.

— Wtrącili mnie do więzienia — odezwała się Eirran — i torturowali te dziewczynki. — Poglaskała włosy Gwiazdki. Skulona na siodle Dunnisa Seplenisia ssała kciuk i patrzyła na wieśniaka szeroko otwartymi, zamglonymi oczami.

Wieśniak splunął pod nogi. Utkwił wzrok w oddali.

— Sam mam żonę i dwie córki. I syna, który chce przyłączyć się do Psów, zamiast zostać na gospodarstwie i mi pomagać. Wybraliście złą drogę ucieczki. W tych stronach nie można się ukryć, a jeśli znajdą was w mojej chacie albo stodole, czeka mnie śmierć.

— Nie zamierzamy narażać ani ciebie, ani twojej rodziny, panie — odrzekł Yareth. Wskazał w stronę gór, które były już bardzo blisko. — Tam zdążamy.

— Nie! Co takiego zrobiliście, że chcecie tam jechać? To już lepiej wpaść w ręce Psów! Wiadomo, że czasami okazują łaskę, jeśli są w dobrym humorze. Zakazane Wzgórza? Nigdy!

Weldyn postąpił krok do przodu.

— On i ja jesteśmy Sokolnikami. Nie przerażają nas żadne góry na świecie — powiedział.

— Tak czy nie, słudzy Ciemności grasują w tych górach. I rozsądni ludzie trzymają się od nich z daleka. Są tacy, którzy mówią, że żyjąc tak blisko, kusimy złe moce.

— A jednak tam chcemy się udać. — Yareth uparcie zacisnął usta. — Lepiej narazić się na nieznaną niebezpieczeństwa niż na pewną śmierć z ręki tych, którzy nas ścigają. — Spojrzał na Eirran.

— No cóż, skoro taka wasza wola... — Wieśniak spojrzął po kolei na każdego z uciekinierów i wszyscy skinęli twierdząco głowami, nawet dziewczynki. — Dwa pola dalej i jedno pole na wschód stoi chata, w której nocowałem, kiedy wypasałem stada na tych łąkach. Przestałem jej używać, kiedy... Nieważne. Chata stoi naprzeciwko żywopłotu. Była niegdyś jego częścią. Jest całkowicie zrujnowana, nie ma dachu, zawaliły się prawie wszystkie ściany. Ostrożnie przejdźcie przez ruiny. Dotrzecie na drugą stronę. Ale ja na waszym miejscu bym tego nie robił.

— Dziękujemy ci, dobry panie — powiedział Yareth. — Nie będziemy ci dłużej zawracać głowy...

— Tak, lecz ja chciałbym was poprosić o pewną przysługę.

— Wymień ją.

— Psy są tuż za wami. Skoro tak bardzo chcą was schwytać, jak powiadacie, źle ze mną będzie, choćbyście tylko przejeżdżali przez moje pole. Bądźcie tak dobrzy i zechciejcie stuknąć mnie w głowę, nie za mocno, by nie wyrządzić mi krzywdy, ale żeby udowodnić Psom, przekonać ich, że wam nie pomogłem...

Yareth spochmurniał, lecz zeskoczył z konia i wielkimi krokami podszedł do wieśniaka, pozostawiając Myszkę uczepioną grzywy Rangina.

— Zamknij oczy — rzekł. Wyciągnął sztylet i uderzył Alizończyka ręką nad skronią, rozcinając skórę. Popłynęło sporo krwi i pojawił się spory guz, już w chwili kiedy ostrożnie kładł wieśniaka na ziemi.

Eirran dostrzegła w oknie bladą twarz kobiety .j oczy dziecka ponad parapetem. Kobieta spojrzała na żonę Yaretha i powoli skinęła głową.

— Przykro mi — powiedziała Eirran, wiedząc, że tamta nie może jej usłyszeć. Później puściła konia w cwał i pomknęła za swoimi towarzyszami. Poza nimi zabrzmiał znów róg, znacznie bliżej niż przedtem.

III

Stracili sporo czasu na poszukiwanie zrujnowanej chaty, ponieważ Alizończyk się pomylił. Chata znajdowała się w innej części pola i znacznie dalej. Co do reszty, wszystko było tak, jak powiedział życzliwy wieśniak. Znaleźli granicę, którą tworzył ostatni, najwyższy żywopłot. Kamiennie fundamenty były wysokie jak ściany domu, jakby jego dawni mieszkańcy chcieli odgradzić się od południowego Alizonu, jakby próbowali utrzymać na dystans to, czego się tak obawiali w górach. Chatę stanowiła integralna część tej zapory. Eirran nie chciała wiedzieć, kiedy opuszczono to domostwo i z jakiego powodu. Obecnie ta ruina była wyrwą w systemie obronnym. Cierniste krzewy, zielsko i pnącza nie zdążyły jeszcze jej wypełnić. Trzeba było tylko zrobić po obu stronach muru coś na kształt rampy, która by pozwoliła przeprowadzić konie. Mężczyźni szybko zabrali się do pracy. Małe czarownice cisnęły się wokół Eirran, która objęła je ramionami.

— Czy fkończą na czaf, Eirran? — zapytała z lękiem Seplenisia.

— Mam nadzieję — odrzekła. — Jeśli to w ogóle jest możliwe, Yareth nas przeprowadzi, zanim Psy dogonią.

Ptaszynka nagle zeszywniała.

— Oni nadchodzą! — zawołała wskazując za siebie. — Róg zagrał całkiem blisko.

Eirran odwróciła się. Na tle nieba zobaczyła sylwetki. Musiało ich być ze dwie dziesiątki. Hełmy nadawały im dziwny, niesamowity wygląd. Na jej oczach Alizończycy wpadli galopem na wzniesienie i rozwinęli się w szereg. Teraz szczekanie psów przemieszało się z graniem rogu i okrzykami bojowymi alizońskich gwardzistów. Zbliżali się coraz bardziej. Zarówno ludzie, jak i psy zachowywali się niby dzikie zwierzęta, które zwietrzyły krew. Nawet ich konie rżały wyzywająco. Przewracały oczami i piana płatanami spadała im z pysków. Za chwilę Alizończycy, ich psy bojowe i konie dopadną uciekinierów.

— Yarecie!

Nie zawahał się.

— Idźcie! Teraz! — krzyknął. Mężczyźni podbiegli do wierzchowców. Wskoczyli na siodła i szybko wsadzili na nie dzieci. Eirran już siedziała na koniu, trzymając Myszkę w ramionach.

— Cofnąć się! Weźcie rozbieg! — krzyknął Yareth. — Musicie przeskoczyć żywopłot. — Silnie uderzył po zadzie torgiańczyka Eirran i zaskoczone zwierzę pomknęło do przodu.

Ziemia pokryta była kamieniami, o które konie łatwo mogły się potknąć. Eirran pochyliła się na koński kark, przycisnęła do siebie Myszkę i zamknęła oczy. On musi to zrobić, musi, musi, powtarzała. Później poczuła, jak wierzchowiec spręży się pod nią i unosi w powietrze. To trwało długo... Poczowała wstrząs i wiedziała już, że znajdują się po drugiej stronie. Koń wylądował ciężko i lekko się potknął. W jakiś sposób utrzymał jednak równowagę, usłyszała za sobą tętent końskich kopyt, później wszystko na moment ucichło, po czym rozległ się głośny łomot. To jej towarzysze hurmem przeskakiwali za nią przez żywopłot.

— Naprzód! — zawołał Dunnis. Ponaglił swojego wierzchowca i trzymał się teraz blisko Eirran, smagając oba konie, by zmusić je do najszybszego biegu. Nad uchem świsnęła strzałka, ale wytraciła już impet i spadła po spirali na ziemię. Seplenisia przyłgnęła do piersi Dunnisa, trzymając się go ze wszystkich sił.

— Jeszcze tylko trochę i znajdziemy się poza zasięgiem ich pistoletów!

— Gdzie jest Yareth?

— Jedzie za nami. Nie! — Swoim koniem zablokował wierzchowca Eirran, uniemożliwiając jej zatrzymanie się.

— Muszę wrócić...

— Nic mu nie jest! Z Weldynem mieli przypilnować, by wszyscy znaleźli się po drugiej stronie, a potem pojechali za nami. Yareth wysłał mnie, abym się tobą opiekował.

Wjechali do niewielkiego zagajnika. Strzałki już nie świstały w powietrzu, więc Dunnis pozwolił, by konie zwolniły biegu. Torgiańczyki zatrzymały się. Stały z pochylonymi głowami, ciężko dysząc po gwałtownym wysiłku. Dunnis stanął w strzemiionach i odwrócił się, przez gałęzie wypatrując nieobecnych towarzyszy.

— Jada. Jest Loric, Płomyk i Świerszczyk. I... tak, tak! Sokolnicy też są!

Eirran poczuła tak wielką ulgę, że zrobiło się jej słabo. Wypuściła córkę z objęć.

— Zsiądźmy z konia. Niech biedak sobie odpocznie. Zasłużył na to — powiedziała.

Dunnis również zsiadł ze swojego wierzchowca. Musiał siłą rozwierać rączki Seplenisi, którymi obejmowała go za szyję.

— Mam nadzieję, że ta małpeczka nie jest nieprzytomna ze strachu...

Ale Seplenisia wcale nie była przerażona, lecz rozradowana i podniecona.

— Och, Dunnifie, co to była za zabawa! — oświadczyła. — Profe, zróbmy to jefcze raz!

— Mam nadzieję, że nie... Och! Puść moje włosy! Seplenisia i Myszka zachichotały. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, Eirran także zaczęła się śmiać.

Wszyscy skupili się na skraju zagajnika i czekali na Sokolników. Wydawało się, że im się nie śpieszy i żaden nie jest ranny. Strzałka przebiła rękaw kolczugi Hirla i drasnęła skórę, ale gwardzista nie pozwolił Eirran opatrzyć rany.

— Jeżeli zacnie się jątrzyć, wtedy przyjdę do ciebie — powiedział. — Ostatnio słyszałem, że Psy jeszcze nie zaczęły zatruwać strzałek.

— Nazbieram ziół na wszelki wypadek. Przez ten czas wszyscy odpoczną, trzeba też omówić nasze położenie.

— Nasze położenie?! — roześmiał się Ranal. — Z chwilą gdy znajdę się wśród wyższych ode mnie skał, całkowicie stracę orientację. Nie znajdę drogi nawet mając słońce za przewodnika.

— Nie miałem o tym pojęcia. Musisz więc źle sobie radzić podczas kampanii wojennych — odrzekł życzliwie Dunnis. — Następnym razem pozwolę ci jechać tuż obok mnie.

— Och, daję sobie radę, jak długo jest ze mną ktoś, kto pokaże mi, w którą stronę mam jechać. Pozostawiony samemu sobie, gubię się i jestem bezradny.

W tej właśnie chwili nadjechali Yareth i Weldyn. Eirran podbiegła do swojego mężonka.

— Co się stało? Ścigają nas?

— Nie. — Sokolnicy zeskoczyli z koni, które zbliżyły się do pozostałych torgiańczyków już skubiących trawę pod drzewami. — Zatrzymali się tuż przed żywopłotem i ostrzeliwali nas z pistoletów strzałkowych. Dobrze się stało, że byliśmy już poza ich zasięgiem, kiedy tam dotarli.

— Nie rozumiem, dlaczego za nami nie pojechali.

— Ja również — odparł Weldyn. Zdawał się nie zauważać, że rozmawia z kobietą, którą traktował tak pogardliwie, odkąd wydało się, kim naprawdę jest. — Nie było już z nimi tego Talgara. Może skończyli z nim wtedy, kiedy trafili na nasz trop?

Eirran wzdrygnęła się.

— Och, chcę jak najszybciej opuścić Alizon! — zawołała.

— Nic nie stoi na przeszkodzie — odpowiedział Yareth. — Girvan i tamten

wieśniak mieli rację. Psy nie zapuszczają się poza granice żywopłotów, w Góry Alizońskie.

— Mam nadzieję, że nic mu się nie stało, chodzi mi o wieśniaka.

— Nie uderzyłem go mocno. Tylko tak, by go ogłuszyć i, mam nadzieję, ocalić mu życie.

— Ale ja chcę, żebyśmy opuścili to miejsce tak szybko, jak to możliwe. Im wcześniej ruszymy, tym wcześniej wrócimy do dawnego życia.

— To cała moja praktyczna Eirran! — Yareth roześmiał się. — Dobrze, chyba już odpoczęliśmy. Ruszamy w góry, do ojczyzny każdego prawdziwego Sokolnika.

Coś się zmieniło między Sokolnikami. Wydawało się, że zupełnie zapomnieli o kłótni. Obaj sprawiali wrażenie zdenerwowanych, podnieconych — nawet rozgorączkowanych — jakby niebawem miała ich spotkać dawno oczekiwana, niezwykła przygoda. Eirran postanowiła, że dziś wieczorem, kiedy zostaną sami, zapyta Yaretha o to, co się wydarzyło przy ostatnim żywopłocie. Na razie zadowalała ją szybkie tempo, jakie wzięli. Im większa odległość będzie ją dzielić od Alizonu przed zapadnięciem nocy, tym lepiej. Podróż okazała się niezwykle łatwa, nawet dla Eirran, która nie kochała ani gór, ani wzgórz. Krążyli dolinami, pnąc się coraz wyżej. Z lewej widzieli ośnieżone, niezwykle wysokie szczyty Wielkich Gór Wschodnich. Góry Alizońskie, przez które wędrowali, były tylko ich odnogą. Eirran wiedziała, że Góry Graniczne pomiędzy Karstenem i Estcarpem również łączyły się z wielkim wschodnim łańcuchem górskim. Tutaj wydawało się, że Alizońskie Góry to zbyteczne szczyty — tak małe w porównaniu z tamtymi — które po prostu zsunęły się z ramion wielkich wschodnich olbrzymów, albo nędzna pozostałość z początku czasu. I co jeszcze zsunęło się w Góry Alizońskie z zakazanych turni na wschodzie?

Nie bądź śmieszna, skarciła samą siebie Eirran. To tylko twoja głupota sprawia, że powietrze wydaje ci się duszne i że trudno nim oddychać. To twoja wyobraźnia zapełnia mrok pomiędzy drzewami innymi, ciemniejszymi cieniami o czerwonych, nieruchomych oczach. Nie pozwolę, żeby owładnął mną strach, nie pozwolę na to teraz, kiedy przebyliśmy tak długą drogę — przez cały Escarp i Alizońską Przełęcz, z jej magicznymi strażnikami i pobliskimi Moczarami Toru, do miasta Alizon i alizońskiego więzienia, po prawie cudownej ucieczce za pomocą czarów, które rzucała Myszka — moja Jenys! — po przebyciu krainy żywopłotów i dotarciu do gór, a w górach Sokolnicy jadący na czele naszej małej kolumny czują się jak w domu. Dlaczego miałabym się niepokoić?

Jechali wzdłuż strumyka wijącego się na dnie głębokiego wąwozu, którego ściany strzelały stromo w górę. Wszędzie dookoła wysokie, smukłe, prawie pozbawione liści dr czepiały się skał, szukając w górze życiodajnych słonecznych! promieni. Słońce chyliło się ku zachodowi, na prawo od s nich. Kilka złocistych strzał przebiło się przez gęstwinę, pograżając las w jeszcze większym mroku i oświetlając tylko duże głazy pograżone w strumyku, które niegdyś oderwały j się od klifu ponad ich głowami. Od czasu do czasu martwe drzewo opierało się o swoich sąsiadów, aż wreszciegniło i padało na leśną ściółkę. Kiedy zagłębili się w wąwozie, ucichł śpiew ptaków, zamarł szelest liści, znieruchomiały nadrzewne zwierzątka dotąd zajmujące się swoimi sprawami. W głębokiej ciszy słychać było tylko plusk strumyka i dźwięki, jakie sami wydawali podczas jazdy.

Nie tylko Eirran zauważyła ten nienaturalny spokój. Wszyscy Estcarpianie zaczęli uważnie się rozglądać na boki i nawet Sokolnicy, którzy dotąd koncentrowali się wyłącznie na sobie, zdwoili czujność. Yareth bez słowa przekazał Świerszczyka Loricowi, który posadził ją przed sobą, podczas gdy Płomyk jechała, jak zwykle, na przednim łęku siodła.

— Trzymaj się — powiedział spokojnie Loric. Jego słowa odbiły się głośnym

echem od skał w górze. Zabrzmiały jak sygnał.

I coś na nie odpowiedziało. Z góry rozległ się głośny ryk. Zaskoczone konie drgnęły, a jeźdźcy unieśli głowy.

Na tle nieba rysowała się ostro sylwetka jakiegoś niekształtnego stwora. Przypominał jakby gigantycznego kota, może trochę niedźwiedzia i coś, o czym Eirran nie chciała nawet myśleć. Sięgnął pazurzystą łapą ku kolumnie jeźdźców. Odchylił głowę do tyłu i znowu ryknął. Poruszone tym straszliwym okrzykiem drobne kamienie jak grad posypały się z grzechotem na ich głowy. Potwór skulił się i... skoczył na jadących na czele mężczyzn.

Rozdział czternasty

I

Tylko instynktowna reakcja torgiańskich wierzchowców ocaliła obu Sokolników przed natychmiastową śmiercią. Konie zareagowały odruchowo: uciekły przed rzucającą się na nich z góry bestią. Potwór ciężko wylądował w miejscu, w którym dopiero co znajdowali się jeźdźcy.

Przez moment Eirran widziała wyraźnie napastnika. Jego czerwone małe oczy pobłyskiwały złowrogo niczym szkarłatne klejnoty. Szczyrzył ostre kły zbyt długie, by mogły się zmieścić w jego niedźwiedzim pysku. Przykucnął na niekształtnych, niby kocich tylnych łapach, ale jego zakończone szponami przednie kończyny przypominały ludzkie ramiona. Nie było jednak nic ludzkiego w ich długości, kanciastości ani liczbie stawów. Ślina kapiała z kłów. Potwór przyszedł do siebie po nieudanym ataku szybciej niż jego niedoszłe ofiary i cofnął giętką jak sznur przednią kończynę, żeby zadać cios temu, kto znajdzie się w jego zasięgu. Widok tej łapy obudził dawne wspomnienie, które Eirran przez ponad siedem lata starała się wymazać z pamięci...

— Eirran, cofnij się! — krzyknął Hirl. Postawił Gwiazdkę na ziemi. Dziewczynka zaczęła biec, zanim jej stopy dotknęły ściółki leśnej. — Zajmij się dziećmi!

Loric pozwolił również Świerszczykowi i Płomykowi zsunąć się z siodła i spaść konia ostrogami. W rękę trzymał już obnażony miecz. Eirran pośpiesznie zsiadła z torgiańczyka, pozostawiając na jego grzbiecie Myszkę i pociągnęła go na skraj lasu, gdzie, jak sądziła, znajdzie schronienie. Przywołała do siebie dzieci. Ptaszynka także zeskoczyła z siodła Ranała, ale Seplenisia nie zamierzała pójść jej śladem.

— Nie! — zawołała do Dunnisa. — Ja chcę zoftać z tobą! Gwardzista delikatnie odsunął jej ramiona, którymi obejmowała go za szyję.

— Nie tym razem! Rób, co ci każe!

— Seplenisium!

Donośny dźwięk napełnił polanę, odbijając się echem od ścian wąwozu, tak że nawet potwór zamarł na chwilę. Był to głos Gwiazdki, ale wzmocniły go cztery inne cienkie dziecinne głosiki. Eirran spojrzała z zaskoczeniem na Gwiazdkę, a potem na Myszkę. Jej córka trzymała Klejnot i Eirran mogłaby prawie przysiąc, że dostrzegła gasnące światło, które strzeliło z magicznego kamienia. Seplenisia niechętnie puściła Dunnisa i pozwoliła postawić się na ziemi. Napastnik warknął i zamachnął się pazurzastą łapą na Rangina, który cofnął się pośpiesznie.

— Zostaniecie tutaj ze mną! — powiedziała Eirran, skupiając wokół siebie małe czarownice. Przerażone, skuliły się za nią. Mocno ścisnęła w dłoni wodze. Gdyby stało się to najgorsze, wsadzi dziewczynki na grzbiet swojego torgiańczyka, smagnie go po zadzie i zmusi do szybkiego biegu, sama zaś pobiegnie w głąb lasu, w przeciwnym kierunku, by odciągnąć potwora.

Powietrze w całym wąwozie drżało od ogłuszających hałasów — warkotu i ryku bestii, łoskotu końskich kopyt uderzających w leżące luzem kamienie, ludzkich okrzyków i wyzywającego rżenia torgiańskich ogierów. Jeźdźcy rywalizowali ze sobą, tłocząc się, by znaleźć się w dobrym miejscu do zadania ciosu. Ostry Szpon to nurkował, to wzlatywał w górę, nekając drapieznika, odwracając jego uwagę i w ostatniej chwili wymykając się spod jego pazurów.

Yareth ciął mieczem bestię. Rangin stanął dęba, uderzając kopytami. Napastnik

wzdrygnął się i cofnął. Koń Weldyna zadał mocny cios z drugiej strony. Potwór zachwiał się na nogach i Yareth drasnął go brzeszczotem. Miecz Hirla uniósł się i opadł, i bestia znów się cofnęła chwiejnym krokiem. Jeden z koni zarżał z bólu. Ranał wycofał się z walki. Krew plamiła łopatkę jego torgiańczyka, który z bólu łyskał oczami.

Bestia z głośnym rykiem, od którego zadrżały drzewa, przebiła się przez pierścień atakujących i uciekła, plamiąc ziemię czymś, co mogłoby być krwią, gdyby nie jej nienaturalny kolor. Widząc, jak ucieka wielkimi skokami wzdłuż strumyka, Eirran znów zadrżała na całym ciele. A ona, naiwna, sądziła, że sama albo obciążony dziećmi torgiańczyk zdołają prześcignąć potwora...

Weldyn i Loric już spięli konie do pościgu, gdy Yareth ich odwołał.

— Pozwólcie mu uciec! Pozwólcie mu uciec. I tak byśmy go nigdy nie schwytali.

Grad kamieni spadających ze zbocza wąwozu świadczył, że potwór próbuje w ucieczce wdrapać się na szczyt klifu. Ponure wycie napełniło echem parów, po czym zapadła głęboka cisza.

— Dlaczego to zrezygnowało z walki? — spytał Dunnis. Dyszał ciężko, a jego koń nerwowo przestępował z nogi na nogę, cały pokryty pianą. Gwardzista ze wstrętem spojrział na swój zboczony posoką miecz.

— Nie sądziło, że będziemy się bronić — wyjaśnił Yareth.

— Mówisz tak, jakbyś już miał z czymś takim do czynienia — powiedział Weldyn. Gwizdnął i Ostry Szpon wrócił na grzędę przy siodle. — Przypuszczam, że chcesz nam powiedzieć, iż był to jeden ze stworów grasujących teraz w tych górach, podobny do tego, którego spotka w pobliżu Gniazda.

— Tak — odparł Yareth — ale tamten był mniejszy i znacznie bardziej zawzięty. I tylko Rangin, Śmiały Wojownik i ja z nim walczyliśmy.

Weldyn spojrział na Yaretha z niechętnym szacunkiem.

— A jednak przeżyłeś, choć obciążony kobietą, która osłabiła twoje ramię. Może jesteś więcej wart, niż początkowo myślałem, Sokolniku.

Yareth wzruszył ramionami.

— Ranału, zobaczmy czy rana, jaką otrzymał twój koń, jest poważna.

Eirran już tamowała mchem krew płynącą z trzech! równoległych bruzd na łopatkę torgiańczyka. Pomyślała, że rany krwawią tak obficie, iż usunęły brud. Jeżeli bestia miała jadowite pazury, to trucizna musiała już wypłynąć razem z krwią.

— Rany nie są ani poważne, ani głębokie — oznajmiła. — To tylko rozszarpana skóra. Żaden mięsień nie został naruszony. Nie powinniśmy jednak męczyć tego konia. Rozbijmy obóz, a ja zrobię mu okład z ziół.

— Musimy jechać — odrzekł Yareth marszcząc brwi i Eirran znów wyczuła miotającą nim niecierpliwość i gorączkowe oczekiwanie.

— Przynajmniej odjedźmy z tego miejsca jak najszybciej. — Eirran wstała. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła drżeć na całym ciele. — Ta... ta ohydna bestia...

— Uciekła.

— To nie do opisania.

— Nie myśl o tym. Musimy ruszać w dalszą drogę. Natychmiast.

Eirran spojrzała na niego. Kiedy indziej objąłby ją ramionami. Teraz jednak rozpoznała w nim to szczególne pragnienie, by iść wciąż dalej i dalej w góry, które Alizończycy nazywali Zakazanymi Wzgórzami. Dostała ataku czkawki.

II

— Co to był za stwór? — zapytała Myszka. — Tata powiedział, że już kiedyś widzieliście coś takiego.

Widzieliśmy, pomyślała Eirran, i kuliliśmy się ze strachu, kiedy wsunęło ramię do pieczary, w której się ukryliśmy, próbując nas złapać i wyciągnąć na zewnątrz. Nie. Nie mogę jeszcze bardziej niepokoić dzieci, one i tak są wystarczająco przestraszone. Zmień temat, spróbuj mówić o czym innym.

— Miałam nadzieję, że to ty i twoje towarzyszkę będziecie mogły mi powiedzieć, co to było — odrzekła pół żartem, pół serio.

— Nie wydaje mi się, żeby był to sługa Ciemności, mamó. Atakowała nas naturalna istota, ale nie sądzę, że była naprawdę zła. Myślę, że po prostu była głodna.

— No cóż, zobaczyłam, że twój Klejnot rozblęsnął w miejscu, do którego nie docierało światło słoneczne.

Hirl i Gwiazdka jechali tak blisko, że usłyszeli jej słowa.

— Razem to zrobiłyśmy — powiedziała Gwiazdka. — Musiałyśmy sprawić, żeby Seplenisia nas usłyszała i posłuchała. Groziło jej niebezpieczeństwo.

— Rozumiem — odrzekła Eirran, choć tak naprawdę nic nie rozumiała. Jechała w milczeniu, głęboko zamyślona. Po godzinie, mimo protestów obu Sokomików, żaczek nalegać, by zatrzymali się na noc. Koń Ranała kulał coraz bardziej.

— Jeżeli się nie zatrzymamy i nie pozwolicie mi zrobić okładu na rany tego biedaka, okuleje na zawsze. A nasze konie — tu spojrzała wymownie na Weldyna — niosą zwiększony ciężar.

Weldyn prychnął niecierpliwie i odszedł ciężkim krokiem. Yareth nie odrywał od niej wzroku.

— Rozbijemy obóz, ale nie rozpalimy ogniska, żeby nie przyciągnęło nieproszonych gości. A jutro, bez względu na to, czy rumak Ranała będzie mógł go nieść, czy też nie, ruszamy dalej.

— Zgoda.

Miała taki sam ponury nastrój jak mąż. Ostatnio zauważyła, że jej nastroje stały się bardziej wyraziste, zarówno te pogodne, jak i posępne. Nerwy. Chciała jak najszybciej opuścić to przekłete miejsce, ale powinni zatrzymać się przynajmniej na tak długo, by opatrzyć rannego konia! Rzuciła Yarethowi wyzwanie rozpalając niewielkie, okolone kamieniami ognisko, gdyż potrzebowała wrzątku do zrobienia okładu z liści i mchu. Ponieważ w tej części gór było mało leczniczych ziół, liczyła na gorący okład i wytrzymałość turgiańczyka. Yareth podszedł ukradkiem, kiedy była zajęta, i spojrzał na nią ostro. Udawała, że go nie widzi, mieszała w małym kociołku i mruzczała pod nosem jak wtedy, gdy układała przepis na jakiś lek ziołowy i chciała, by wiedział, co robi. Sokolnik nic nie powiedział i odszedł.

Nie miała pojęcia, dlaczego jest taki zdenerwowany ani dlaczego te góry wywierają taki wpływ tylko na niego i na Weldyna. Tak, wszyscy chcieli szybko wyrwać się z Alizonu, ale pozostali mężczyźni odczuwali zmęczenie po walce z potworem. Leżeli więc spokojnie, chrupiąc suchary albo próbując się zdrzemnąć. Ale nie Sokolnicy. To razem, to osobno kręcili się tam i z powrotem po obozie, bębniąc nerwowo palcami po rękojeściach mieczy. Zatrzymali się tylko po to, żeby oczyścić broń z jadowitej posoki bestii, którą przepędzili. Jeszcze długo po tym, jak opatrzyła Ranałowego wierzchowca, nakarmiła dzieci i ułożyła je do snu, słyszała chrzest butów Sokolników, którzy przemierzali obozowisko. Wydawało się, że ich niecierpliwość nie pozwalała im zasnąć. Czowała, że tylko śmierć mogłaby uspić ich tej nocy.

O świcie poczęli znów krążyć po obozie, budząc wszystkich. Teraz nawet pozostali mężczyźni zauważyli dziwne zachowanie Sokolników i jęli się na nie uskarżać.

— Po co taki pośpiech? — zapytał Ranał. — Chcę obejrzeć mojego konia. I na pewno możemy teraz, rano, rozpałić ognisko i zatrzymać się na tak długo, by zjeść śniadanie.

— Posilcie się podczas jazdy — odrzekł z irytacją Weldyn. — Przecież to są tylko podrózne racje.

— Moglibyśmy coś ugotować. A ja i tak muszę zająć się wierzchowcem.

— Nie wolno nam opóźniać jazdy — odparował Yareth. Miał podkrążone oczy. Eirran zrozumiała, że wcale się nie kładł tej nocy. Dodał: — Musimy ruszyć w dalszą drogę.

— Yarecie. — Położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na nią i poprzez nią, jakby jej tu nie było.

— Nie próbuj nas zatrzymać — burknął i odszedł wielkimi krokami, ponagłając gwardzistów, żeby się szybciej ruszali.

Eirran obudziła dziewczynki, które spały głębokim snem jak młode, zdrowe zwierzątka.

— Wstańcie, i to zaraz — powiedziała. — Mężczyźni chcą stąd odjechać. Musimy jak najszybciej przebyć te góry.

— To dlaczego Sokolnicy prowadzą nas najdłuższą drogą? — Gwiazdka przetarła oczy.

— Co masz na myśli?

— Najkrótsza droga prowadzi na południe — dziewczynka ziewnęła — a my jedziemy pod pewnym kątem przez te góry. Dlaczego?

— Nie wiem — odparła z niepokojem Eirran, usiłując zachować spokój. — Oni obaj znacznie lepiej czują się w górach niż na równinach. Wiecie, jak dobrze nas tu prowadzili. Muszą wiedzieć, co robią.

— Mój tata wie wszystko — oświadczyła Myszka, ale Eirran dobrze знаła swoją córkę. W jej słowach brzmiała niepewność. Eirran zrozumiała, że Myszka po raz pierwszy w życiu zwątpiła w mądrość swojego ojca.

Nie chcąc roztrząsać czegoś, czemu nie mogła zaradzić, żona Yaretha poszła do przywiązanych do palików rumaków, żeby sprawdzić, jak rumak Ranała przetrwał noc. Ku swemu zadowoleniu przekonała się, że rany zadane mu przez bestię wyglądały tego ranka znacznie lepiej. Nie sądziła, by wpłynęły na to jej usiłowania, raczej podziałała wysoka temperatura okładu, zmniejszając ból i napięcie mięśni. Koń sprawiał wrażenie zdatnego do drogi, jeśli nie zostanie zmuszony do większego wysiłku.

— Weldynie, czy możesz zabrać dzisiaj ze sobą Ptaszynkę? — zapytała Eirran.

Sokolnik po prostu spojrział tak, jakby jej wcale nie widział i Eirran już nie podjęła tego tematu. Ptaszynka niewiele ważyła — nie tyle, żeby to sprawiało koniowi jakąś różnicę.

W bardzo krótkim czasie znów ruszyli dalej. Tego dnia niebo było zachmurzone, o barwie ołowiu, i deszcz dosłownie wisił w powietrzu. Mgła ścieląca się nad ziemią czyniła każdy krok niebezpiecznym, nawet w pobliżu płynącego wąwozem strumyka. Konie stąpały ostrożnie, nie chcąc biec szybciej, mimo że ponaglali je Yareth i Weldyn.

Dobry stary Rangin, pomyślała Eirran. Okazało się, że ma więcej rozsądku niż jego pan. Ciekawi mnie, co się Yarethowi stało? I sokół Weldyna również tak się dziwnie zachowuje...

Ostry Szpon nie chciał jechać na siodle, a kiedy wzbijał się w powietrze, leciał tak szybko, że Weldyn tracił go z oczu. Wprawdzie wracał w odpowiedzi na jego gwizd,

ale wiercił się niespokojnie, trzepotał skrzydłami i znowu odlatywał.

— To wszystko działa mi na nerwy — z tymi słowami Dunnis podjechał do Eirran.

— Co gryzie tych dwóch? Nie, trzech.

— Sama chciałabym wiedzieć — odparła i ku swojej irytacji znów dostała czkawki.

W wąwozie nieco pojaśniało. Słońce nie przedarło się przez chmury, ale mgła zaczęła rzednąć. Yareth podniósł głowę. Weldyn również sprawiał wrażenie, jakby węszył, i obaj wciągnęli w nozdrza znajomy, pożądany zapach.

— Tędy! — zawołał Weldyn.

Gwałtownie ściągnął prawą wodzę, spiął konia ostrogami i pocwałował w las. Yareth pędził tuż za nim.

— Zaczekajcie! — krzyknęła Eirran, ale było już za późno. Obaj Sokolnicy zniknęli z oczu, nie pozostawiając śladów w gęstych paprociach. Popędziła za nimi konia, z nadzieją, że reszta towarzyszy nie zgubi jej śladu.

— Jadę z wami! — zawołał Dunnis. Obejmował ramieniem Seplenię, którą ochraniał przed zwisającymi nisko gałęziami. Seplenia odwróciła się i spojrzała szeroko otwartymi oczami na Myszkę.

— Myfko!

— Tak, wiem. Jedziemy właściwą drogą. Słyszę go.

Eirran była zbyt pochłonięta odgarnianiem gałęzi, które mogły strącić je na ziemię, żeby zapytać, co córka ma na myśli. Jechała teraz za Dunnisem. Za nią podążali Ranal, Hirl i na końcu Loric. Wierzchowiec Ranała kulał. Jadąc gęsiego wychynęli nagle na dużą polanę. Eirran zdusiła okrzyk zdumienia.

Stały tam w kręgu ciemne, podobne do kolumn kamienie. Połowę wieńczyły posągi ptaków naturalnej wielkości, drugą zaś większe niż w rzeczywistości kamienne jaja. Jaja i ptaki następowały przemiennie. Krąg był przerwany jakby przejściem, po obu stronach którego stały dwie wielkości człowieka rzeźby ptaków z rozpostartymi skrzydłami i rozwartymi dziobami, pomiędzy nimi zaczynała się droga ginąca w lesie na wprost. Drogę, tak jak kolumny, bramę i bruk wewnątrz dziwnego kręgu wykonano z ciemnego kamienia. Teraz Eirran odniosła wrażenie, że jechali nią cały czas, nie widząc jej, gdyż pokrywała ją ziemia i ściółka leśna, i że to ona przyciągnęła obu Sokolników do tego miejsca. Albowiem w centrum kamiennego kręgu wznosiła się gigantyczna rzeźba ptaka — sokoła, który nieco różnił się od występujących współcześnie gatunków, ale mimo to można go było rozpoznać bez trudu. Stał w takiej samej pozie jak Śmiały Wojownik — Eirran widziała to setki razy — pochylony, jakby szykował się do lotu, z przyciśniętymi do boków skrzydłami, gotów pomknąć w mgnieniu oka do góry. Dziób miał otwarty i Eirran o mało nie zasłoniła uszu rękami, żeby nie ogłuchnąć od przeraźliwego skwiru, który mógł wydobyć się z tej wielkiej kamiennej gardzieli.

Nieświadoma tego, co czyni, zsiadła z konia. Po chwili przekonała się, że jej towarzysze zrobili to samo. Wszyscy, nawet małe czarownice, wpatrywali się z osłupieniem i lękiem w tę świątynię — bo to musiała być świątynia — ukrytą w Górach Alizońskich.

— To Wielki Sokół! — szepnął za nią Hirl. — Jest taki piękny...

Eirran w jego głosie usłyszała tęsknotę. Ona sama również zapragnęła, by ją dopuszczono do wewnętrznego kręgu niezwyklej świątyni, gdzie wszystkie tajemnice zostaną wyjaśnione i gdzie otrzyma odpowiedzi na wszystkie pytania.

Tak, pomyślała drętwo. Stała tak patrząc w górę ze strachem i konsternacją. To był Wielki Sokół, który przyciągnął tutaj Yaretha i Weldyna, przywołując ich nawet wtedy, gdy przejeżdżali przez Alizońską Przełęcz. Tutaj zabrakło czarów, które mogłyby stłumić to wołanie. I jeśli nawet ja czuję ten zew, co musi dzieć się z

Yarethem, pomyślała Eirran.

Usłyszawszy zgrzytnięcie buta o kamień, Eirran niechętnie oderwała spojrzenie od olbrzymiego ptaka.

Yareth i Weldyn wpatrywali się w posąg jak urzeczeni. Weldyn ruszył kamienną drogą ku wielkiej bramie. Ostry Szpon, bardzo teraz spokojny, dumnie siedział mu na pięści. Yareth stał na skraju drogi, tam gdzie wynurzała się z ziemi, jakby czekał na swoją kolej.

Rozległ się inny głośny dźwięk, tym razem powolny zgrzyt kamienia o kamień. Spojrzała znów w stronę ogromnej rzeźby. Z bruku wynurzały się kamienne schody, unosiły, aż sięgnęły rzeźbionych piór na piersi sokoła. Ponad schodami poszczególne pióra zaczęły się rozsuwać i przechylać, tworząc przedłużenie tych stopni. A wielki dziób otwierał się coraz szerzej i szerzej, aż w końcu jego haczykowane zakończenie stało się ostatnim stopniem. Kiedy Weldyn postawił nogę na pierwszym stopniu, oczy sokoła ożyły. Były ciemnoczerwone, matowe, usiane czarnymi plamami. Taki sam czerwony blask zamigotał w głębi ogromnej kamiennej gardzieli.

III

— Nie! — Eirran chciała krzyknąć, ale mogła tylko szeptać. Dysząc ciężko, gdyż wymagało to ogromnego wysiłku, odwróciła się i popatrzyła na swoich towarzyszy. Wszyscy mężczyźni patrzyli na niesamowity posąg, który zdawał się wywierać na nich niemal taki sam wpływ jak na Sokolników. Jeden po drugim ruszyli sztywno, jakby kierowani obcą wolą do miejsca, w którym Yareth czekał, aż nadejdzie jego kolej, by pójść w stronę monstualnego posagu.

Eirran przeczuwała niejasno, że nie może — nie może, choć bardzo tego pragnęła — spojrzeć za siebie na to, co rzuciło czar na jej męża, na towarzyszących mu mężczyzn i na dzieci...

Dzieci!

Prawie nie śmiała się poruszyć, żeby moc Wielkiego Sokoła nie zmusiła jej do odwrócenia głowy i spojrzenia w jego straszne, kamienne oczy. Wiedziała, że prędzej czy później podda mu się, a wtedy ona też postawi pierwszy krok na drodze, która wiodła nie wiadomo gdzie.

Dziewczynki stały zbite w gromadkę tuż za Myszka, która wpatrywała się w Klejnot.

— Myszko...

Zwracając się do córki, rozproszyła jej uwagę. Myszka spojrzała na matkę. I w tej samej chwili gdzieś w głębi Eirran pękło coś, co powstrzymywało ją od patrzenia na Wielkiego Sokoła. Odwróciła się bezwolnie i potykając się zajęła swoje miejsce tuż za Lorikiem.

Jakiś dźwięk napełnił jej uszy, dźwięk, którego nie słyszała, dopóki nie wpatrzyła się w monstualny posąg. Pulsującej czerwonej poświacie wydobywającej się z olbrzymiej gardzieli towarzyszyło coś w rodzaju bębnienia. Weldyn dotarł już do połowy kamiennych schodów. W doskonałej harmonii z niesamowitą muzyką, nie śpiesząc się, zrobił jeszcze jeden krok, a potem następny. Czekający na swoją kolej Estcarpianie kołysali się w takt dziwnej melodii.

Buum — buum, śpiewały bębny, pulsując niczym gigantyczne serce. Buum — buum.

Inny dźwięk przedarł się przez bębnienie. Próbowana wymazać go ze świadomości, zagłuszyć, ale trwał, piskliwy i irytujący niczym brzęczenie komara.

Buum — buum. Weldyn postawił stopę na ostatnim stopniu utworzonym z piór Wielkiego Sokoła. Doszedł już do dzioba. Zatrzymał się na chwilę. Eirran zobaczyła jego ciemną sylwetkę na tle czerwonego bloku. Dumnie wyprostowany, zrobił krok do przodu i zniknął. Krwawa poświata rozjarzyła się. Smużka czarnego dymu i słaby zapach palonych piór rozeszły się w powietrzu.

Buum — buum. Yareth ruszył drogą prowadzącą do świątyni Wielkiego Sokoła. Na jego twarzy malowało się takie samo uniesienie jak przedtem na obliczu Weldyna. Wyciągnął przed siebie zaciśniętą w pięść lewą rękę, jakby siedział na niej niewidzialny sokół, duch Śmiałego Wojownika. Postąpił jeden krok, a potem drugi. Buum — buum.

Nagle Eirran zdała sobie sprawę, czym był irytujący brzęk. Dochodził z miejsca, w którym zgromadziły się małe czarownice, Myszka i jej towarzyszki. Nie. Docierał z Klejnotu.

Czy one nie rozumieją, że przeszkadzają, pomyślała. Gdybym miała czas, odwróciłabym się i zobaczyła, co robią. I zmusiła je do zaprzestania.

Buum — buum. Yareth doszedł do podnóża kamiennych stopni. Wielki Sokół

zechciał uchylić rąbka tajemnicy przed tymi, którzy pragnęli ją poznać. Hirl szedł za Yarethem, właśnie przechodził przez bramę, a Dunnis postawił nogę na ciemnym kamieniu na zewnątrz świątynnego kręgu. Ranal i Loric szli jeden tuż za drugim — jakby każdy z nich obawiał się, że ten drugi zostanie dopuszczony przed nim. Gdyby Eirran miała dość sił, wyminęłaby obu gwardzistów. Ale w bębnieniu pobrzmiwał tajemniczy nakaz zachowania kolejności. Ten teraz, tamten później, a ty na końcu, dlatego Eirran musi poczekać, aż nadejdzie jej kolej.

Buum — buum. Krok za krokiem, Yareth z wdziękiem piął się po schodach. Hirl znalazł się prawie u ich podnóża. Ranal przeszedł przez bramę, Loric zaś postawił stopę ciemnej drodze.

Dziwny dreszcz wstrząsnął Eirran. Za chwilę, już chwilę, ona także pójdzie drogą, powolnym, majestatycznym krokiem do miejsca, w którym wszystkie tajemnic, jakie życie ma do zaoferowania, zostaną odkryte. Muzyka niewidzialnego bębna zalała ją jak fala, unosząc wszystko, co niegdyś wiedziała, napełniając pragnieniem poznania tego, co czekało na nią, kusiło, było tuż w zasięgu ręki...

Preraźliwe brzęczenie stało się nagle bardzo głośne, prawie zagłuszające głęboki, poruszający duszę dźwięk tajemniczych bębnów. Eirran całą siłą woli starała się go nie słyszeć, zignorować, pragnęła, by zamilkło. Ale irytujący dźwięk stał się wyższy, zamienił w wyraźną, czystą nutę, jakby pochodzącą z głębi magicznego kryształu. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, i coraz głośniej i głośniej pulsowały bębny Wielkiego Sokoła. Oba dźwięki walczyły ze sobą w mózgu Eirran. Chciała zasłonić uszy rękami, lecz nie wolno jej było się poruszyć. Yareth był tak blisko. Za chwilę stanie na skraju wielkiego dzioba, na którym stał; Weldyn, zanim został dopuszczony do najtajniejszych i sekretów świątyni.

Bębnienie i pieśń kryształu narastały, stały się nieznośniej wysokie, nieznośnie głośne, nieznośnie silne...

...i ciemność pochłonięła Eirran.

IV

Eirran powoli odzyskiwała przytomność. Stwierdziła, że leży na ziemi na skraju polany. Wyteżając wszystkie siły odwróciła głowę. Wydało się jej, że rozpadnie się na kawałki. Yareth spoczywał obok, nieruchomy, z białą jak płótno twarzą. Leżał tak spokojnie... Za spokojnie!

— Yareth...

Dunnis podparł jej głowę i przyłożył do ust bukłak z wodą.

— On jeszcze żyje. Był najbliżej... Myślę, że nazwałabyś to wybuchem. Świątynia uległa zniszczeniu.

— Ale co? Jak?

— Najpierw się napij. Pytaj później.

Posłusznie wypila łyk wody. Potem zaś usiadła przy pomocy Dunnisa. Ramiona gwardzisty drżały. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego i chyba sam czuł się niezbyt dobrze. Pozostała trójka również znajdowała się w stanie oszołomienia. Oni wyglądają tak, jak ja się czuję, pomyślała.

— Dzieci...

— Czują się dobrze. — Dunnis zdobył się na żalną parodię uśmiechu. — Nie wiem dlaczego. Ale sprawiają wrażenie nie tkniętych przez to, co przytrafiło się nam, dorosłym. Są tylko zmęczone i to wszystko. To tajemnica.

— Yareth. Muszę pójść do niego.

Podciągnęła się do męża na łokciach i kolanach. Jego pierś unosiła się, ale tak nieznacznie, że ledwie można było to zauważyć. Położyła mu dłoń na czole. Było zimne.

— Mój kochany! — Ucałowała policzki, powieki, usta... Może tylko tak jej się wydawało, ale jego twarz jakby się zaróżowiła, a oddech stał się silniejszy.

— Mamo?

— Tak, Myszko? — odrzekła z roztargnieniem, skupiwszy całą uwagę na Yarecie.

— Ja to zniszczyłam.

Podniosła wtedy wzrok. Jej córka klęczała na ziemi obok niej. Jej córka! Nie Myszka, nie mała czarownica, ale Jenys. Twarz miała skrzywioną, oczy podkrążone i była bliska płaczu. Trzymała srebrny łańcuszek, na którym niegdyś wisiał Klejnot. Ale czarodziejski kamień zniknął. Pozostała tylko oprawa, popękana teraz i szcerniała, jakbyś liznął ją olbrzymi płomień.

— Ty to zniszczyłaś? Och, Jenys! — Wzięła ją w ramiona, jęła kołysać lekko i szepnęła z ustami przy włosach ś dziewczynki: — Moje biedne maleństwo.

Gwiazdka stała obok Jenys, a za nią pozostałe dziewczynki. Wyglądały na równie zmęczone i wyczerpane jak córka Eirran. Tym razem wszakże Seplensia nie trzymała palca w ustach. Małe czarownice podeszły bliżej.. Jenys wysunęła się z objęć matki i przyłączyła do nich. Wszystkie wzięły się za ręce. Jenys zniknęła i na jej miejscu stała Myszka.

— My powstrzymałyśmy to, mamo. Wszystkie razem. Nawet jeśli Klejnot uległ zniszczeniu, gdy to zrobiłyśmy. — Spojrzała na swoje towarzyszki. — Przepraszam, że płakałam. Nie powinnam była sobie na to pozwolić.

Eirran popatrzyła na sześć dziewczynek, małych czarownic, głęboko zaintrygowana słowami Myszki. Nie rozumiała, o co jej chodziło. Nie mając nic do powiedzenia, po prostu skinęła głową. Potem zajęła się pielęgnowaniem porażonego przez złe moce małżonka.

V

— Nie wydaje mi się, że zrozumiała — odezwała się Myszka.

— Jak mogłaby zrozumieć? — odparła Świerszczyk. — Sama ledwie to rozumiem, a przecież pomagałam przy tym.

Dziewczynki obeszły świątynię Wielkiego Sokoła. Wszystkie kolumny były do połowy stopione, rzeźby na ich szczytach zamieniły się w nieforemne bryły stygnącego kamienia, a wielkie ptaki przy wejściu do wewnętrznego kręgu zostały tak zniekształcone, że z trudem tylko dały się rozpoznać. Lecz w środku kręgu zniszczenia były największe.

Wielki posąg został ścięty nad ziemią i zgruchotany. Nie pozostało z niego nic ponad wysokość stojącego mężczyzny. To, co przetrwało — nogi i schody, które wynurzyły się z podziemia — pokryło się szczelinami i sadzą. Wydawało się, że lada podmuch może to wszystko przewrócić, przeistoczyć w kompletne rumowisko pokrywające brukowaną przestrzeń wewnątrz kręgu. Smuzka dymu nadal unosiła się z głębi ruin w miejscu, gdzie zawalił się posąg. Gdyby nie dym, świątynia sprawiałaby wrażenie opuszczonej od wieków. Wystarczy bluszcz, pnącze czy winna latorośl, a zatrą się kontury zgliszcz.

— Ja to zaraz zobaczyłam — powiedziała Ptaszynka. — Och, te wstrętne, przyprawiające o mdłości kolory, od wewnątrz i na zewnątrz. Oczy były najgorsze.

— Tak, wiem. A kiedy ten wielki dziób otworzył się i rozjarzył się...

Ptaszynka zwróciła się do Płomyka.

— Ale te wszystkie oczy świeciły się od wewnątrz, czerwone i czarne, nawet oczy małych ptaków umieszczonych na szczycie kolumn. A jajka... Och, one pulsowały w rytm bębna. Wszędzie widziałam czerwone i czarne błyski światła. Ale najgorsze, najbardziej przerażające były te zgnięte. Od tych kolorów zbierało mi się na wymioty.

— Czy nadal je widzisz? — Płomyk zmarszczyła brwi, jakby sama chciała to zobaczyć.

— Nie, zniknęły. Nic nie pozostało.

— To miejsce było złe — stwierdziła ponuro Gwiazdka. — Należało całkowicie do Cienia. Zawładnęło twoją mamą i twoim tatą, i pozostałymi mężczyznami. Czułam, że przyciąga Weldyna, kiedy go opanowało. Myślę, że stawałoby się coraz silniejsze, z każdym człowiekiem, którego by połknęło. A kiedy by z nimi skończyło, byłoby tak silne, że i nas by pochłonęło.

— Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zrobił coś takiego jak my — odezwała się Myszka. Spojrzała na poczerniałą oprawkę, w której niegdyś tkwił Klejnot Czarownicy. — I nadal nie wiem, jak tego dokonałyśmy.

— To była Moc. Poflużyłyśmy się nią. A może onal poflużyła się nami?

— To bardziej prawdopodobne — odrzekła Gwiazdka, i Myszka zagryzła wargi.

— Mam nadzieję, że nie będziemy miały kłopotów; z powodu zniszczenia Klejnotu.

— Możemy tylko opowiedzieć Najwyższej Strażniczce o tym, co się stało, i mieć nadzieję, że nam wybaczy.

— A ja mam nadzieję, że z moim tatą będzie wszystko w porządku.

Ptaszynka popatrzyła na Eirran pielęgnującą Yaretha.

— Tak, nic mu nie będzie. Widzę, że z każdą minutą staje się silniejszy.

— To dobrze — powiedziała z ulgą Myszka. — Teraz możemy wrócić do domu.

— Przypuszczam, że w końcu podjęłaś decyzję o tym, co zrobisz, kiedy tam

dotrzemy.

— Skąd wiedziałaś? — Myszka spojrzała na Gwiazdkę.

— Nauczyłaś nas wszystkie słyszeć, pamiętasz? — Gwiazdka uśmiechnęła się. — Myślałaś o tym, odkąd twoi rodzice odnaleźli nas w zamku Alizon.

— Bardzo będzie mi ich brakowało. Nawet Rangina. Wiesz, niewiele lat życia mu pozostało. Tata miał go, och, jeszcze przed moim urodzeniem. Tak jak Śmiałego Wojownika.

Dziewczynki podeszły do niej bliżej, wzięły ją za ręce, poklepywały po ramionach.

— Tak, to bardzo smutne — oświadczyła Świerszczyk. — To zmartwi twoich rodziców jeszcze bardziej niż moich. Oni mieli mojego brata i nowe dziecko, a ty jesteś jedynym dzieckiem Eirran i Yaretha.

— Kiedy znów ruszymy w drogę, jednego dnia będę jechała z mamą, a następnego z tatą — powiedziała Myszka po namyśle. — I nie powiem im, że z nimi nie wracam, dopiero wtedy, kiedy będę musiała to zrobić.

Rozdział piętnasty

I

Nikt nie chciał pozostać w pobliżu ruin, chociaż małe czarownice zapewniały, że zło zginęło na zawsze. Pokonując zmęczenie i szok wywołany spotkaniem ze złymi mocami, Eirran i czterech gwardzistów zdołali zabrać stamtąd Yaretha. Przy pomocy sześciu dziewczynek rozbili pośpiesznie obóz. Z nadzieją, że nie zwęszy ich i nie pozre we śnie jakaś bestia podobna do spotkanej poprzedniego dnia, Eirran położyła się obok swojego małżonka i zamknęła oczy.

Kiedy ponownie je otworzyła, Yareth już nie spał i chodził po obozowisku. Wyglądał na wychudzonego — wydało się jej, że mogłaby dojrzeć jego kości, gdyby go podświetliło od tyłu słońce. Usiadła szybko, chciała podejść do niego i wziąć go w ramiona. Ale coś w jego zachowaniu powstrzymało ją.

Sprawy między nimi są na ostrzu noża, pomyślała. Może winić mnie za wszystko, co się stało. Na myśl o tym poczuła skurcz żołądka i z trudem przełknęła ślinę. Gdybym nie przebywała z dala od domu, opatrując rany zadane przez tego nicponia Rofana, może przepędziłabym tamtą Czarownicę od naszych drzwi. A wtedy nic by się nie wydarzyło. Może tak, a może nie. Odkąd widziałam Myszkę po raz ostatni w Blagden, stała się maleńką czarownicą. Teraz, kiedy rozjaśniło mi się w głowie, dostrzegam to bardzo wyraźnie. Ale Yareth nie widział jej taką, nie słyszał jej mówiącej, że to ona i jej siostry zniszczyły złą moc, która chciała pochłonąć nas wszystkich. A mimo to pozostała dzieckiem oplakującym magiczny Klejnot, który uległ zniszczeniu w tym starciu. Opuściła mnie. Straciłam ją. Czy straciłam także i mojego małżonka?

Padł na nią cień. Podniosła oczy. Yareth stał przed nią, patrząc nad nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Czy możesz jechać? — zapytał.

— Tak.

— Musimy wydostać się z tych gór, zanim znowu natkniemy się na drugie takie miejsce.

I nie będziemy mogli walczyć, ponieważ nasza jedyna broń uległa zniszczeniu, pomyślała Eirran.

— Tak — odparła głośno. — Zgadzam się. Im szybciej opuścimy to straszne miejsce, tym lepiej.

Mięsień drgnął w jego policzku.

— Mamy teraz dodatkowego konia. Ranału, pojedziesz na nim i poprowadzisz swojego.

Ranal skinął głową.

— Dobrze. Załadujemy resztę prowiantu na mojego wierzchowca. Łatwiej będzie się nam jechało.

— Ja chcę pojechać z tobą, tato — powiedziała Myszka.

— Wiec gramol się na górę.

— Ja pojedę z tobą, Eirran — oświadczyła Gwiazdka. Przez cały dzień jechali w tempie dyktowanym przez siły własne i wierzchowców. Nie przekomarzali się jak zwykle. Wydawało się, wpadli w ten sam nastrój co Yareth — a może jeszcze nie przyszli do siebie po zetknięciu się z mocami Ciemności.

Eirran ogarnął równie ponury nastrój i miała mdłości. Poczowała się lepiej dopiero po

południu. W miarę jak jechali, góry stawały się mniej dzikie, a las bardziej przyjazny. Gdy dotarli do podgórza, wysokie, prawie bezlistne drzewa ustąpiły miejsca znajomym dębom, sosnom i świerkom. Zrzucone przez nie igły usłały na ziemi miękki dywan, który wionął świeżym zapachem pod końskimi kopytami. To tu, to tam szarawozielona jemioła tuliła się do gałęzi dębu. Eirran uspokoiła się trochę, żołądek przestał jej dokuczać i oddychała już swobodniej. Podobnie było z pozostałymi Estcarpianami. Gdybyż tylko Yareth zechciał z nią porozmawiać! Ale jej mąż otulił się sokolniczą dumą jak opończą. Dobrze wiedziała, że kiedy był w., takim nastroju, lepiej się było do niego nie odzywać. Sam musi zrobić pierwszy krok. Nie chciała jeszcze myśleć o tym.

Późnym popołudniem natknęli się na ścieżkę, od dawna nie używaną i zarośniętą. Ścieżka świadczyła, że gdzieś w pobliżu byli ludzie, a ludzie — to domostwo. Eirran zatęskniła nagle za dachem nad głową, za ciepłym posiłkiem ugotowanym jak należy, nad paleniskiem. I za gorącą wodą. Przesunęła ręką po włosach. Musiała wyglądać strasznie. Nic dziwnego, że Yareth jej unika.

Ścieżka rzeczywiście zaprowadziła ich do domostwa — ale było ono tak dziwaczne, że Eirran uśmiechnęła się bezwiednie. Emanowało od niego jakieś roztargnienie, prawie lekkomyślność i to ją oczarowało. Kiedyś była tu jedna, uniwersalna izba, gdyż w ten sposób budowano większość chat. Ale w różnych latach, sądząc po różnicach w wykonaniu poszczególnych przybudówek, dodawano na chybił trafił następne pomieszczenia. Gdy właściciel potrzebował więcej miejsca, najwyraźniej nie zwracał uwagi na to, co zbudowano poprzednio. Izby o przedziwnych kształtach odgałęziały się w kilku kierunkach. Często nowo zbudowane pomieszczenie różniło się wysokością od poprzedniego. Całe połacie dachu wykonano z różnych, nie następujących po sobie sukcesywnie surowców — tutaj była dachówka łupkowa, tuż obok słomiana strzecha, potem zaś gonty. Wszystko było w zadziwiająco dobrym stanie, biorąc pod uwagę, że dom długo stał pusty o czym świadczyło zielsko zarastające ogród. Jedna okiennica się obłuzowała, lecz pozostałe były dobrze zamknięte, chroniąc wnętrze przed żywiołami aż do powrotu właściciela, który na pewno musiał być równie ekscentryczny jak jego siedziba, pomyślała Eirran.

Dunnis spojrział na dziwaczne domostwo i odzyskał dobry humor. Jego usta drgnęły z rozbawieniem.

— No cóż, chyba nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że zatrzymamy się na jakiś czas w tym, hm, niezwykłym domu — powiedział. — Jestem pewny, że wszyscy ucieszyliby się z krótkiego odpoczynku.

— Czy przypuszczasz, że w środku są meble? — spytał Loric, któremu niesamowity dom też się spodobał.

— Może jedno zamykane łóżko—szafa albo kilka — poprawił go Dunnis. — Nie liczyłbym jednak na materace.

— To nam wystarczy na dzisiejszą noc — wtrącił nagle Yareth. — Hirłu, zajmij się końmi, reszta nich przeszuka dom i najbliższe otoczenie. Zmęczycie mnie niespodzianki.

Kiedy odwiązali zeszywniałe rzemienie, którymi przywiązano skobel drzwi wejściowych do białego w ścianę kołka, i weszli do środka, Eirran przekonała się, że wnętrze domu było równie zaskakujące jak jego wygląd zewnętrzny. Większość kominków była zatkana i nie nadawała się do użytku, ale wreszcie znalazła czysty kominek w pokoju na końcu krętego korytarza. Przywiązała kilka gałęzi do kija, żeby sprzątnąć tą zaimprovizowaną miotłą kamienne, nierówne palenisko. A potem, gdy Ranal nazbierał drzew i rozpałił ogień, pracowicie zamiotła resztę domu. Przez pękniętą okiennicę nawpadało mnóstwo liści, ziemi i innych śmieci, które wiatr rozmiótł po kątach. Podczas gdy Eirran zajęta była doprowadzaniem domu do

porządku, dzieci piszcząc z radości biegały po pokojach, pochłonięte zabawą, której zasady znały tylko one same.

Eirran kończyła właśnie zamiatać, kiedy zagrzała się woda w garnku i Ranal zaczął przygotowywać posiłek ze swoich zapasów i z pary ptaków, które ktoś schwytał w sidła.

— Nie ma sensu zwać na ciebie całej roboty — powiedział uśmiechając się szeroko. — Idź i umyj się. Damy zawsze to lubią.

Przyjęła od niego garnek z wodą z uśmiechem pełnym wdzięczności.

— Szczęśliwa będzie ta kobieta, która dostanie ciebie za męża — odrzekła. — Gdybyż tylko właściciel tego domu zostawił trochę mydła — westchnęła jeszcze z żalem.

Kiedy zmyła wierzchnią warstwę brudu ze skóry, poczuła się znacznie lepiej. Wróciła do małego pokoiku, bardzo teraz przytulnego, gdyż ogień płonął na kominku, a w powietrzu unosił się zapach gotującego się jedzenia, zagrzała więcej wody i umyła małe czarownice.

— Przestań! I tak znów się zabrudzimy — zaprotestowała Myszka.

— Gdybym słuchała takich argumentów — powiedziała szorując córce szyję — od urodzenia chodziłabyś oblepiona brudem od stóp do głów.

— Niewiele nam brakuje — rzuciła figlarnie Świerszczyk. Eirran, myjąc po kolei dziecięce twarzyczki i rączki, uśmiechała się z zadowoleniem.

— Widzę, że humorki macie już lepsze — oświadczyła, przecierając po raz ostatni buzię Gwiazdki, i ucieszyła się, gdy ta zwykle poważna dziewczynka wybuchnęła śmiechem. Reszta poszła za jej przykładem. Eirran była szczęśliwa, że tak szybko przyszły do siebie. Jej towarzysze podróży również zachowywali się tak jak przedtem — z wyjątkiem Yaretha. On jeden sprawiał wrażenie przygnębionego, obciążonego brzemieniem myśli i uczuć, których nie chciał lub nie mógł wyrazić.

W domu nie było żadnych mebli, a jedyne zamykane łóżce nie nadawało się do użytku. Zniknęły nawet sznury, które niegdyś podtrzymywały słomiany materac — prawdopodobnie zostały ukradzione, i to dawno temu. Tej nocy Eirran spała na podłodze, owinięta w podróżny koc, blisko nagrzanego jeszcze kominka. Myszka skuliła się w zgięciu jej ciała, a inna dziewczynka — nie mogła się odwrócić, żeby zobaczyć, która to — przytuliła się do jej pleców. Ciesząc się, że ma córkę tak blisko, wiedząc jednocześnie, że nie potrwa to długo, zarazem pragnęła spocząć w ramionach Yaretha.

II

Następnego dnia o świcie podróżni zatarli wszystkie ślady swojego pobytu w dziwnym domostwie. Loric naprawił połamaną okiennicę i odchodząc zamknęli wszystko na głucho, zawiązując skobel drzwi wejściowych tak samo starannie, jak go zastali. Przed południem zjechali w dolinę i odkryli tam wioskę. Wioska była taka maleńka, że był w niej tylko jeden sklep, który obsługiwał całą okolicę. Eirran wszakże ucieszyła się na ten widok, jakby zobaczyła gigantyczny jarmark w portowym mieście.

Udało się jej tylko trochę spłukać z siebie kurz i obudziło się w niej pragnienie czystości, które stało się prawie obsesją. Z całej duszy pragnęła być czysta, włożyć znów kobiecej strój i zrzucić męską odzież, która cisnęła ją w pasie. Ale najbardziej pragnęła się wykąpać i umyć włosy.

— Mydło! — wykrzyknęła.

— Prowiant — odrzekł na to Dunnis uśmiechając się szeroko. — Brakuje nam wszystkiego. Nie chciałbym głodować w drodze do Es.

— A dziewczynki mają wilczy apetyt — dodał Hirl. Przytulił mocno Płomyk. — Kto ma pieniądze?

— Ja mam kilka monet. — Ranal poszperał w jukach i wyjął małą sakiewkę. — Dobrze się stało, że ją ukryłem i że tamten stajenny w Alizonie nie miał dość rozumu, aby przeszukać nasze rzeczy, zanim dowiedział się, iż jesteśmy szpiegami.

Loric skinął głową.

— Powinno to wystarczyć na zakup wszystkiego, czego potrzebujemy. Tutejszy sklepikarz pewnie najczęściej przyjmuje zapłatę w naturze. Założę się, że nie ogląda, nawet dwóch monet w jednym roku.

— No cóż, może wziąć całą tę sakiewkę, jeśli ma coś słodkiego do sprzedania. Nie miałem w ustach nic słodkiego, odkąd opuściliśmy Es.

— Kupimy tu wszystko co trzeba i jak najszybciej ruszamy dalej — powiedział Yareth. Jego poważny ton i zachowanie położyło kres przekomarzaniu się.

— Yarecie — zaprotestowała Eirran. Zwrócił na nią „sokole spojrzenie”.

— Miasto Es to tylko przystanek w połowie drogi — rzekł. Spojrzał na Myszkę, która jechała z Eirran. — Chcę znów wrócić do mojego domu z moim dzieckiem.

Naszym, pomyślała Eirran. Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać się od ostrej uwagi, która tylko pogorszyłaby i tak trudną sytuację. Nasz dom. Nasze dziecko. Ale ona już nie jest nasza. Och, przeklęte niech będzie to sokolnicze wychowanie, które czyni cię zimnym i egoistycznym w najmniej odpowiednich chwilach! Gdybyś nie był w takim nastroju, pomogłabym ci przezwyciężyć zawód, jaki cię czeka, gdy dotrzemy do zamku Es i dowiesz się, iż tylko twoja żona będzie ci towarzyszyła w powrotnej drodze do tego twojego domu.

Urażona, nękana znów czkawką, trzymała się z tyłu, kiedy Yareth targował się ze sklepikarzem. Prawie nie było tam na co patrzeć — uprząż dla koni, siodła i chomąta, worki ze zbożem, kilka toreb z suszonymi owocami i warzywami, na górnej półce kilka glinianych misek, lekko popękanych, pokrytych kurzem i upstrzonych muszymi odchodami. Od beczki z solonym mięsem bił tak ostry zapach, że Eirran zrobiło się niedobrze.

Jednak wędrowcy nie mogli sobie pozwolić na wybrzydzenie i grymasy. Ich zapasy były prawie na wyczerpaniu. Yareth szybko dokonał wyboru wśród towarów oferowanych przez sklepikarza. Kupił nawet trochę solonego mięsa, które jeszcze całkiem się nie zepsuło. Oszołomiony wielką ilością pieniędzy, jaką mu

zapropozowano, wieśniak dorzucił jeszcze wiązkę miodnych traw po znacznie niższej — jak twierdził — cenie niż zazwyczaj. Eirran zrobiła krok do przodu.

— Tak, pani? — spytał sklepikarz. — Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

— Mydło — powiedziała. — Proszę. Hik! Tamten z głębokim namysłem ściągnął brwi.

— Do czego się go używa? — spytał w końcu.

Eirran zdumiała się, że na świecie są ludzie, którzy nie znają mydła. Nawet w Blagden każda gospodyni zazdrośnie strzegła swojego przepisu na mydło. A w zamku Es było tak powszechnie używane jak woda, która płynęła ze ściany za dotknięciem, i świetlne kule jarzące się w każdym korytarzu.

— No, używa się go do mycia!

— Och. Do prania odzieży albo do mycia garnków? My tutaj używamy zwykle drobnego piasku do czyszczenia. — Twarz mężczyzny nagle się rozjaśniła. — Ale moja żona ma miksturę, którą wyrabia z mydlnicy. Regularnie, co miesiąc, na nowiu księżycy wciera to w siebie, a potem spłukuje. Czy to wystarczy?

— O tak! — wykrzyknęła z ulgą Eirran. Jeżeli w tej okolicy rośnie mydlnica, dałaby sobie radę, ale nie chciała zatrzymywać się i jej szukać teraz, gdy Yareth był w takim złym humorze. — Ile to — hik! — kosztuje?

Sklepikarz podrapał się po głowie.

— Kiedy nie wiem. Nie wydaje się właściwe, żeby w jakiś sposób kazać płacić za coś, co można zebrać samemu. Wiesz co? Pójdę i przyniosę zioło, a ty, pani, przyjmij je w podziękę za to, że patronowałaś takiej dobrej transakcji.

— Dziękuję.

— Czy skończyłaś? — spytał Yareth. — Czy to wszystko, czego pragniesz?

Choćby sklepikarz miał skrzynię pełną błyskotek, to w pożyczonej sakiewce Kernona nie znalazłaby nawet jednej monety. Zresztą dawno ją straciła.

Przypuszczała, że ukradziono ją, kiedy Alizończycy wrzucali ich do celi.

— Tak, jestem gotowa do drogi.

— Dobrze. Poczekamy na zewnątrz. — Yareth odwrócił się i wyszedł. Pozostali mężczyźni i małe czarownice całą grupą poszli za nim.

Sklepikarz wrócił w tej samej chwili i usłyszał ich rozmowę.

— Czy ten mężczyzna o surowej twarzy to twój mążnek?

— Tak.

— No cóż, mogę ci tylko życzyć szczęścia. — Włożył jej do rąk bukłak pełen gęstego płynu.

— Chcę o coś zapytać...

— Jeżeli będę mógł odpowiedzieć, pani, uczynię to.

— Ostatnią noc spędziliśmy w bardzo... szczególnym domostwie...

Na twarzy mężczyzny odmalowało się zrozumienie.

— Ach, tak. To mógł być tylko dom starego Ostbora zwanego Uczonym. Nie żyje od dawna. Pewna kobieta mieszkała z nim przez jakiś czas. Pozostała po jego śmierci, aż wreszcie odeszła. Nie pamiętam, jak się nazywała. Nikt tam już nigdy nie chodzi. Mówią, że w tym domu straszy.

— Wcale nie. To cudowny dom. Trzeba tylko, żeby ktoś w nim zamieszkał. Ktoś, kto będzie go kochał i troszczył się o niego.

— Być może — odrzekł sceptycznie sklepikarz — ale musiałby to być ktoś z zewnątrz. Nikt tutejszy nie ośmieliłby się tego zrobić.

— Wielka szkoda. To naprawdę cudowny dom, pełen niespodzianek.

Sklepikarz pogrzebał we wnęcie za zasłonką i w końcu wyjął woreczek, w którym coś grzechotało.

— To dla, tych dziewczynek — rzekł. — Orzechy w cukrze. Nie pozwól im zjeść

wszystkiego od razu. Jesteś porządną kobietą o dobrym sercu.

— Dziękuję ci — odparła Eirran. — Dziękuję ci za twoją szczodrość.

Wzięła przysmaki, pośpiesznie wyszła ze sklepu i włożyła bukłak z drogocennym ekstraktem do sakwy przy siodle. Później wsiadła na konia. Nie mogła się doczekać chwili, gdy zacznie wydzielać dziewczynkom orzechy w nagrodę za to, że pozwolą się wymyć do czysta przed triumfalnym powrotem do miasta Es.

III

Wydawało się, że Najwyższa Strażniczka wcale się nie poruszyła, gdyż nie było żadnej różnicy pomiędzy tą audiencją a poprzednią, kiedy Eirran i Yareth stanęli przed nią pierwszy raz. Znajdowali się znów w tym samym małym pokoju, na kominku mógłby płonąć ten sam ogień co wówczas, i to samo światło wpadać przez jedyne okno.

Ale tym razem komnata Strażniczki była znacznie bardziej zatłoczona. Ich córka była znowu z nimi, tak jak pozostałe pięć dziewczynek. Czwórka gwardzistów opuściła ich przy bramie, żeby wrócić do koszar. Eirran odczuwała ich brak, gdyż zachowywali się jak bufor osłaniający ją przed zmiennymi nastrojami Yaretha. I jej własnymi, musiała to przyznać.

Teraz Yareth stał dumnie wyprostowany na całą swoją wysokość.

— Obiecałem, że przyprowadzę ci twoje małe czarownice, jeżeli pozostały przy życiu. I oto są.

— A ty, tak jak to obiecałam, masz moją dozoną wdzięczność. — Strażniczka przeniosła spojrzenie z Yaretha na Eirran i ta ostatnia dostrzegła cień uśmiechu na surowych ustach Czarownicy.

— Więc doprowadziliśmy do końca tę sprawę — odrzekł Yareth odwracając się do Eirran i do Myszki. — Chodźcie, wracamy do domu.

Myszka zrobiła krok do przodu. Na jej dziecinnej twarzyczce malowało się zdecydowanie i serce Eirran zabiło mocniej, gdyż w tej chwili tak bardzo podobna była do swojego ojca.

— Nie, tato — powiedziała. — Teraz mój dom jest tutaj. Eirran omal nie wyciągnęła ręki do Yaretha, żeby powstrzymać wybuch gniewu, a przynajmniej skierować go na siebie, a nie na dziecko. Ale ku jej zdziwieniu Sokolnik pochylił głowę i zgarbił się, jak bardzo zmęczony człowiek.

— Tego się właśnie obawiałem — rzekł. Po raz pierwszy w życiu Eirran usłyszała nutę rezygnacji w jego głosie. Opanował się jednak z wysiłkiem i ponownie wyprostował. — Zwyciężyłaś. Nie wiem jak, ale zwyciężyłaś. Zabrałaś mi moją córkę. Obyś doznała radości z tego zwycięstwa. — Potem odwrócił się i wielkimi krokami wyszedł z komnaty.

— Wybacz mu, pani — powiedziała Eirran. — Jest oszalały z rozpaczy. Utracił w walce swojego sokoła, Śmiałego Wojownika. A teraz jeszcze i to...

— Wiem — odrzekła łagodnie Strażniczka. — Bądź dla niego dobra. Będzie ciebie potrzebował w najbliższych dniach.

— Oby to było prawdą.

— Jest, Eirran. Uwierz mi. — Nastrój Czarownicy się zmienił. — Bardzo nieprzyjemnie zaskoczyła nas wiadomość, że w naszym świecie nadal przebywają żywi Kolderczycy. Możliwe, że ty i twój mąż wreszcie z nimi skończyliście. Jesteśmy waszymi dłużniczkami, chociażby za ten wspaniały wyczyn. Wierzchowiec, na którym przybyłaś do Es, czeka na ciebie na zewnętrznym dziedzińcu. Znajdziesz przy nim kilka podarunków, dowodów naszej wdzięczności. Proszę, zatrzymaj — jako nasz dar — również zbroję i oręż, których używałaś, oraz konia, na którym wyruszyłaś do Alizonu. To nader skromna odpłata za twe wielkie czyny.

Drugi torgiańczyk! Niesłychane bogactwo, którym tak niedbale ją obdarowano! I jeszcze więcej darów. Eirran, jękając się, wyraziła podziękowania.

— To nic takiego — odrzekła Czarownica wzsuszając ramionami. Uśmiechnęła się tajemniczo. — Są dary i dary. Eirran nie wiedziała, jak na to odpowiedzieć.

Strażniczka dotknęła szerniałej srebrnej oprawki, w której niegdyś osadzono szaroniebieski kamień, i zwinęła łańcuszek w szczupłych palcach.

— Użyły tego Klejnotu przeciwko Miejsu Mocy w Alizonie w bardzo niezwykle sposób. Naprawdę niezwykle. Niezwykła jest też postać, jaką przybrała Ciemność w owym Miejsu Mocy. Wielki Sokół. Czy jest to coś z historii Sokolników, o czym nie chcą mówić?

— Nie wiem, pani — odpowiedziała Eirran. — Słyszałam, że Weldyn wzywał Wielkiego Sokola w sposób, w jaki niektórzy mężczyźni składają przysięgę. Yareth jednak wypowiedział to imię dopiero w jakiś czas od spotkania z Weldynem. Yareth. Nie mogła dłużej zwlekać. Zwróciła się do Myszk:

— Nie będę ci utrudniać pożegnania swym płaczem. Myślę, że pożegnałyśmy się w drodze do Es. Bądź dobra, posłuszna i naucz się wszystkiego, czego możesz się nauczyć.

— Myślę, że te wszystkie dziewczynki staną się wybitnymi Czarownicami — stwierdziła Strażniczka.

— Do widzenia, mam — powiedziała Myszka i, może po raz ostatni w życiu zachowując się jak małe dziecko, rzuciła się matce w ramiona. Pozostałe dziewczynki również otoczyły Eirran, jakby stała się dla nich ucieleśnieniem własnych rodziców.

— Do widzenia, do widzenia — powiedziały chórem.

— Eirran, profę. — Seplenisia pociągnęła ją za rękaw. Żona Yaretha nachyliła się tak, że jej oczy znalazły się na tym samym poziomie co oczy małej czarownicy. — Będzie mi ciebie brakowało i Yaretha również. Mogłam bez trudu wymówić wafe imiona!

— I mnie będzie brakowało... będzie mi brakowało... — Eirran nagle zerwała się i wybiegła z komnaty. Obiecała Myszce, że nie zapłacze podczas pożegnania, a jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, nie dotrzyma słowa.

Spodziewała się, że mąż dawno już odjechał drogą wiodącą do Blagden. Ku swemu zaskoczeniu przekonała się, że Yareth czeka na nią, trzymając wodze Dorny'ego. Łagodny stary wałach uginał się pod ogromnymi jukami — owymi skromnymi darami, o których wspomniała Najwyższa Strażniczka. Mąż bez słowa podał jej wodze i Eirran przywiązała je do swojego siodła. Później wyjechali powoli z zanku, przejechali przez miasto i podążyli wschodnim traktem.

Eirran nie przerywała milczenia, jakie między nimi zapadło, gdyż sama nie miała ochoty na pogawędkę. Po jakimś czasie przestała zwracać na to uwagę. Zbyt wiele bowiem się wydarzyło, odkąd jechała z nim tą samą drogą w poszukiwaniu dziecka, które zabrały Czarownice. Ich córka już nie była dzieckiem. Czy wpłynęło na to porwanie, ciężkie przeżycia w kolderskiej maszynie, niewiarygodny sposób, w jaki Myszka i jej siostry, nie mające odpowiedniego wykształcenia, przyciągnęły Moc za pośrednictwem użyczonego Klejnotu i uratowały ich wszystkich od Ciemności? A może zadecydował sam fakt, że Myszka rzeczywiście była urodzoną czarownicą? W każdym razie, choć miała tylko sześć lat, przestała być dzieckiem,

Eirran spojrzała na Yaretha, zastanawiając się, o czym rozmyśla. Śmierć Śmiałego Wojownika i utrata Myszk były dla niego ciężkim ciosem. Czyżby śmierć — albo coś od niej gorszego — jego brata Sokolnika bardziej go poruszyła, niż to okazał? Mieli ze sobą osobiste porachunki i Eirran wcale by nie zmartwiło, gdyby tych dwóch stoczyło pojedynkę i Weldyn poległ z ręki Yaretha. Ale przypuśćmy, że to Yareth by zginął...

Porwały ją nagłe nudności, poczuła w ustach gorycz i musiała przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować. To dziwne, pomyślała. To wszystko jest takie dziwne. Zastanawiam się, czy zrozumie to kiedykolwiek.

IV

W powrotnej drodze trzymali się głównego traktu, chociaż przez to podróżowali dłużej. Po prostu wydawało się im, że jazda na przełaj wymaga zbyt wiele wysiłku. Po kilku dniach dotarli do Wielkiego Rozdroża, gdzie trakt się rozdwajał. Jedna droga prowadziła do Lormtu, druga zaś skręcała na południe, w stronę Blagden. Eirran widziała w oddali błyszczące silnym blaskiem wieże Lormtu. Może teraz, westchnęła w duchu, może teraz znajdzie dość czasu, żeby spędzić tam kilka miesięcy na nauce? Od tak dawna pragnęła to uczynić. Yareth nie odczuwa jej braku. Odkąd opuścili Es, odezwał się do niej zaledwie kilka razy.

Dziki okrzyk rozległ się w górze. Zaniepokojona Eirran podniosła oczy. Mała czarna kropka, z tej odległości niewiele większa od wróbla, zapikowała ku nim. Kiedy się zbliżyła, Eirran dostrzegła białe V na jej piersi i ponieważ zdążyła sobie sprawę, co naprawdę widzi.

Zaskoczony Yareth ledwie zdążył wysunąć na czas ramię, żeby ptak mógł usiąść. Na usta wybiegła mu ekstatyczna sokolnicza pieśń. Ale ptak tylko przechylił głowę na bok, jakby go zdziwiły i zaintrygowały te dźwięki. Yareth przeszedł więc na mniej skomplikowany język, którym posługiwał się prowadząc zdawkowe rozmowy ze Śmiałym Wojownikiem. I sokół odpowiedział.

— To dziki sokół! — wykrzyknął Yareth z zachwytem. I po raz pierwszy od bardzo długiego czasu roześmiał się. — To młodzik, potomek sokołów, które uciekły z Gniazda podczas Wielkiego Poruszenia!

— Och, Yarecie! — Eirran położyła mężowi rękę na ramieniu, młody sokół zaś zatrzepotał skrzydłami, jakby jej bliskość go zirytowała albo zaniepokoiła.

Yareth delikatnie pogłaskał ptaka po głowie i ten uspokoił się niebawem.

— Cicho... — szepnął. — Przyzwyczajaj się do niej. Ona jest przyjacielem. A jak masz na imię, mój piękny sokole?

— Aż mi się nie chce wierzyć! Ty, z tym ptakiem na pieści?! Yareth podniósł na nią oczy.

— Od stuleci mają to we krwi: wybierają jednego z nas i łączą się z nim braterską więzią. Całe rodzeństwo tego młodzika zginęło. Stało się łupem zwierząt i innych ptaków. Część się jeszcze nie wykluła, część była niezdolnymi do lotu pisklętami. On czuł się strasznie samotny. — Mały sokół zaskwirzył coś i Yareth w odpowiedzi wydał dźwięki, brzmiące jak eek-ik-eek.

— Co on powiedział?

— Swoje imię. Chce, żebym nazywał go Dzielnym Wojownikiem. — Yareth uśmiechnął się przypomniawszy sobie swojego zmarłego partnera. — Na pamiętkę mojego poprzedniego sokoła. Zastanawiam się, skąd się o tym dowiedział. — Znowu pogłaskał Dzielnego Wojownika. — Oczywiście, nie jest ułożony. Będę musiał z nim popracować.

Eirran zamknęła oczy. Strażniczko, pomyślała z wdzięcznością, czy to twój dar? Jeśli tak, nigdy nie mogłabyś znaleźć nic bardziej odpowiedniego ani potrzebnego. Może teraz znów wszystko będzie dobrze z moim Yarethem.

Oboje w milczeniu ruszyli w dalszą drogę. Dopiero po jakimś czasie Yareth przerwał ciszę. Mówił głównie o nic nie znaczących sprawach i o tym, co znaleźli. Nadal jednak nie mógł mówić o tym, co stracili. Rany były zbyt świeże. Nastrój Eirran również się poprawił. Mogła już myśleć o czymś innym niż rozpacz Yaretha. Z ciekawością zbadała zawartość jednej z sakw, które dźwigał Dorny. Strażniczka szczerze ich obdarowała. Piękna odzież dla nich obojga z niebieskiej, jedwabistej

tkaniny, którą nosili mieszkańcy zamku Es. Para pistoletów strzałkowych z obfitym zapasem amunicji. Łuk myśliwski i strzały z grotami z dziwnego niebieskiego metalu. Srebrna waga do dozowania ziół. Moździerz i tłuczek z niebieskiego kamienia, które tak dobrze leżały w dłoniach. Tuzin srebrnych łyżek. I na pewno jeszcze więcej w pakunkach, których nie otworzyła. Postanowiła, że zrobi to po powrocie do Blagden.

Przed wieczorem włożyła jedną z nowych sukien.

— Powinnaś ją zachować na jakąś specjalną okazję — powiedział Yareth.

— To właśnie jest specjalna okazja. — Dotknęła czule jego policzka. —

Szczególna.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem. Niemal widziała zmianę, jaka dokonana się w jego umyśle. Rozmyślnie odrzuciła pozę dobrego kompana podróży, jakim musiała być w otoczeniu innych mężczyzn i małych dzieci, i ponownie stała się Eirran. Jego żoną. Jego ukochaną.

Wziął ją w ramiona i owej nocy, po raz pierwszy od bardzo dawna, kochali się pod gwiazdami.

Kiedy pokonali w końcu tę olbrzymią zapórę, stosunki między nimi ułożyły się prawie tak dobrze jak kiedyś. Eirran cieszyła się z tego i miała nadzieję, że po powrocie do domu będą żyli dawnym życiem. Yareth miał nowego sokoła, który zastąpił mu zmarłego Śmiałego Wojownika, i wracali z nieoczekiwanym bogactwem, którym obdarowała ich Najwyższa Strażniczka. Tylko ona nadal miała pustkę w sercu. Jej córka...

Przegnała tę myśl. Jak mogła być taka niewdzięczna, kiedy los okazał się dla nich taki łaskawy? Myszka żyła, była bezpieczna i znalazła swoje miejsce. Wszystko się wyjaśniło i dobrze ułożyło. Wiedziała, że ból utraty z czasem złagodnieje, choć nigdy całkowicie nie ustanie.

V

Blagden wyglądało prawie tak samo jak wtedy, kiedy je opuścili. Wydawało się im, że to było tak dawno temu. Ale lato dopiero się zaczynało i warzywa w ogrodach nawet jeszcze nie dojrzały.

Zdając sobie sprawę, jak dziwnie muszą wyglądać w oczach przyjaciół i sąsiadów, oboje odziani w kolczugi, jadący na torgiańczykach i prowadzący luzaka obładowanego darami od Rady Estcarpu, Eirran przejechała za Yarethem przez wieś i skręciła na dróżkę, na której końcu czekał dom Sokolnika.

Aidine wybiegła ze swojej chaty, witając ich głośno. Wielki pręgowany kot sadził przy niej susami, ale zatrzymał się nagle i nastroszył futro, gdy dostrzegł obcego sokoła jadącego na grzędzie przy siodle Yaretha.

Eirran rzuciła wodze mężowi i zsunęła się z siodła.

— Wróć za minutę.

— Nie bądź za długo — odrzekł. Skinął głową i skierował konie w stronę stajni, podczas gdy Eirran podbiegła do przyjaciółki i mocno ją uścisnęła.

— Aidine! Och, jak się cieszę, że cię widzę! A czy to jest Łowca? Czym go karmiłaś?

— Och, ślimakami i kijankami — odparła ze śmiechem Aidine. — Ejże, wyglądasz zupełnie inaczej. Nie poznałabym cię w tej zbroi. Nieważne. Twój dom jest czysty i czeka na ciebie, i nad ogniskiem czeka również kolacja...

— Skąd wiedziałaś?

— Przygotowuję ją codziennie od dwóch tygodni. Hefin mówi, że nigdy tak go dobrze nie karmiłam, odkąd się pobraliśmy.

Eirran roześmiała się.

— Musisz mi opowiedzieć wszystkie nowiny.

— Rofan znowu pobił Beldę... — Aidine skrzywiła się. — Wiem, wiem. Ale opuścił teraz naszą wieś, mamy nadzieję, że na zawsze. Dwóch jego przyjaciół nicponi odeszło razem z nim. Piec u piekarza się zapalił i nie mieliśmy chleba przez tydzień...

— Och, to wszystko brzmi tak cudownie. Tak bardzo mi tego brakowało.

— I twój ogród jest w doskonałym stanie — dokończyła Aidine. — Nie wiem, jakich czarów musisz używać... Och, a mówiąc o czarach, co z Jenys? Czy nie ma jej z wami? Nie znaleźliście jej?

— Tak, znaleźliśmy ją. — Eirran uśmiechnęła się z zalem. Podniosła Łowcę i przytuliła go do piersi. Kot zaczął mruścić i ugniatać pazurami jej ramię. Przyjrawszy się jego potężnym łapom ucieszyła się w duchu, że ma na sobie kolczugę. — A potem znowu ją straciliśmy. Czarownice miały rację, że po nią przybyły. Ona jest jedną z nich, Aidine. I została z nimi.

— Och, nie wiem, czy ci gratulować, czy złożyć kondolencje. — Aidine przyjrzała się krytycznie swojej przyjaciółce. — Myślę jednak, że raczej powinnam ci pogratulować.

Eirran odpowiedziała coś wymijająco i odwróciła się, jakby chciała już pójść do swojego domu. Przyjaciółka wzięła ją za rękę.

— Zaczekaj. Czy nie wiesz?

— Czego nie wiem?

— Wejdz ze mną do środka. Tylko na chwilę. — Kiedy weszły do czyściutkiej chaty Aidine, ta podała Eirran wypolerowany talerz. — Weź. Przyjrzyj się sobie.

Zaintrygowana Eirran puściła Łowcę i przyjrzała się swojemu odbiciu. Zrobiła to

po raz pierwszy od wielu tygodni. Nawet w mieście Es zerknęła tylko przelotnie w lustro, by sprawdzić, czy wreszcie jest czysta. Teraz zaś sama dostrzegła to, co Aidine zauważyła natychmiast. Nie mogła z niczym pomylić tego szczególnego rumieńca, nawet w takim prymitywnym zwierciadle. Postawiła talerz na stole i skrzyżowała ramiona na brzuchu. Łzy popłynęły jej z zamkniętych oczu. Teraz w końcu zrozumiała aluzję Strażniczki, kiedy ta mówiła o darach. I wszystkie tego oznaki! Miesiączka, która nigdy nie nadeszła, zmienne nastroje, nudności! Takie to teraz jasne, a przecież można było łatwo znaleźć inne tego przyczyny. Sama o tym nie wiedząc, musiała być w ciąży jeszcze przed podróżą do miasta Es.

— Ależ z ciebie Mądra Kobieta — powiedziała z przyjaznym wyrzutem Aidine.

— Rzeczywiście.

— No jak, nie jesteś zadowolona? Czy nie sądzisz, że Yareth będzie uszczęśliwiony z tego powodu?

— Uszczęśliwiony? — Eirran poczuła dobrze znany skurcz żołądka. Czknęła. — Nie masz pojęcia, jak bardzo. Zaczekaj tylko, aż mu o tym powiem! — Zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie. — Och, będzie naprawdę bardzo zaskoczony. Hik!

Posłowie

Usłyszeliśmy tę opowieść z ust Eirran i Yaretha w jakiś — czas po ich powrocie. Albowiem Eirran nalegała, żeby złożyć wizytę w Lormcie w poszukiwaniu wiedzy o ziołach, tak jak przewidział to jej małżonek. Kiedy przybyła, była w zaawansowanej ciąży i Nolar i ja wyczuliśmy, że coś jest nie w porządku.

Nie znaczy to, by boleli nad utratą córki, ponieważ oboje zdawali sobie sprawę, że obdarzone Talentem dziecko z samej swej natury zrywało więzy pokrewieństwa. Inna chmura ciążyła nad nimi. A raczej, jak wyczułem, nad Eirran i niepokój Yaretha był związany z troską o małżonkę.

Pewnego ranka, gdy pracowała z Nolar, kopiując receptury jakichś uzdrawiających czarów i listę ziół, których należało użyć, zapytała nagle:

— Dlaczego mam takie złe sny, pani? Nie miałam ich, kiedy po raz pierwszy byłam w ciąży. Wtedy przepelniało mnie szczęście. — Odłożyła pióro i przycisnęła rękami brzuch, jakby chciała go osłonić przed czymś, czego nie знаła.

— Jakie sny? — spytała Nolar.

— Nie pamiętam ich po przebudzeniu, wiem tylko, że są to złe przesłania. A wiem dlatego, że budzę się zrana potem, przerażona, z bolącym gardłem, jakbym długo krzyczała. Czasami chce mi się wymiotować, jakbym zjadła coś obrzydliwego. Nie mogę jednak pozwolić, żeby Yareth się o tym dowiedział, i dlatego... Bardzo trudno jest to przed nim ukryć, gdyż coraz bardziej niepokoi się o mnie i nie chce zostawiać mnie samej. To nie jest taka ciąża jak należy i boję się, och, jakże się boję! Tak naprawdę, to właśnie dlatego tu przybyłam. W tej samej chwili, w której Eirran przemówiła do Nolar, Yareth, który przyglądał się, jak jego sokół ostrożnie zbliża się do Jeźdźca Burzy, powiedział nagle, odwrócony do mnie plecami:

— Czy to prawda, że masz odrobinę magicznego Talentu, chociaż nie jesteś panną—czarownicą? — zapytał ostrym tonem i zrozumiałem, że jest to dla niego bardzo ważne. Odrzekłem więc zgodnie z prawdą:

— Tak, władam niewielką mocą. — Sięgnąłem do mieszka z kryształami, który zawsze wisiał u mojego pasa.

Sokolnik odwrócił się i zbliżył do mnie.

— Więc powiedz mi — rzekł tak mocno zaciskając ręce na swoim pasie, że skóra napięła się na kłykciach — czy Ciemność ma do mnie dostęp? — Spojrzał mi prosto w oczy, jakby stawiał czoło nieprzyjacielowi.

Rzadko posługiwałem się myślową sondą do czegoś więcej niż powierzchniowego odczytu, a to z obawy, by komuś nie zaszkodzić, i zrobiłem to raz czy dwa z Nolar, kiedy połączyliśmy nasze umysły. Ale na żądanie Sokolnika zagłębiłem się w jego mózgu. Nie znalazłem jednak w nim niczego, co nie byłoby ludzkie i wspólne całemu naszemu rodzajowi. Wyczułem wszakże w nim niemy strach, po części o własną osobę, lecz przede wszystkim o Eirran.

— Nic nie znajduję.

Nie wiem, czy uznał moje słowa za prawdziwe. Jestem jednak przekonany, że nie przyniosły mu ulgi.

— A czego się boisz? — dodałem.

Sokolnik potrząsnął głową, jakby chciał odpedzić natrętną muchę.

— Tego właśnie nie wiem. Czuję tylko, że tam coś jest, coś podobnego do snu.

— A czy coś ci się śni?

— Nie wiem, gdyż nie pamiętam nic po przebudzeniu. Wiem, że jest złe — i że to zło zwraca się ku Eirran. Nic się nie może zbliżyć do Eirran, nic! Za moim

pośrednictwem czy za pośrednictwem czegoś innego. Przysięgam na Wielkiego Sokoła! — Wypowiedziawszy te słowa, spojrział na mnie nagle szeroko otwartymi oczami, powtórzył je szeptem i wzdygnął się. — ...Wielkiego Sokoła!

— Czyż nie widziałeś na własne oczy, że to zło zostało zniszczone? — zapytałem. — Możliwe, że wspomnienie o tym przychodzi do ciebie w snach. Jeśli tak jest, takie cienie z czasem bledną i znikają.

— Oby tak się stało. — Ale kiedy mnie opuszczał, jego nastrój pozostawał bez zmian.

Podjąłem wtedy pewną decyzję i po raz pierwszy poszedłem na górę schodami i korytarzem, gdzie od dawna nie byłem mile widziany. Tam zdecydowanie zapukałem do drzwi. Kobieta, która je otworzyła, stała z piórem w ręku i twarzą równie drewnianą jak drzwi do jej komnaty.

— Mam do ciebie sprawę — powiedziałem otwarcie.

— Jaką sprawę? — odparowała Arona, którą widziałem zaledwie kilka razy, odkąd tutaj przybyła. Nie mogła mi się teraz wymknąć.

— Opowiedz mi, co wiesz o Wielkim Sokole. Zareagowała tak, jakbym wyciągnął miecz, który znów nosiłem z konieczności: podniosła rękę do ust i cofnęła się o parę kroków. Szedłem za nią, gdyż przyszło mi na myśl, że pod wpływem tego wstrząsu może zapomnieć o swej niechęci i powiedzieć coś ważnego.

Cofała się ciągle, aż w końcu siadła na krześle. Nie patrzyła na mnie, ale ponad moim ramieniem, jakby wisiał tam zwój, który musiała odczytać.

— Jonkara... wielka pułapka Ciemnych Mocy, ale ona była uszkodzona, uszkodzona, ponieważ mężczyźni tak zechcieli!

— Czy przeczytałaś Kronikę Eirran i Yaretha? Przesunęła językiem po ustach, jakby nagle zaschło jej w gardle.

— Tak — odrzekła prawie szeptem.

— Więc czego tych dwoje może się obawiać? — zapytałem z naciskiem.

Arona znowu zwilżyła wargi i zapytała drżącym głosem:

— Czy oni się boją?

— Yareth się boi.

— Eirran też. — Nolar niepostrzeżenie dołączyła do nas dwojga. — Czy twoja Jonkara chciałaby skrzywdzić niewinną kobietę noszącą w łonie nowe życie? Na pewno to, co mi opowiedziałaś, zadałoby kłam temu twierdzeniu.

Nolar minęła mnie, podeszła do Arony i położyła jej rękę na ramieniu. Kiedy przemówiła, głos jej złagodniał i w jakiś sposób odgrodził obie niewidzialnym murem ode mnie.

— Masz klucz, otwórz drzwi.

Arona spojrzała w oczy Nolar.

— Ależ to jest tylko legenda, opowiadanie, nie mówi nic, o czym.... — Nagle urwała w pół słowa.

— Więc coś sobie przypomniałaś, Arono? Chciałabym cię przestrzec. Eirran jest bliższa rozwiązania, niż nam się wydawało. Nie może wrócić do domu i jest przekonana, że z jej dzieckiem źle się dzieje. Z tego, co mi powiedziała, wynika, iż może tu chodzić o jakieś przestanie...

Zacisnąłem dłoń na rękojeści miecza, chociaż dobrze wiedziałem, że żadnym brzeszczotem nie można walczyć z czymś takim. Tylko samą Mocą. Bardzo chciałem wierzyć, że razem zgromadzimy jej dostatecznie dużo. W Lormcie było dość wiedzy na ten temat, ale żeby władać Mocą, trzeba mieć wrodzone zdolności. Ja miałem jakąś ich część, Nolar znacznie więcej. Czyż Kamień z Konardu nie miał uzdrawiać? A przecież przez wiele lat służył, a może zmuszony był służyć, mocom Ciemności. Czy po wieloletniej opiece Elgareth był już całkowicie od nich wolny?

— Arono? — ponagliła ją Nolar.

Pióro, które Sokolniczka ścisnęła w rękach, pękło z trzaskiem. Jej twarz była blada jak płótno, bledsza niż bladość pokrywająca oblicza tych, którzy stronią od słońca. Wstała i podeszła do stołu, na którym leżały stopy zwojów i karty postrzępionego przez czas pergaminu.

— Jonkara — wymówiła szeptem to imię jak inwokację. Później podniosła głowę i spojrzała na mnie. — To wyłącznie sprawa kobiet — powiedziała lodowatym tonem.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Moc nie uznaje ani mężczyzny, ani kobiety. Odpowiada temu, kto ją przywołuje. Kiedy trzeba posłużyć się tym, czym ja władam, jest tylko Światło i Ciemność, i wszystko zależy od tego, kto je przyzywa.

Arona nie próbowała się ze mną sprzeczać, aczkolwiek spodziewałem się tego. Skupiła swoją uwagę na tym, co leżało na stole, a Nolar zwróciła się do mnie:

— Zajmij się Yarethem. Myślę, że możemy spotkać wroga, którego on może znać. Niech wiec będzie na to przygotowany.

Nie czekaliśmy długo. Tej nocy Eirran obudziła się z przerywanego snu i jej krzyki sprowadziły Nolar i mnie z pobliskiej komnaty. Yareth trzymał żonę w ramionach. Szamotała się, nie widząc go i patrząc przed siebie dzikim wzrokiem. Dopiero kiedy Nolar dała mi znak, żebym rozerwał jego uścisk, i sama objęła Eirran, żona Sokolnika się uspokoiła. Usłyszałam jakiś ruch przy drzwiach i Arona minęła mnie szybkim krokiem.

Trzymała w ręku mały, podobny do różdżki patyk. Dotknęła nim brzucha Eirran i wymówiła słowa, których nie zrozumiałem. Dziewczynę coś cisnęło na bok, Yareth zaś zamierzył się na nią. Odparowałem uderzenie, przejmując cały impet na siebie. Chyba nawet nie zdała sobie sprawy, co Sokolnik chciał zrobić, gdyż powiedziała do Nolar:

— Dziecko w jej łonie jest opętane.

Yareth krzyknął. Słowa Arony wstrząsnęły mną do głębi. Opętanie przez Ciemne Moce może być gorsze od śmierci. Eirran osunęła się na łożo i dyszała tak ciężko, że drżało całe jej ciało. Yareth spojrzał na mnie z przerażeniem.

— Co trzeba zrobić?

Nolar szybko zbadła Eirran.

— Jeszcze nie rodzi. Musimy zawieźć ją do Kamienia z Konnardu!

Wprawdzie odwiedzając Elgareth przez te wszystkie lata wydeptaliśmy do niej ścieżkę, ale nie była to prawdziwa droga. Utrzymywaliśmy ją w takim stanie, żeby inni tam nie chodzili. Przewiezienie tam Eirran było tak trudnym zadaniem, że coś podobnego nawet by mi do głowy nie przyszło, gdyby nie pewność, że żonę Yaretha czeka śmierć.

Umieściliśmy zaimprovizowaną lektykę pomiędzy dwoma najspokojniejszymi kucami — taką, jaką Strażnicy Graniczni przewożą najciężej rannych — i w towarzystwie Derrena, który znał drogę, i jego żony Anylse, która była położną, skierowaliśmy się do ukrytej świątyni.

Eirran zdawała się nic nie wiedzieć o podróży i Nolar uważała to za prawdziwy uśmiech losu. Na każdym postoju poila ją ziołami i naradzała się z Anylse. Yareth niewiele mówił, a ja nie nalegałem. Arona również zdawała się obecna ciałem i nieobecna duchem. Od czasu do czasu poruszała ustami, jakby mówiła do siebie albo do kogoś, kogo nie widzieliśmy. Bardzo ostrożnie trzymała swoją różdżkę. O dziwo, oba sokoły, zarówno mój Jeździec Burzy, jak i Yaretha Dzielny Wojownik, sprawiały wrażenie zaniepokojonych, skwirzyły gniewnie co jakiś czas, jakby rzucały wyzwanie. W takich chwilach Rawit odpowiadała im ostrym szczeknięciem.

Tak przybyliśmy do świątyni Kamienia z Konnardu i Elgareth wyszła nam na

spotkanie. Wtedy Eirran krzyknęła głośno i zaczęła rzucać i skręcać całym ciałem. Nolar i Anylse, które szły obok lektyki tego ranka, szybko ją przytrzymały. Choć niewiele wiedziałem o połogu, domyśliłem się, że rozwiązanie jest bliskie.

Odwiązaliśmy lektykę i wnieśliśmy ją do środka, lecz Elgareth zastąpiła nam drogę, ściskając w dłoniach swój Klejnot.

— Nie zanoście jej do Kamienia — powiedziała ochrypłym głosem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem. — To należy do Ciemności.

Yareth trzymał drążki lektyki. Myślę, że gdyby miał wolne ręce, powaliłby czarownicę na ziemię. Spiorunował ją spojrzeniem, a jego sokół z ochrypłym krzykiem zniżył lot, ale nie ośmielił się zaatakować.

Arona stanęła ramię w ramię z Nolar przed Elgareth. Anylse zaś zawołała:

— Jej czas jest bliski! Pani, zlituj się nad nią! W imię Gunnory!

— Zła nie można tak łatwo przepędzić — powiedziała Arona do Elgareth. — Trzeba z nim walczyć i będę walczyła w imię Jonkary. Z kim lub z czym będziesz toczyć bój? Słyszałam, że składacie uroczystą przysięgę, że posłużycie się swoją mocą, gdy nadejdzie taka potrzeba. A może tylko ruszacie z posad góry i odbieracie życie podczas bitwy?

Stały tak naprzeciw siebie, jedna ściskając w dłoniach Klejnot, a druga drewnianą różdżkę, i ku mojemu zdumieniu to Elgareth uległa i pozwoliła nam wnieść Eirran do jaskini, która była zewnętrznym pomieszczeniem świątyni.

Derren odszedł, żeby zająć się naszymi wierzchowcami. Yareth padł na kolana i chwycił w swe ręce dłonie Eirran, która wiła się i jęczała. Nolar i Anylse obserwowały ją uważnie. Skierowałem się do wyjścia, Nolar jednak pokręciła przecząco głową i wskazała na miejsce obok drzwi. Wyczułem, że wokół nas gromadzi się coś groźnego.

Spróbowałem zbadać to myślową sondą. Bezkształtny mrok zamienił się w ptaka, w sokoła. Jeździec Burzy boleśnie wpił mi się w ramię szponami. Nie wiedziałem, że sokół może piszczeć, lecz dźwięki, które wydobywały się z jego dzioba, naprawdę przypominały piski. Kiedy Yareth ukląkł, jego sokół przeleciał na oparcie krzesła i stamtąd przyglądał się nam. Jego oczy błyszczały jak płomień. Rawit skuliła się z przerażenia u moich stóp, ale nie chciała mnie opuścić.

Elgareth stała przy głowie Eirran i światło z jej Klejnotu padało na głowę i twarz położnicy. Arona zajęła miejsce przy jej stopach, skierowawszy różdżkę do przejścia, z którego musi wynurzyć się nowo narodzone dziecko. Wytężyłem siły, wolę i magiczny Talent, żeby dowiedzieć się, co nam grozi.

Eirran wydała głośny, jęśliwy okrzyk i dziecko znalazło się na pielusce, którą Anylse trzymała w pogotowiu. W ciszy rozległ się inny dźwięk, ale nie było to normalne zawroźdzenie dziecka — raczej dziki, triumfalny śmiech mężczyzny.

Arona opuściła różdżkę, zbliżyła ją do serca niemowlęcia, ale go nie dotknęła. W jaskini rozszedł się silny smród palonego ciała i osmalonych piór.

— Powiedz nam swoje imię, zaklinam cię na Wielkiego Sokoła, którym zawładnęła Ciemność, na Moc Pani, której się wyrzekłeś, tak, na całą moc Jonkary, powiedz nam swoje imię. — Głos Arony zagłuszył niesamowity śmiech. Potem zapadła głęboka cisza. Nawet ptaki i pies milczały.

— Weldyn.

Jedno słowo. Imię. Yareth drgnął, jakby ktoś smagnął go biczem po plecach. Odwrócił głowę, szukając wzrokiem tego, który to powiedział.

— Weldyn... — powtórzyła Arona. — Zostanie rzucone ci wyzwanie.

Prawie słyszałem głośny oddech, jakby jakieś zwierzę, albo człowiek, czekało gdzieś tu w przyczajeniu.

— Na Wielkiego Sokoła, Weldynie — odezwała się znów Sokolniczka — czy

przyjmujesz to wyzwanie? Wyjdź i doładź sił, jeśli jesteś tym, za kogo się uważasz.

— Przeciwno kobiecie! — w głosie niewidzialnego brzmiała tak wielka pogarda, jakby to słowo było najohydniejszą obelgą.

— Przeciw mnie! — Yareth zerwał się na równe nogi, nadal się rozglądając. — Gdybym nie widział twojej śmierci... Jeżeli to wszystko było tylko iluzją... Tak, rzucam ci wyzwanie, Weldynie!

Znowu zabrzmiał tamten dziki śmiech.

— Nie, Sokolniku. Chociaż zdradziłeś swoje plemię, nadal wiąże cię przysięga pokrewieństwa. Wyciągnij miecz, jeśli zdołasz!

Yareth wyciągnął rękę po brzeszczot, ale jego dłoń nagle znieruchomiała, jakby przygniótł ją wielki ciężar. Powietrze zgęściło się i uformowała się z niego postać w hełmie i kolczudze Sokolnika. Trupi odór stał się silniejszy.

Jeśli Yareth nie mógł się poruszyć, mnie nie kępowały takie więzy. To, co stało teraz przed nami, było materialne i prawdziwe.

— Wyświadczyłeś mi przysługę, mieszańcu. — Zwieńczony figurką ptaka hełm odwrócił się i to, co kryło się za wizjerem, spojrzało na leżące bezwładnie ciało noworodka. — Żyję i będę mógł stanąć do walki.

— Rzucono ci wyzwanie — wtrąciłem. — A mnie nie wiąże żadna przysięga. Nie jestem też kobietą...

Hełm odwrócił się ku mnie z szybkością atakującej żmii, zwracając na mnie oczy będące płamami nieczystego ognia.

Ciemny stwór jeszcze raz wybuchnął śmiechem, ale nie sięgnął po broń. Zamiast tego wykonał pogardliwy gest pustą ręką — z której trysnęła świetlna strzała. Lecz to, co wcześniej się we mnie przebudziło, przygotowało mnie do walki.

Dziwny to był bój, niemożliwy do opisania. Dwukrotnie znalazłem się w niezwykle trudnym położeniu i wtedy napłynęła do mnie nowa energia wysłana — wiedziałem to — przez Nolar. Elgareth nie wzięła udziału w tym pojedynku. Przez cały czas światło jej magicznego kamienia padało na Eirran, ale nie tknęło nieruchomego niemowlęcia, które uważałem za martwe.

Nogi zdrząły pode mną i poczułem ogromne wyczerpanie. Nolar po raz trzeci użyczyła mi swej siły. Wargi tej do połowy zakrytej hełmem twarzy wykrzywił grymas wściekłości. Później cała postać zwróciła się w stronę Anylse i dziecka. Zrozumiałem, co zamierza stwór nazywający siebie imieniem zmarłego Sokolnika — chciał powrócić do czekającego ciała.

Lecz na drodze stała Arona, trzymająca różdżkę jak miecz, Arona, z którą nie chciał walczyć.

— Na Twoją siłę, Pani, z Twojej woli! — Uderzyła w zamaskowane oblicze.

Ciemność jakby wybuchła. Arona jęknęła, gdy jej różdżka zapłonęła żywym ogniem i odrzuciła ją od siebie. I w tej samej chwili Jeździec Burzy i Dzielny Wojownik ze skwirem wzbiły się w powietrze, okrążając słup mroku, który zapadł się w sobie, skurczył i zniknął.

Nolar zwróciła się do Anylse i pochwyciła dziecko. Tuląc je do piersi wbiegła w drzwi prowadzące do Kamienia z Konardu.

Ciemność się rozproszyła. To, co próbowało wejść do naszego świata za pośrednictwem nowo narodzonego, zniknęło nam z oczu. Pośpieszywszy za Nolar zobaczyłem, że uklękła obok Kamienia i wyciągnęła ku niemu nieruchome ciało. Silny blask oblał pieluszkę i leżące na niej dziecko. Ale jeśli było ono tylko powłoką, w której tkwiła tamta zła moc... Jeżeli jego dusza odeszła przed narodzeniem...

Rozległ się krzyk, kwilenie. Mała piastka uderzyła powietrze. Nolar również krzyknęła cicho i przytuliła noworodka do siebie. Było to całkowicie ludzkie dziecko. Zapuściłem myślową sondę i spotkałem wyłącznie to, co jest normalne i naturalne.

Kamień z Konardu zakończył naszą walkę i my, słudzy Światła, jeszcze raz odnieśliśmy zwycięstwo.

Tak oto kończą się nasze Kroniki — każda w jakiś sposób złączona z innymi silniejszą lub słabszą więzią. Te zwoje będą czekały na tych, którzy, choć będą należeć do innego rodzaju, zapragną poznać nas, nas, którzy nauczyliśmy się zmieniać. Zaprawdę, dobre to i sprawiedliwe, żeby poznali przeszłe wydarzenia i docenili swych poprzedników.

Duratan z Lormtu